

**ELIETTE ABÉCASSIS**

**OSTATNIE  
POKOLENIE**

Z francuskiego przełożyła  
WIKTORIA MELECH

Tytuł oryginału: *Derniere tribu*

WARSZAWA 2007



*Mojemu mistrzowi, Toshiro Suzukiemu,  
który natchnął mnie do napisania tej książki.*

Na początku miałem za nauczyciela mojego mistrza, potem moim nauczycielem były księgi mądrości (sutry i tantry), a na końcu nauczycielem stał się dla mnie mój umysł.

**SZABKAR RANGDROL**

# PROLOG

Mężczyzna został znaleziony w sanktuarium nad doliną.

Do budowli szło się długą aleją obsadzoną drzewami. Na zboczu rozciągała się piaszczysta plaża porośnięta nielicznymi krzewami i wysuszonymi trawami, które otaczały świątynię.

Między drzewami wił się strumień spływający delikatną kaskadą po skałach aż do rzeki.

Niebo przecięła błyskawica, a potem zaczęły nadciągać czarne chmury, przesłaniając gwiazdy zapowiadające zbliżającą się noc.

Zmrok zapadał nad ogrodem otaczającym świątynię, z jego drzewami i wąskimi strumykami, nad doliną, gdzie unosiły się kręte smugi dymu. Zmrok zapadał nad całą ziemią.

W słabym wieczornym świetle można było jednak dostrzec tego mężczyznę w pustym pomieszczeniu. Leżał martwy na ziemi, z rozkrzyżowanymi rękami, z głową pochyloną na ramię, okryty łachmanami. Bezbarwne postrzępione włosy, kości sterczące pod wyniszczoną skórą. Szkielet z twarzą bez wyrazu. To ciało opuściła energia, trawił je czas, mięśnie rozpływały się niczym wosk. Ramię odpadło od barku, kolana zanikły. Wszystko, co kiedyś trzymało ciało w całości, rozpadło się. Kości się rozeszły, ukazując wnętrze.

Przy ciele leżał kawałek pergaminu pokryty czarnymi drobnymi literami, który zmarły zapewne trzymał w ręku...

*Taka jest twoja wizja i wszystko, co zawiera, zdarzy się na świecie... Poprzedzone wielkimi znakami spadną na kraj nieszczęścia.*

*A po tych wszystkich krwawych dniach pojawi się Książę Narodów.*

# I

## *Zwój Ary'ego*

*I ześlę na was mój oddech, przekażę moje słowa w alegoriach i zagadkach tym wszystkim, którzy zgłębiają korzenie rozsądku, i nawet tym, którzy śledzą tajemnice cudów, tym niewinnym, którzy wędrują, i tym, których intrygi wzmagają zamieszanie wśród narodów, aby dostrzegli oni różnicę między dobrem i złem, prawdą i fałszem, by pojęli tajemnice grzechu. Nie znają sekretów, nie zaglądają do kronik, nie wiedzą, co ich czeka. Nie znając tajemnicy egzystencji, zgubili swe dusze.*

Zwoje znad Morza Martwego

*Księga tajemnic*

Był wiosenny poranek. Nad Jerozolimą wstawało słońce i złotym blaskiem, przeznaczonym tylko dla niej, oblewało dachy. Promienie słońca, wpadające przez okno pokoju hotelowego, zalewały go żółtą poświatą.

Ktoś uparcie dobijał się do drzwi. Wstałem, ubrałem się szybko i je otworzyłem.

Zobaczyłem tego, którego obecności się obawiałem, którego pojawienie już wiele razy wstrząsnęło moim życiem. Stał na progu, pewny swej władzy. Niewzruszony. Pięćdziesięciolatek w doskonałej formie, zręczny w ruchach, opalony, z czarnymi włosami ze śladami siwizny, w wojskowym mundurze, w kurtce i spodniach z grubego beżowego płótna.

- Shimon Delam? - zdziwiłem się. - Cóż takiego sprowadza do mnie byłego dowódcę armii, szefa Shin Beth, wewnętrznych służb specjalnych Izraela?

- Niedawno otrzymałem inne stanowisko. Teraz jestem szefem Mossadu - odrzekł z uśmiechem Shimon.

- Gratuluję. Jestem zachwycony... Ale... Przychodzisz do mnie, do hotelu, tak wcześnie rano, żeby mi to oznajmić?

- Wcześnie rano? - Shimon wszedł do pokoju i usiadł w jednym z foteli. - Zwracam ci uwagę, że jest już siódma.

Nie zamknąłem za nim drzwi.

- Słuchaj, Shimonie, nie moglibyśmy spotkać się później, albo... nigdy?

- Nie chciałem cię niepokoić, Ary - przerwał mi Shimon. - Ale sprawa jest pilna.

- Oczywiście, wszystkie są pilne...

- Pilna, to nie jest właściwe słowo. Powinienem powiedzieć: nagląca.

- Jasne - mruknąłem, wciąż stojąc, przyzwyczajony do takich zagrań Shimona. - Co za różnica?

Miał zadowoloną minę.

- Doskonale! Możesz usiąść.

Spełniłem machinalnie jego polecenie. Shimon miał tę wyjątkową cechę, że zawsze czuł się jak u siebie, bez względu na godzinę i okoliczności, co dawał innym do zrozumienia.

- Muszę porozmawiać z tobą bez świadków. Mam dla ciebie zajęcie.

- Ależ Shimonie, wiesz dobrze, że nie ma mowy o jakiegokolwiek pracy...

Shimon machnął ręką na znak, że nie chce o tym mówić. Zmarszczył spalone słońcem czoło, co było u niego oznaką wielkiego zaniepokojenia. Podał mi zdjęcie.

Obejrzałem je, nie rozumiejąc, o co chodzi. Przedstawiało mężczyznę leżącego z rozkrzyżowanymi rękami, najwyraźniej od dawna martwego, z kośćmi sterczącymi pod skórą, okrytego kawałkiem jasnej tuniki. Rysy twarzy były prawie niewidoczne. Znajdował się w miejscu, które przypominało dawną synagogę albo raczej świątynię.

- Kto to? - zapytałem.

- Znaleziono go kilkanaście dni temu.

- Kilkanaście dni... Gdzie? Na północy kraju? W jakiejś odrestaurowanej synagodze w rejonie wzgórz Golan?

- W pobliżu Kioto, w sanktuarium.

- Kioto?

- W Japonii.

- Ale co to ma wspólnego z...

- Z tobą? - przerwał mi Shimon, biorąc do ręki wykałaczkę, co było oznaką napięcia.

- No właśnie.

- To bardzo proste. Jak już powiedziałem, pracuję teraz dla Mossadu. Chyba nie muszę ci wyjaśniać, że pracuję także dla międzynarodowych służb specjalnych...

W zamyśleniu dłużył wykałaczką w zębach.

- Ale do czego ja ci jestem potrzebny? Nie jestem przecież szpiegiem. Nie posiadam odpowiednich kwalifikacji. Poza tym co ja mam wspólnego z Japonią?

- Moim zdaniem jesteś doskonale przygotowany. Wszędzie potrafisz sobie poradzić. W Paryżu, Nowym Jorku, w Izraelu...\*. Uważam nawet, że masz najlepsze przygotowanie do tego rodzaju zadania właśnie tam.

- Shimonie, chciałbym cię od razu uprzedzić, że...

- Posłuchaj, to bardzo proste. Wszystko ci wyjaśnię.

---

\* O przypadkach Ary'ego Cohena można przeczytać również w książce *Skarb świątyni i Qumran* wydanych przez wydawnictwo Albatros.

Znowu spojrzałem na zdjęcie.

- Został zamordowany?

- Tak, został zamordowany. Ale jest pewien szczegół...

- Jaki?

Shimon przyglądał mi się, jakby nie wiedział, jak to ująć.

- To się zdarzyło dwa tysiące lat temu.

- Słucham? Co mówisz? Możesz powtórzyć?

- Powiedziałem, że ten człowiek zmarł dwa tysiące lat temu. Zamordowano go.

- Słuchaj, Shimonie - powiedziałem, wstając - czy możesz mi wyjaśnić, czego ode mnie oczekujesz?

- Zimno i śnieg zakonserwowały kości tego mężczyzny. Poddano go skanowaniu i naukowcy zauważyli podejrzany cień pod jego lewym ramieniem, które zostało oderwane. Badanie wykazało, że może to być ostrze jakiejś broni. Nadażasz za mną?

- Nie do końca.

- Ostrze wbiło się w ciało i sparaliżowało ramię, przecinając ścięgna. Kim był zabójca, pozostaje tajemnicą.

- To samo dotyczy zapewne tego człowieka?

- Niezupełnie. Miał białą skórę, choć był opalony. W niskiej temperaturze zachowały się również kawałki jego tuniki. Ponadto w jego ręku znaleziono to. - Shimon podał mi drugą fotografię.

Oddałem mu ją, nawet na nią nie patrząc.

- Nie ma o czym mówić. Nie wchodzę w to. Nie mam zamiaru szukać mordercy, który zabił trzy tysiące lat temu...

- Dwa tysiące.

- Zwracam ci też uwagę, że jego już nie ma na tym świecie. W najlepszym razie zachował się w takiej formie jak ten mężczyzna...

- A może jednak... - mruknął Shimon w zamyśleniu.

- Co się z tobą dzieje, Shimonie? Wierzysz w duchy? Albo w nieśmiertelność?

- Zniknął jeden z mnichów ze świątyni, gdzie znaleziono tego człowieka.

- Powtarzam ci, że nie widzę żadnego związku z moją osobą.

Shimon wcale się tym nie przejął. Opanowany, spokojny, czekał bez słowa. Po chwili wstałem i pokazałem mu drzwi.

- Jest jeszcze coś - powiedział, podnosząc się z fotela.

- Jeśli chcesz mówić o pieniądzach, to powtarzam, że...



- Chodzi o Jane...

- Co takiego? Wiesz, gdzie ona jest?

- Przyszła dla niej wiadomość z CIA.

Podał mi kartkę i fotografię.

- Ma wykonać zadanie... w Japonii!

Shimon wręczył mi bilet na samolot.

- Pospiesz się. Nie ma czasu do stracenia.

- A co mam powiedzieć ojcu? Uprzedziłeś go?

Shimon spojrzał na zegarek.

- Odlatujesz dziś wieczorem o osiemnastej pięćdziesiąt. Zostało ci dwanaście godzin, żeby się ze wszystkimi pożegnać.

Wtedy dopiero mój wzrok padł na jedną z fotografii. Ze zdumieniem rozpoznałem na niej hebrajski manuskrypt. Manuskrypt z Qumran - znaleziony w świątyni w Kioto w Japonii.

Qumran, trzydzieści kilometrów od Jerozolimy, na Pustyni Judejskiej. To właśnie z Qumran musiałem się przede wszystkim pożegnać. Qumran, oaza piękna, serce mej duszy, niebiański bezmiar wśród skał pustyni, nad wielką zatoką Morza Martwego. Króluje tu słońce. Gorące skały i rozgrzana ziemia. Nie słychać wiatru, żadnego hałasu, tylko szmer prześlizgującej się w parowach jaszczurki lub węża. Trochę dalej, w Ain Feshka, z wysuszonej ziemi tryska strumień, zasilający wody gruntowe Qumran.

Tam właśnie żyję i piszę. Nazywam się Ary i jestem skrybą. Z oczami wbitymi w pergamin, z ręką zaciśniętą na piórze, piszę w dzień i w nocy. Nie ma dla mnie znaczenia godzina, pora roku, kalendarz, ponieważ pisanie, podobnie jak miłość, jest światem, w którym czas się zatrzymał, w którym chwila trwa wieczność i nikt nie wie, skąd przychodzi światło, kiedy nadchodzi dzień.

Jestem Ary, skryba. Nie ma dla mnie innego życia poza pisaniem w cieniu dającym schronienie przed suchym gorącym wielkiego jeziora, przed jego oślepiającym blaskiem. Nie liczę dni i nocy jak ci, którzy chodzą w słońcu.

Skończyłem trzydzieści dwa lata i jestem już stary, ponieważ mam za sobą wiele trudnych doświadczeń, wiele podróży i wiele przemyśleń, a teraz żyję z dala od zgiełku i problemów zewnętrznego świata. Często popełniałem błędy. W końcu zrezygnowałem z życia wśród ludzi, żeby napisać moją historię, historię szczególną, niepojętą i bardzo osobistą, mającą związek z dziejami świata.

Od dawien dawna szukałem jedności z Bogiem i mogę powiedzieć, że poświęciłem

temu moje życie. Długo błąkałem się po wąskich drózkach i szerokich traktach świata, wiele razy gubiłem się, szukając własnej drogi. Teraz żyję z dala od wszystkich, w tajemnej grocie, w odległej pustynnej okolicy, trzydzieści kilometrów od Jerozolimy, na Pustyni Judejskiej. Wznoszą się tu wapienne urwiska, otaczające najniżej położone miejsce na ziemi, najbardziej nasyczone wodami siarkowodorowymi, obfitujące w sól i mimo to żyjące, miejsce najoryginalniejsze i najodleglejsze, najmniejsze i zarazem największe, niezwykle i jedyne, niemal nierealne, które nosi nazwę „Qumran”.

Jestem Ary, skryba. Ale zostawiłem to wszystko w jednej chwili i przestałem szukać mądrości. Znowu włożyłem miejskie ubranie i stałem się taki jak wy. Nie przeżywam już cierpień duchowych, udręk będących udziałem tych, którzy szukają Boga, nie wpadam w trans. O Boże! Jakże oddaliłem się od wiary, która przepelniała najgłębsze zakamarki mojej istoty. Esseńczycy byli dla mnie wszystkim, na twarzy miałem wryte litery, imię Boga wytatuowane w sercu. Byłem Ary Mesjasz, ale zostawiłem to wszystko za sobą. Studiując litery, sam stałem się literą *wav*. To litera, która zmienia przyszłość w przeszłość i przeszłość w przyszłość. Odrzuciłem wiarę, poszedłem drogą odstępstwa, i niszczyłem to, co było we mnie. Wyprostowałem się, wolny i dumny, nareszcie anonimowy, bez straszliwego obciążenia wyborem, który przypadł mi w udziale, tym przywilejem, którego nie umiałem unieść. Powiedziałem sobie, że teraz świat należy do mnie! Do mnie należy życie! I miłość!

Moim ostro zakończonym piórem i atramentem piszę kolumny i linie liter. Do pisania używam pióra i żywicy, oliwy i wody oraz małych kawałków skóry. Na tym polega moja praca. Litery ustawiają się w linijkach, tańczą walca niczym mikroskopijne tancerki, zbiegają się i rozbiegają, skręcają w arabeski, żeby was pozdrowić, żeby życzyć wam powodzenia, żeby dokąds was zaprowadzić, żeby odsłonić wam swoją tajemnicę. *Włożyłem moje słowa w twoje usta, ukryłem cię w zaciszu mojej ręki.*

Groty mieściły się w urwistym zboczu, część z nich została wykuta ludzką ręką, część zaś była dziełem natury. W tych właśnie grotach w 1947 roku znaleziono zwoje i tysiące fragmentów, które okazały się bardzo istotnymi dokumentami żydowskimi, jest to bowiem prawdziwy księgozbiór z epoki Jezusa. To największe odkrycie archeologiczne XX wieku. Manuskrypty, owinięte w płótno, ukryte były w glinianych dzbanach, gdzie nie dosięgła ich wilgoć.

Zwoje zapisane zostały przez esseńczyków, żydowską sektę wywodzącą się z kapłanów Świątyni, którzy schronili się w pobliżu Morza Martwego, aby tam czekać na koniec świata i przygotowywać się na to przez obmywanie się w źródlanej wodzie. Z

nadejściem końca świata źli zostaną zgładzeni, a dobrzy odniosą zwycięstwo. Esseńczycy uważali się za synów światła walczących z synami ciemności. Nie ufali kobiecie, która ich zdaniem uosabia biblijną Lilith i stworzona jest po to, aby uwodzić mężczyzn. Jej serce to wąż, a jej strojne szaty sprowadzają mężczyznę z właściwej drogi. To demon, który poluje nocą, by deprawować ludzi.

Mój los związany był z tymi rękopisami. Ale nie od razu tak się stało. W młodości byłem żołnierzem, służyłem w izraelskim wojsku i walczyłem w obronie kraju. Moja rodzina nie była religijna. Ojciec, paleograf, poświęcił życie studiowaniu starożytnych tekstów. Po odbyciu służby wojskowej zetknąłem się z religią, przyjęła mnie do siebie pewnego wiosennego ranka za sprawą rabina z dzielnicy Mea Szearim w Jerozolimie. Rabbi był tym, który nauczył mnie zasad Tory, dyskusowania nad Talmudem, a nawet pewnych tajemnic kabały, które znają tylko wtajemniczeni. Stał się moim mistrzem, mentorem, a ja zostałem jego uczniem. Za jego pośrednictwem poznałem inny świat niż ten, w którym dotąd żyłem, świat duchowy, ubrany we wspaniałe szaty, a ja sam zacząłem nosić czarny surdut uczniów Prawa.

Oddałem się tym studiom całym sercem, całą duszą, i ze wszystkich sił szukałem mądrości, aż w końcu ją znalazłem, albowiem przeczytałem wiele ksiąg, wiele się z nich nauczyłem, a w tajemniczych tańcach chasydów przy wschodzącym słońcu tyle było czaru i piękna, że nie potrafiłem ich porzucić.

Tak więc obrałem własną drogę, opuściłem rodziców, których uważałem teraz za ateistów, ludzi lekkomyślnych, powierzchownych. Nie mogłem już jadać posiłków u matki, bo jej kuchnia nie była koszerna, a ojca, którego bardzo kochałem, widywałem coraz rzadziej, aż do chwili, gdy zostałem wciągnięty w policyjne śledztwo. Wtedy ja, Ary Cohen, oficer, student, skryba, stałem się detektywem.

W trakcie dochodzenia, które prowadziłem razem z ojcem, odkryłem, że esseńczycy nadal istnieją, choć sądzono, iż zostali wymordowani przez Rzymian, usunięci z kart historii. Oni jednak przetrwali i, ukryci przed ludźmi, żyli w grotach na Pustyni Judejskiej.

Poszedłem więc nad skaliste wybrzeże Morza Martwego, długo wdychałem zapachy pustyni i w palących promieniach słońca pogrążałem się w medytacji. W największej tajemnicy spotkałem się tam z esseńczykami, mieszkającymi w tej bezludnej, nieprzyjaznej, bezlitosnej okolicy. Poznałem tych, którzy poświęcili życie na przygotowywanie się do wojny w czasie apokalipsy, i razem z nimi zmagaliśmy się z siłami ciemności. Dowiedziałem się, że mój ojciec, którego uważałem za ateistę, był jednym z nich, że czekali na Mesjasza, a tym

Mesjaszem byłem ja, Ary Cohen, żołnierz, student, człowiek żarliwie wierzący, syn Davida, z linii arcykapłanów z Biblii.

Moja droga, pełna zasadzek, była długa, bardzo długa. Zawarłem przymierze z ludem pustyni i obiecałem, że Chwała Boża spłynie na ziemię, że w Jerozolimie, na Placu Meczetów, stanie znowu kamienna świątynia, dwa razy przedtem wznoszona i dwa razy burzona. Towarzyszyłem esseńczykom i razem z nimi wszedłem do Jerozolimy.

Marzyłem o odzyskanej, odbudowanej Świątyni. Pragnąłem, by powstało sanktuarium, gdzie mógłbym Go zobaczyć, składać Mu ofiary oczyszczające z grzechów. Podobnie jak Dawid, który mył się przed wejściem do domu Boga, ja także wraz z esseńczykami codziennie rano i wieczorem kąpałem się w krystalicznej wodzie i wychodziłem z niej oczyszczony, jakbym wszedł do świętego sanktuarium.

Od czasów Jezusa esseńczycy mieli jedno marzenie - odebrać Jerozolimę z rąk bezbożnych kapłanów i zbudować dla przyszłych pokoleń Świątynię, w której służyć będą Bogu kapłani ich sekty, potomkowie Zadoka, zgodnie z przyjętym przez nich kalendarzem słonecznym. Ci, którzy trwali na pustyni, w tajemnicy przed wszystkimi, nad brzegami Morza Martwego, w Qumran, wspominali niezwykłą budowlę z kamienia, złota i drogocennych kamieni, wiele razy powiększaną i burzoną.

Kiedyś nadejdzie dzień, na który tak czekali.

Żywili się nadzieją, że przyjdzie On, który pokona synów ciemności. Mówili:

*I podniesie swój oręż,*

*Uda się do Jerozolimy,*

*Wejdzie Złotą Bramą,*

*Odbuduje Świątynię,*

*Taką, jaką widział w swoich wizjach,*

*I Królestwo Niebieskie*

*Tak oczekiwane*

*Przyjdzie z nim,*

*Zbawicielem,*

*Który będzie się nazywał*

*Lew.*

Ja byłem Ary, co znaczy lew, Mesjasz esseńczyków, i moje serce, niczym ptak pozbawiony gniazda, wzdychało, tęskniło do Świątyni. Nieustannie kierowałem moje modlitwy ku Jerozolimie. Modląc się rano, w południe i wieczorem, błagałem o powrót wygnańców i odbudowę Miasta Pokoju. Dni postów i dni żałoby związane były z rocznicami naszych narodowych nieszczęść, a najbardziej uroczyste nabożeństwa zawsze kończyliśmy rytualną formułą: „Do zobaczenia w przyszłym roku w Jerozolimie”. Z największą żarliwością modliłem się za Jerozolimę, która rozpadła się niczym rozbite szkło, za Jerozolimę pogrążoną w żałobie po zburzeniu Jego Domu.

I znalazłem się w miejscu budzącym strach, i miałem wymówić Jego imię, imię Boga. Nareszcie miałem się dowiedzieć, kim On był, miałem Go ujrzeć. Zbliżałem się do Arki Przymierza, w której znajdowały się prochy czerwonej jałówki. Wziąłem pochodnię i zgodnie z Prawem zapaliłem ogień na ołtarzu, aby rozsypać resztki ofiarnego zwierzęcia. Przedemną, według ustalonego porządku, przechodzili kapłani, jeden za drugim. Za nimi szli Lewici i Samarytanie z ich przywódcą, kroczyli jeden za drugim, tak iż można było poznać wszystkich ludzi Izraela, każdego według miejsca zajmowanego we wspólnocie Boga.

Miałem przed sobą litery, czekały, bym je odczytał.

Również esseńczycy czekali, bym to uczynił i wypowiedział imię Boga.

Odczytywałem więc najświętsze litery. Najpierw literę początkową *yod*, potem *he*, literę tchnienia stworzenia, potem...

I wtedy odwróciłem się i ujrzałem stojącą za mną Jane, kobietę, którą kochałem. Jej oczy prosiły, błagały, bym nie czytał tych liter. Nie odrywając od niej wzroku, wymówiłem jej imię.

Nazajutrz... Jakimi słowami mam opowiadać o tej chwili, tak by moje serce nie czuło ogromnej tęsknoty i nie ścisnęło się na to wspomnienie? Jak bardzo pragnąłbym, choćby tylko myślami, przenieść się do tego czasu wróżebnego, decydującego, nieskończenie bliskiego i zarazem tak dziś odległego!

Jakże bym chciał powiedzieć: oto, czym były moje czyny, wczoraj i dziś, albowiem pozostałem wierny obietnicy.

Nazajutrz dzwony kościelne oznajmiły, że nad Jerozolimą wstał świt. Jak echo odpowiadał im stłumiony śpiew muezina. Przez uchylone okno pokoju hotelowego wpadał lekki wiaterek. W porannej, zabarwionej różową poświatą mgłę wznosiło się przede mną

wzgórze Syjon.

Miałem za sobą nieprawdopodobne przeżycie, najbardziej nadnaturalne, najbardziej niepokojące, najbardziej realne i najbardziej nierealne. Była to śmierć i narodziny, małżeństwo, wszystko naraz: zgromadzenie, porzucenie wszystkich zasad i wszelkiego przypadku, zagubienie się w wielkiej wdzięczności.

Przyjaciele moi, wy, którzy mi towarzyszyacie, wy, którzy wszystko wiecie, jak mam o tym powiedzieć? Jak znaleźć słowa, żeby wyrazić to, co czułem? Nigdy przedtem nie doświadczyłem takiej siły, takiej intensywności, takiej radości, takiego zjednoczenia jak to, nigdy przedtem nie było mi dane podziwiać takiego piękna, takiego bezmiaru, takiej mocy, realnej i zarazem nierealnej, ziemskiej i nadludzkiej, starożytnej i teraźniejszej, zanikającej i wiecznej, głębokiej i niebiańskiej, ogromnej i mikroskopijnej, zwyczajnej i nadzwyczajnej. Jak o tym mówić? Jak zrozumieć? Moje serce przepelniała tak wielka radość, że czułem ból w całym ciele. Tak tęskniłem, tak marzyłem, tak długo i cierpliwie czekałem, nie traciłem nadziei przez całe moje życie, a mimo to jakże wielką było niespodzianką.

Kiedy wypowiedziałem owo niewysłowione imię, otworzyło się przede mną piękno w swej jasnej formie. Dla moich oczu było to nagłe, szalone, oślepiające objawienie. Była to chwila czystej prawdy, jeden z tych niezwykłych momentów, kiedy się pojmuje, po co się żyje, po co istnieje świat.

Było to uczucie tak nagłego, długotrwałego zjednoczenia, że już nie wiedziałem, kim właściwie jestem. Ja, który myślałem, że na zawsze zostanę sam, który niemal straciłem nadzieję, nagle poczułem, że naprawdę żyję. O Boże! Nie byłem już żołnierzem, nie byłem chasydem, nie byłem już esseńczykiem, nie byłem też detektywem. Byłem tylko sobą. Przyjaciele moi, którzy mnie słuchacie, posłuchajcie teraz: nie jestem już Arym skrybą. Jestem człowiekiem pokoju wieczornego i mgły porannej. Jestem kimś innym, jestem człowiekiem nocy.

To była mroczna noc, głęboka ciemność, palący pył, spadająca gwiazda, to była noc, pieśń wieczorna, kiedy moje serce wzniosło się ponad wszystko i już niczego więcej nie szukałem, nie uciekałem, nie czułem trwogi przed nocą, nie bałem się siebie. Byłem palącym pyłem ognia, ziemią, która wraca do ziemi. Była noc i jej tajemny duch.

Ziemia zdrząła, zakotyła się, wstrząsnęła moim sercem aż do głębi. Przeszłość już nie istniała, znalazłem się na granicy tego, co ostateczne.

Rozsunąłem kotary, podniosłem ramiona, szukając kresu, ale nie było już granic tego,

co mógłbym czuć. Stałem się wszytkowiedzący, wszechobecny. W głębi mojego kamiennego grobowca byłem żywy, a jednocześnie nie odradzałem się.

Doznałem wrażenia, że niespodziewanie ukazała mi się absolutna mądrość, a mimo to nie miałem już duszy, nie miałem już niczego. Oszalałem, straciłem rozum, moim sercem, moją duszą zawładnęło uniesienie. Wokół mnie wszystko było pustką, nie dostrzegałem sam siebie, albowiem ja także byłem pustką. A jednocześnie była to pełnia. Nie odnosiła się jednak do mnie, bo mnie już nie było, nie istniało już nic na świecie. Miałem przed sobą sens moich poszukiwań. Ujawnił się on w tę mroczną noc, niosąc kres lęków i strachu.

Drodzy przyjaciele, gdybyście wiedzieli! Gdy odwróciłem się do Jane, w chwili kiedy miałem wymówić po literze *jod* i po literze *he*, literę *waw*, język mi się zaplątał i zamiast niej - nie wiem, jak to się stało, ale wymówiłem literę *nun*. Powiedziałem: *Johan*, Jane.

I nagle stało się dla mnie oczywiste, że nie pragnę spotykać się z Bogiem, pragnę spotkać się z tą, która ma na imię Jane. To ją pragnąłem kochać tak, jak kocha się Boga, bo na tym polega miłość. Od kiedy się poznaliśmy, to ona mnie szukała, a ja poszedłem za nią przekonany, iż szukam Boga, podczas gdy pragnąłem tylko jej, całym sercem, całą moją duszą, całą wolą, z całych sił. Kobieta, którą kochałem, stała za mną, i dlatego posłuchałem wewnętrznego głosu, i to jej imię wymówiły moje usta - Jane.

Zjednoczeni odeszliśmy w tę noc, w Jerozolimę uszpioną po dniu walk. Zostaliśmy sami. Z dala od wszystkich. Wziąłem ją w ramiona i złożyłem na jej ustach pocałunek miłości. Ona także mnie pocałowała, nasze oddechy się połączyły. Kochałem ją całą, jej ciało, jej duszę. Patrzyłem na nią i wiedziałem, że jest przy mnie. Patrząc w jej oczy, czułem, że narodziłem się na nowo i ona narodziła się dla mnie na nowo. Odkryłem istotę tego, czym jest miłość.

I powiedziałem do niej: *Niech czuwa nad tobą Wiekuisty. Niech położy na tobie swoją prawicę. W dzień nie spali cię zar słońca, w nocy nie ochłodzi świeżość księżyca.*

Kiedy rozdzwoniły się dzwony nad Jerozolimą, jeszcze spałem. U mego boku nie było nikogo. Czy śniłem? Nie było już jej ślicznej twarzy, jej czarnych oczu i jasnych, lekko potarganych we śnie włosów, szkarłatnych ust, nie było już uśmiechu Jane. Moja twarz nie odbijała się w oczach, które mówiły mi, że jestem kochany. Miałem krótką rzadką brodę zasłaniającą policzki, wąskie wargi, jasnoniebieskie, podkrążone oczy. Wychudłem, kiedy wróciłem do wiary, albowiem bardzo często pościłem, ale w jej oczach byłem piękny i kochałem to moje odbicie w jej wzroku.

Chciałem wziąć ją w ramiona, zamknąć w objęciach, ale obok mnie nie było nikogo.

Tylko poświata słoneczna na białym prześcieradle, światło nad rozgorączkowaną Jerozolimą, lekki wiaterek wpadający przez otwarte okno. Ale moja ukochana zniknęła!

Kilka dni potem usłyszałem pukanie do drzwi. To Shimon odnalazł mnie w hotelu. Niczym anioł zwiastujący oznajmił mi, że Jane wyjechała do Japonii. Bez słowa, bez pożegnania, po prostu wyjechała.

On jednak wiedział i ja wiedziałem, że pojedę za nią, gdziekolwiek by była, że pojedę jej szukać nawet na koniec świata, do nieba lub do czeluści piekielnych.

Po rozmowie z Shimonem wyruszyłem do Qumran. Wsiadłem do autobusu, który jechał krętą drogą prowadzącą z Jerozolimy do Pustyni Judejskiej. Było popołudnie. Jaskrawe słoneczne światło tworzyło kontrastowe cienie w pustynnym krajobrazie, przywodząc na myśl wiejski pejzaż.

Lubiłem pustynię i jej beżowozłotawe pagórki porośnięte krzewami, z rozsianymi wśród nich namiotami Beduinów. Pociągały mnie ścieżki odchodzące od drogi, pnące się do góry. Zawsze miałem ochotę nimi pójść, żeby zaprowadziły mnie w jeszcze odleglejsze, bardziej tajemnicze miejsca. Zawsze wracałem na Pustynię Judejską z jej rzadką roślinnością, stadami owiec, różnobarwnymi daktylami, niczym marynarz, który czując zew, wraca na morze. Podziwiałem jej rozległe tereny, opadające ku najniżej położonemu miejscu na świecie. Czas się tu zatrzymywał, zatykały się uszy, wzrok mącił. Pustynny pył otulał ciepłym płaszczem najzimniejsze serca.

Tym razem jednak wracałem do Qumran z głową przepelnioną tysiącem myśli. Co znaczy wyjazd Jane do Japonii? Czego oczekuje ode mnie Shimon? A to morderstwo sprzed dwóch tysięcy lat? Co się za tym kryje? Co widzi w tym taki człowiek czynu, pragmatyk, jak Shimon? Co zawierał manuskrypt znaleziony przy zmarłym i kto go zostawił w takim miejscu, tak daleko od Izraela, skąd najprawdopodobniej pochodził? Czy to autentyczny manuskrypt hebrajski?

Wysiadłem z autobusu niedaleko Qumran, w miejscu gdzie stał sklepik, przed ruinami dawnego esseńskiego domostwa przystosowanego teraz do wizyt turystów. Tu, pięćdziesiąt metrów nad poziomem Morza Martwego, na skraju płaskowyżu Pustyni Judejskiej, wznosiło się urwiste wapienne zbocze. W tej okolicy mieszczą się grotty, gdzie odnaleziono przysypane marglem zwoje esseńczyków, setki fragmentów manuskryptów ukrytych w glinianych dzbankach, zachowanych mimo upływu wieków.

Dalej poszedłem pieszo drogą znaną tylko esseńczykom, prowadzącą aż do ich grot w załomach urwistego zbocza. Było bardzo gorąco. W podmuchach suchego, palącego wiatru



pokonywałem naturalne skalne stopnie i im wyżej się piałem, tym lepiej widziałem odległe Morze Martwe, otoczone przymglonymi górami Moab, jego połyskujące tysiącem ogni kryształki soli, jego białe kontury sięgające aż do czarnej asfaltowej szosy. Potem skręciłem w wyschnięte koryto rzeki i po długim, trudnym marszu przez pustynię dotarłem wreszcie do grot.

Pochyliwszy się, wszedłem do pierwszej, następnie do drugiej. Zagłębiłem się w długi podziemny korytarz, który doprowadził mnie do niewielkiej groty otwierającej się na niebo i gwiazdy - skrytorium, gdzie oddawałem się zajęciu skryby. Od chwili kiedy stąd wyszedłem, nic się nie zmieniło. Pośrodku stał duży drewniany stół, a na nim gęsie pióra, atrament i niedokończone pergaminy.

Usiadłem przy długim drewnianym stole, przy którym zawsze pracowałem, i machinalnie, powodowany atawistycznym nawykiem, wziąłem do ręki nożyk do skrobania skóry. Przede mną leżało wiele tekstów. Jednym z nich był zwój *Pułapki kobiety*, w którym opisano wszystkie sztuczki, jakie stosują kobiety, żeby uwieść i zgubić mężczyzn. Drugi był traktatem filozoficznym wyjaśniającym, jak na podstawie wyglądu i sposobu poruszania się ludzi można przepowiedzieć ich przyszłość. Polegało to na porównywaniu ludzi ze zwierzętami według ich cech fizycznych i dedukowaniu z tego ich charakteru, przewidywaniu ich przyszłych działań. Przeczytałem: *Każda osoba, która ma nieruchome spojrzenie, której uda są długie i wysmukłe, która urodziła się podczas drugiej kwadry księżyca, ma umysł złożony w sześciu częściach ze światła, ale w trzech z ciemności...*

Pomyślałem o Jane. Czyż nie miała przenikliwego, bystrego spojrzenia? A jej ciało... Pogrzeżyłem się w marzeniach, które zawiodły mnie daleko od tego miejsca, ku myślom, od których zbladłyby twarze esseńczyków, a i moja również, gdybym nie był taki samotny i zdecydowany walczyć.

Nie widziałem esseńczyków od chwili, gdy powinienem był wymówić imię Boga. Prawdę mówiąc, nie sądziłem, że znowu ich zobaczę, a w każdym razie nie tak szybko i nie w takich okolicznościach.

Minęło zaledwie kilka minut, kiedy na progu groty pojawił się Lewi z rodu Lewitów, kapłan, który był moim nauczycielem, mężczyzna w podeszłym wieku z siwymi jedwabistymi włosami, z brązową od słońca, wysuszoną na pergamin skórą, twardy i suchy, ale ciepły jak pustynia. Ubrany był w lnianą tunikę, której biel podkreślała głęboką czerń jego oczu.

- A więc, Ary - powiedział ciepłym, niskim głosem - wróciłeś do nas?

- Nie - odrzekłem - przybyłem, żeby się z wami pożegnać.

Przyglądał mi się przez długą chwilę.

- Domyślił się, że ogarnął cię lęk w momencie, gdy miałeś wymówić imię Boga. Któż nie boi się śmierci? Kto nie lęka się, że umrze, spotykając się z Nim? Zrozumieliśmy twój strach i dlatego na ciebie czekamy. Wiedzieliśmy, że wrócisz, bo jesteś tym, na którego czekamy, na którego czekają wszyscy.

- Nie, pomyliliście się! Nie jestem tym, za kogo mnie uważacie. Obraliście fałszywą drogę... i ja także.

- Co ty mówisz? Czy nie widzisz, jak źle się dzieje na świecie? Czy nie widzisz, jak bardzo cię potrzebujemy? Nie możesz zrezygnować ze swojej misji i odejść. Zostałeś wybrany i masz wobec nas zobowiązanie, przed którym nie możesz uciec. Wiesz o tym, i dlatego wróciłeś. Tak zostało napisane w naszych księgach i w naszych sercach. To ty, Ary, jesteś lwem, zbawicielem.

- Przybyłem, żeby wam powiedzieć, iż kocham kobietę i pragnę odejść, aby z nią być.

- Strzeż się kobiety. Nasze księgi mówią, że jest bardzo niebezpieczna. Jej oczy rzucają spojrzenia na prawo i na lewo, aby uwieść mężczyzn, aby wpadli w jej pułapki, bo kobieta to istota, która idąc drogą, odwraca się, zagradza przejście mężczyznom, która odbiera im wolę u bram miasta, poluje na sprawiedliwego. To demon zła!

- Nie, nieprawda! - wykrztusiłem. - Mylicie się!

- Zawraca mężczyznę z jego drogi, a potem staje przed nim, zmusza go, żeby się bał! Lilith! To ona rządzi w królestwie ciemności!

Po tych słowach Lewi z rodu Lewitów podszedł do mnie i palcem pokazał manuskrypt, nad którym niedawno zacząłem pracować, gdzie było napisane:

*Splami ona swoje imię, imię swojego ojca i imię swego męża... Ona, która zbruka własną cześć, sprowadzi hańbę na swoich rodziców i bliskich... Jej niesława przejdzie na jej rodzinę... na wszystkie przyszłe pokolenia.*

- A ty - szepnął Lewi z rodu Lewitów - czy nie jesteś Mesjaszem?

Uporządkowałem manuskrypty, które zdążyłem przepisać, zebrałem rzeczy, które chciałem zabrać, między innymi tefilin, modlitewny szal i kipe. Wziąłem również efod, który należał do mojej rodziny i przez wiele pokoleń kapłańskiego rodu Cohenów przekazywany był z ojca na syna. Był to strój z fioletowego i czerwonego lnu, przetykany złotem, na którym nosiło się skórzany, prostokątny plastron z czterema rzędami drogich kamieni. Nad nimi wypisane były imiona dziesięciu pokoleń. Brakowało jednego kamienia - diamentu reprezentującego pokolenie Zebulona; kiedyś w przeszłości musiał zostać ukradziony.

Gdy przechodziłem obok ruin Chirbet Qumran, gdzie prowadzono wykopaliska, przed wejściem do jednej z grot zauważyłem kilku archeologów. Podeszedłem do nich.

Przedstawiłem się i powiedziałem, że ja także pracowałem nad manuskryptami znad Morza Martwego. Zapytałem, czego szukają. Byli to izraelscy archeolodzy z uniwersytetu w Jerozolimie. Jeden z nich, wysoki brunet, mężczyzna koło trzydziestki, zapytał:

- Czy ma pan coś wspólnego z profesorem Davidem Cohenem?

- Tak, to mój ojciec.

- Jestem jego uczniem. Odnaleźliśmy właśnie nową grootę wydrążoną przez człowieka, a w niej kolejne fragmenty manuskryptów. Jeden z nich przekazaliśmy pańskiemu ojcu. To szczególnie manuskrypt...

- A co w nim takiego szczególnego?

Mój rozmówca dał mi znak, bym odszedł z nim na bok.

- Na razie to tajemnica, ale w tym fragmencie występuje zwrot „Syn Boży”, używany w ewangeliach. Jest jeszcze zdanie wspólne dla zwojów i Nowego Testamentu: *Będzie On wielki i będzie nazywany Synem Najwyższego... a Jego panowaniu nie będzie końca\**. Mamy więc dowód, że istnieją podobne sformułowania w manuskryptach znad Morza Martwego i w Nowym Testamencie.

- Rzeczywiście, to zadziwiające - przyznałem.

- Niech pan zapyta o to ojca. Kiedy daliśmy mu te fragmenty do badania, wydawał się bardzo poruszony. Błyskawicznie określił datę jednego z nich. Nikt na świecie nie potrafi tak dobrze określać dat jak on.

Wróciłem do Jerozolimy, kiedy robiło się ciemno. Natychmiast zadzwoniłem do ojca i umówiłem się z nim w kawiarni, która znajdowała się w ruchliwej dzielnicy German Colony, jedynym miejscu, gdzie niewierzący Izraelczycy z Jerozolimy spotykali się, żeby zjeść obiad, napić się wina i porozmawiać w swobodnej atmosferze.

Zobaczyłem go z daleka, jak szedł energicznym, szybkim krokiem. Z gęstymi włosami i atletyczną posturą nie wyglądał na swój wiek. Emanowała z niego siła. Wydawało mi się, że nigdy się nie zestarzeje. Był człowiekiem wiecznym i jednocześnie kruchym, jak manuskrypty, które studiował, określając datę ich powstania, poświęcając na to cały swój czas. Jego również nie widziałem od ceremonii w podziemiach Świątyni i nie wiedziałem, co o tym myśli.

---

\* Łk 1, 26-38.

To on nauczył mnie pisać i przekazał mi wiedzę paleograficzną. Uważałem go wtedy za badacza, uczonego, nie mając pojęcia, iż potajemnie jest esseńczykiem. Dziwnym esseńczykiem, ponieważ opuścił wspólnotę po powstaniu państwa Izrael. Był nauczycielem, ale i człowiekiem, dla którego Prawo nie miało znaczenia, podczas gdy właśnie Prawo kierowało całym moim życiem. Podporządkowywałem jego regułom wszystkie dni, od zachodu słońca do świtu, od świtu do zachodu.

Wierzyłem, że jestem inny niż on, ale nie miałem racji. Ojciec był paleografem i dlatego naturalną kolejną rzeczą i ja wziąłem do ręki pióro. Ojciec był esseńczykiem, a czyż ja nie podążyłem tą samą drogą? Nie zdawałem sobie sprawy, że nadawałem realny kształt jego misji, chociaż jednocześnie sądziłem, że się od niego oddalam.

- Chciałbym ci coś wyjaśnić - zacząłem, gdy usiedliśmy.

- Nie ma czego wyjaśniać - odrzekł ojciec. - Wszystko rozumiem.

- To było...

- Wiem.

- Nie podołałbym.

- Oni poczekają. Wszyscy poczekamy.

Nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu na myśl, że ojciec, jak mi się wydawało, znalazł swoje miejsce wśród esseńczyków, choć przez tyle lat ukrywał swą przynależność do nich pod maską uczonego racjonalisty.

- Nie, to na nic. Nigdy bym temu nie podołał.

- Dlaczego tak mówisz, skoro wszyscy w ciebie wierzą?

- Bo to nie ja - szepnąłem.

- Tak mówią teksty. Dowodzą tego fakty. Spójrz, w jakim stanie jest kraj. W ogniu i we krwi. Czy nie boisz się, że któregoś dnia wybuchnie bomba w tej lub innej kawiarni, gdzie właśnie będziesz siedział? Bo ja się tego boję.

- To nie ja. Nie jestem nim. Teraz chcę innego życia.

- Jakiego? Czy sądzisz, że możesz uciec przed samym sobą? Czy wierzysz, że kierujesz wszystkimi swoimi czynami? Pomyśl, Ary, o tym wszystkim, czego jeszcze nie wiesz. Pomyśl o słowach zawartych w naszych tekstach, o słowach naszych przodków... Przymknął oczy i wyszeptał:

- *Jego mądrość będzie większa niż mądrość Salomona, będzie potężniejszy od patriarchów, od proroków, którzy byli po Mojżeszu. To dobry, wierny pasterz, który zatroszczy się o swój lud, będzie medytował nad Torą i wypełni prawa. Będzie nauczał cały żydowski lud i odśłoni nowe idee, ukaże tajemnice ukryte w Torze. Wszystkie narody uznają*

*jego mądrość, a on zostanie ich przewodnikiem, nauczycielem.*

- Wyjeżdżam - oznajmiłem.

- Dokąd?

- Jane została wysłana do Japonii, by wykonać jakieś zadanie.

Ojciec nawet nie mrugnął. Wiedział, że dla niej opuściłem esseńczyków i zleconą mi przez nich misję, tak bliską ukończenia.

- W Qumran spotkałem przypadkiem jednego z twoich uczniów - powiedziałem. - Mówił mi, że znaleźli nowy, nietypowy fragment.

- Tak, ze zwrotami takimi jak te w Ewangelii.

- I co to oznacza?

- Że ten tekst znowu wywoła polemikę. Wspomniana jest tam potężna istota, która ma pojawić się w epoce zamieszek, i nazywana jest „Synem Bożym” lub „Synem Najwyższego”. Będą mu posłuszne wszystkie narody. Te sformułowania rzeczywiście przypominają ewangelie...

- Wiemy, że Jezus był esseńczykiem.

- Jednak wszyscy uważali, że chrześcijaństwo jako nowa idea przyjdzie wraz z Mesjaszem, który miałby być jednocześnie człowiekiem i Bogiem. Dziś wiemy, że ta idea pochodzi z Qumran, od esseńczyków. - Pochylił się w moją stronę i powiedział cicho: - Historycznie tekst ten odsyła nas do czasu prześladowań Żydów za panowania syryjskiego tyrana Antiocha Czwartego w latach sto siedemdziesiąt - sto sześćdziesiąt cztery przed naszą erą. Ten król miał drugie imię - Epifanes, co oznacza „Pojawienie się”, a z tego wynika pojęcie króla człowieka, będącego wcieleniem Boga. Ludzkie roszczenia do boskości nigdy nie były dobrze widziane w judaizmie. Zastanawiam się, czy nie można by interpretować tego tekstu w zupełnie inny sposób, że ten, który nazywa siebie „Synem Bożym” jest samozwańcem, obalonym następnie przez „lud Boży”, mający Boga po swojej stronie. W takim rozumieniu „Syn Boży” byłby Antychrystem! Co o tym sądzisz?

- Musisz mi pomóc - odrzekłem.

- Pomóc? Ależ oczywiście. W czym?

- W świątyni w Kioto odnaleziono pewien manuskrypt.

- Jaki rodzaj manuskryptu?

- Wnioskując z fotografii, które oglądałem, może to być manuskrypt hebrajski, napisany oczywiście po aramejsku.

Ojciec popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

- Jak to możliwe?

- Trzeba wyjaśnić tę tajemnicę. I odczytać manuskrypt. Dlatego tam jadę.

W tym momencie ze strasznym hukiem przecięły niebo cztery myśliwce F16. Ojciec odprowadził je wzrokiem, po czym spojrzał na mnie ufnie, a jednocześnie z pewnością, jakby przewidywał, że przeznaczenie znów nas połączy.

- Według naszych nauczycieli - kontynuowałem - Mesjasz przybędzie dopiero wtedy, gdy Izraelowi podporządkuje się najmniejsze królestwo, tak jak to jest napisane: *W tym czasie Panu zostanie przyniesiony dar przez rozproszone ludy.*

- Wygnańcy już wrócili na ziemię Izraela. I nadal przybywają zewsząd, z Rosji, Etiopii, Ameryki Południowej!

- Jest powiedziane, że Syn Człowieczy przyjdzie, gdy w Izraelu nie będzie już ani jednej pysznej duszy: *Zniszczę tych, którzy żyją w pysze, a ocalę lud ubogi, który wiele ucierpiał, i to on znajdzie schronienie w imieniu Boga.*

- Czyż nie ucierpieliśmy przez tę straszną wojnę?

- Według naszych nauczycieli Jerozolima zostanie ocalona tylko przez sprawiedliwych, tak jak zostało powiedziane: *Syjon będzie ocalony zgodnie z wyrokiem i zapanuje w nim sprawiedliwość.* Bo zostało napisane: *Cały twój lud będzie dobry i odziedziczy tę ziemię na zawsze.*

- Czy nie jesteśmy tym ludem? - zaproponował ojciec.

- Data się nie zgadza, bo Izajasz powiedział: *Przyjdzie jego czas.*

- Powiedział także: *Przyspieszę jego nadejście* - odrzekł na to ojciec.

- Jest powiedziane, że Mesjasz powinien odbudować Świątynię, sprowadzić rozproszone ludy i odnowić Prawo.

Na te słowa ojciec uśmiechnął się domyślnie.

- No właśnie.

Kiedy się z nim zegnałem, miałem dziwne wrażenie, że nie zobaczę go więcej w tym miejscu.

A on zegnał mnie, jakbym miał wrócić w nimbie chwały do niego, do nich, do tych, którzy na mnie czekają.

To dziwne wrażenie nie opuszczało mnie, gdy jechałem taksówką na lotnisko. Podczas jazdy zdrzemnąłem się i obudziłem dopiero na lotnisku Ben Guriona. Przyśniło mi się, że byłem w nieznanym mi domu, który podobno należał do moich rodziców. Jakaś kobieta spała w jednym pokoju, a ja w drugim. Gdy się obudziłem, poszedłem do pokoju

obok i zobaczyłem ją w półmroku. Pozdrowiłem ją, ale ona uciekła, obrzucając mnie obelgami.

Kiedy się ocknąłem, długo zastanawiałem się nad znaczeniem tego, co mi się przyśniło. Bezskutecznie. Uznałem, że wyjaśni się to w przyszłości. Sny czasami bywają takimi przepowiedniami, które mogą zrozumieć tylko ci, którzy potrafią je odczytywać i widzą przyszłość. *Przyjdzie ranek i przyjdzie znowu noc. Wróćcie, jeśli chcecie jeszcze zadać pytanie.*

## II

### *Zwój nauczyciela*

*Potem zagrają im kapłani na trąbach przypomnienia, a oni otworzą bramy wojenne i wyjdą wojownicy lekkobroejnej piechoty, a oddziały ustawią się między liniami. Kapłan zaś da im sygnał formowania, oddziały zaś na głos trąb rozejdą się, aby każdy stanął na swoim stanowisku. Wtedy zagrają im kapłani drugi sygnał jako znak natarcia. A gdy zbliżą się do Kittim na odległość rzutu, każdy podniesie swoją rękę z orężem wojennym. Sześciu kapłanów będzie trąbić głosem ostrym i nagłym, w czasie trwania walki Lewici i wszyscy, którzy grają na rogach bojowych, zagrają wielkim głosem. Na dźwięk tego sygnału zaczną się rzeź i upadek Kittim.*

Zwoje z Qumran

*Reguła wojny\**

---

\* Witold Tyloch, *Rękopisy z Qumran nad Morzem Martwym*, PWN, Warszawa 1963.



Jane - Jane Rogers, agentka CIA - postanowiła wyjechać. Ale dlaczego zniknęła bez jednego słowa? Dlaczego zostawiła mnie bez żadnych wyjaśnień? Bałem się o nią i jednocześnie było mi przykro. Przekonywałem sam siebie, że musiała tak postąpić dla dobra zleconej jej misji, że nie mogła mi o niej powiedzieć.

A może to tylko moje absurdałne pomysły, marzenia, pragnienia? Nie wiedziałem, dlaczego wyjechała tak szybko i tak daleko po tym wszystkim, co mi szeptała, po tym, co ja jej mówiłem. Po tym, co razem przeżyliśmy, wyjechała bez słowa pożegnania, zostawiając mnie samego, pogrążonego w rozpacz.

A jeśli uciekła przede mną? A może jej wyjazd nie miał ze mną nic wspólnego? Może mnie już nie kochała, jeśli w ogóle kiedyś kochała? W takim razie czy mam prawo jechać za nią na koniec świata? Jak się o tym przekonać? Jak interpretować jej milczenie? Jak to rozumieć?

Zastanawiałem się także, czy przypadkiem cała ta sprawa nie jest manipulacją ze strony Shimona Delama, który przewidywał, że nie zgodzę się dla niego pracować, ale jednocześnie dobrze wiedział, że nie potrafię żyć bez Jane.

Istotnie, nie potrafiłem. Teraz zdawałem sobie sprawę, że odkąd ją poznałem, żyłem tylko dla niej; kochałem ją, ale nie przyznawałem się do tego przed sobą. Wszystko, czego szukałem przez całe życie, znajdowało się przed moimi oczami, ale ja tego nie dostrzegałem. Powinienem być iść za nią, bo tak zawsze robiłem, powodowany wewnętrzną koniecznością, która rządzi ciałem i duszą i która zwie się miłością.

Domyślałem się, że esseńcyzy uważają, iż dałem się uwieść kobiecie kusicielce, która sprowadza mężczyznę z jego drogi. Powinni wiedzieć, że ją kocham i że nie ma mowy, abym do nich wrócił. Jakże musieli być rozczarowani, skoro pokładali we mnie tak wielkie nadzieje, i jak wielki musiał być ich ból. Byli pewni, że po tak długim oczekiwaniu dotarli

wreszcie do celu. I wówczas, w kluczowym momencie, zamiast wymówić słowo, które spowodowałoby przyjście Wiekuistego, ja wymówiłem jej imię, a ono samo spłynęło z moich warg.

Była tak piękna, tak dzielna. Była jak spadająca gwiazda, przy której spełniają się wszystkie życzenia. Chciałbym uchronić ją przed wszystkimi tragediami życia, konsekwencjami jej pracy. Dlaczego nie zostawiła mi żadnego wyboru?

Pakując się, zostawiłem białe szaty esseńskie, strój skryby, kapłana, Mesjasza, wzięłem tylko plastron arcykapłana. Miałem nadzieję, że drogie kamienie pomogą mi teraz, kiedy nie mam serca do modlitwy.

Ojciec uczył mnie, że te dwanaście kamieni ma moc uzdrawiającą. Tak mówił mu jego ojciec, a jemu z kolei jego ojciec. Kamień pokolenia Rubena - rubin - ma zdolność uspokajania, topaz - kamień pokolenia Symeona - oczyszcza krew i uczy o korzyściach wątplenia, beryl - kamień pokolenia Lewiego - rozwija mądrość i pomaga w uczeniu się, turkus - kamień pokolenia Judy - ucisza umysł i usuwa troski. Szafir pokolenia Issachara wzmacnia wzrok i sprowadza pokój. Hiacynt pokolenia Dana dodaje sił sercu i przynosi radość oraz sukces; agat pokolenia Neftalego obiecuje pokój i szczęście oraz usuwa zły urok; jaspis pokolenia Gada czyni silnym w chwilach niepokoju i strachu; szmaragd pokolenia Aszera zwiększa odwagę i sukcesy w operacjach handlowych; onyks pokolenia Józefa rozwija pamięć, która pozwala mówić rozsądnie; nefryt pokolenia Beniamina zapobiega krwotokom, polepsza wzrok i pomaga przy porodach. Brakuje mi tylko jednego kamienia - diamentu pokolenia Zabulona, kamienia długowieczności.

Rano nie założyłem tefilinu. Wieczorem nie odmówiłem modlitwy. Moją modlitwą poranną i wieczorną była Jane. Pragnąłem być tylko z nią.

Nie chciałem już być człowiekiem wierzącym, albowiem moją religią była miłość, nie chciałem już być esseńczykiem, bo pragnąłem żyć z Jane aż do końca świata. Nie chciałem już być Mesjaszem, ponieważ pragnąłem, żeby świat nadal istniał, abym mógł kochać Jane.

W końcu stałem się taki, jaki byłem w dzieciństwie, pragnąłem żyć w niewiedzy i zapomnieć o latach nauki. Nie pamiętałem już niczego. Byłem zrodzony do miłości i przez miłość.

Wsiadłem do samolotu, który, z międzylądowaniem w Europie, miał mnie zawieźć do Kraju Wschodzącego Słońca.

Usadowiwszy się wygodnie w fotelu, wyjąłem z torby fotografie. Zdjąłem okulary w metalowej oprawie i przyłożyłem je niczym lupę, aby lepiej obejrzeć zdjęcia. Nagle serce mi

zamarło. Na fotografii manuskryptu trzymanego w ręku przez zmarłego rozpoznałem cechy pergaminu i drobne, ścisłe pismo, charakterystyczne dla manuskryptów hebrajskich.

Podczas postoju w Paryżu rozmyślałem o chwilach spędzonych w tym mieście, kiedy prowadziłem dochodzenie w sprawie manuskryptów znad Morza Martwego. Była wtedy ze mną Jane. Poznałem ją w Paryżu w pewnym mieszkaniu, do którego się włamałem, nieświadomy tego, iż ona zrobiła to samo chwilę przedtem. Od razu pojąłem, że ją kocham, chociaż przez lata uciekałem od tej myśli, cierpiąc straszne męki. Było to tak, jakby serce, nie zważając na rozsądek, przeczuwało całą prawdę ukrytą pod realiami życia. Potem spotykaliśmy się wiele razy, gubiliśmy się i znowu odnajdywaliśmy, szukaliśmy się, aż poczuliśmy do siebie miłość. Czy teraz znowu mamy się rozstać? Na jak długo?

W końcu wsiadłem do olbrzymiego samolotu Japan Air Lines, w którym zapobiegliwy Shimon zamówił dla mnie koszerne jedzenie, czego nigdy przedtem nie robił, nawet wtedy, kiedy byłem ultraortodoksyjny. Czyżby on także chciał przywołać mnie do porządku? Oczywiście nie chodziło mu o mesjanistyczną misję, ale zadanie, które miałem wykonać dla niego.

Zauważyłem, że stewardesy okazują mi wyjątkowe względy, zachowując się inaczej niż w stosunku do pozostałych pasażerów.

Były bardziej niż usłużne. Traktowały mnie z pewnym rodzajem uległości i szacunku. Często przychodziły, pytając, jak się czuję, przynosząc mi szklaneczkę sake, soku pomarańczowego albo nawet cukierki. Kiedy okazałem zdziwienie, jedna z nich powiedziała:

- Pan jest kapłanem, prawda?
- No tak... to znaczy... byłem nim. Ale skąd pani o tym wie?
- W Japonii tylko kapłani mają specjalną dietę.

Mój umysł pogrążył się w rozmyślaniach, które zawiodły mnie nad brzegi Morza Martwego, gdzie byłem arcykapłanem, ja, Cohen, syn Cohena, z rodu Mojżesza i Aarona. I żyłem tam jak wszyscy Hebrajczycy, którzy przebywali na pustyni. Na tej pustyni wszystko się zaczęło. Bóg powiedział do praprzodka Abrahama: Zostaw kraj rodzinny, dom. Abraham zapytał: Dokąd mam się udać? Odpowiedź brzmiała: Do kraju, który ci wskażę. Bóg obiecał Abrahamowi ziemię, potomstwo tak liczne jak gwiazdy na niebie i piasek na brzegu morza. Mojżeszowi dał tablice Praw. Potem lud został wygnany ze swego kraju, rozproszony po całym świecie, a jego Świątynia zburzona. Z dwunastu pokoleń tworzących lud Mojżesza pozostały tylko dwa: pokolenie Judy i pokolenie Beniamina, od których pochodzą dziś

wszyscy Żydzi.

Dziwne, ale uświadomiłem sobie, że ta historia, która zawsze mnie wzruszała, teraz stała się odległa, obojętna. Teraz ten lud wydał mi się obcy, chociaż wcześniej postanowiłem poświęcić mu życie. Teraz myślałem o czymś zupełnie innym. Jego los wcale mnie nie poruszał. Urodziłem się między nimi, ale czy muszę poświęcać życie tej legendzie, ich historii? Ja, który przedtem nie rozumiałem, jak moja matka, z pochodzenia Rosjanka, mogła pozostawać obojętną na tradycje swojego ludu, ja, który miałem jej za złe, że, moim zdaniem, żyła, negując samą siebie, teraz po raz pierwszy dostrzegłem, że można nie chcieć być Żydem, można nie chcieć różnić się od innych. Izrael wydał mi się teraz krajem takim samym jak inne, podobnie jak jego naród. A skoro tak, to nie miałem żadnej specjalnej misji do wypełnienia. Wszystko jest tylko kwestią wyboru, nie ma przeznaczenia, nie ma prawa, żadnych zobowiązań oprócz tych, które sami sobie narzucimy. Czyż nie jest to największa prawda?

Gdy na lotnisku czekałem w kolejce, by nadać bagaż, nie czułem się najlepiej w otaczającym mnie tłumie. Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że jestem między Żydami. Nigdy przedtem nie myślałem tymi kategoriami, bo sam do nich należałem. Nagle wszystko wydało mi się inne. Te rodziny, pary, dzieci, młodzi ludzie z zatroskanymi twarzami lub głośno rozmawiający i śmiejący się. Czym różnią się od innych? Zdarzało mi się być w tłumie Francuzów lub Amerykanów i nigdy nie miałem takich refleksji. A tutaj wiedziałem, że jestem pośród Żydów. Patrzyłem na nich. Jedni mieli oczy jasne, inni ciemne, cerę białą lub matową, włosy rude, czarne lub blond, byli wysocy i niscy - w czym byli do siebie podobni? I nagle pojąłem, że tym, co ich łączy, co ich do siebie upodabnia - niezależnie od tego, czy są jasnowłosi czy ciemnowłosi, wysocy czy niscy, słabi czy silni, szczęśliwi czy nieszczęśliwi, uprzejmi czy złośliwi - jest Księga, ich księga, która określiła, kim są, która im powiedziała: jestem waszym Bogiem i nie będziecie mieli innego Boga przede mną. Aszkenazyjczyk czy sefardyjczyk, Żyd czy Izraelczyk, wierzący czy ateista, ten lud miał tego samego Boga i nie było innego Boga przed nim.

Zaczynałem rozumieć, że można nie kochać swojego kraju, swojej ziemi - tak jak nie kocha się swojej rodziny czy dzieciństwa - po prostu dlatego, że się z tego wyrosło, stało się bardziej dojrzałym i chce się innego losu niż ten, który jest nam przeznaczony. Byłem tą refleksją zaskoczony, ale zarazem znalazłem w niej pocieszenie: stałem się wolny.

Byłem szczęśliwy, że odszedłem tak daleko od wszystkiego, od wszystkich, od tej ziemi zamieszkaanej przez moich rodaków i od tego Boga, który już przestał być moim Bogiem.

Samolot wylądował wreszcie na lotnisku Narita. Zaskoczył mnie wiszący nad wejściem do hali przylotów powitalny napis skierowany do wszystkich podróżnych. W latach poprzednich dużo podróżowałem w związku z prowadzonymi przeze mnie dochodzeniami i sądziłem, że Izrael jest jedynym krajem, który tak wita przyjezdnych: „Niech będą błogosławieni ci, którzy do nas przybywają”. W Japonii napis ten był nieco inny: „Niech będą błogosławieni ci, którzy przybywają do nas, ale niech szanują nasze prawa”. Pomyślałem, że to ciekawe ostrzeżenie, które należy wziąć pod uwagę.

Tak jak zapowiedział Shimon, czekał na mnie „mój kontakt”. Od razu ruszył w moim kierunku. W rękę miał moje zdjęcie, które Shimon musiał mu wcześniej przesłać. Był to młody mężczyzna, miał chyba nie więcej niż trzydzieści lat. Jego okrągła twarz z zadartym nosem, kwadratowymi okularami i przyjaznym uśmiechem wyglądała jowialnie.

- Toshio Matsuri - przedstawił się. - Cieszę się, że pana widzę, panie Ary. Nie tak często przyjeżdżają do nas cudzoziemcy...

Skłonił się lekko, a po sekundzie namysłu podał mi rękę.

Zaprowadził mnie do swojego auta, nowiutkiej toyoty z wygodnymi siedzeniami. Podróż trwała kilka godzin, które wydały mi się wiecznością, tak bardzo pragnąłem zobaczyć znowu Jane i dowiedzieć się o niej czegoś więcej. W moim życiu nastąpił nagle taki zwrot, takie przyspieszenie, że czułem się, jakbym wyszedł z siebie, byłem w stanie najwyższego podniecenia i szczęścia, jakie może wywołać jedynie spełniona miłość.

Podczas jazdy Toshio opowiadał o swoim kraju, czego słuchałem z roztargnieniem, z głową wygodnie opartą o zagłówek w białym pokrowcu. Powiedział mi, że Narita to miasto, gdzie znajduje się jedna ze świątyń shingon-shu, japońskiej sekty buddyjskiej. Samochód pędził autostradą numer 3, a mijany pejzaż niczym specjalnym się nie wyróżniał. Jedyną rzeczą, która przypominała, że jesteśmy w Japonii, była jazda bez wyprzedzania, bez przeszkadzania innym, bez używania klaksonu. Na szosie panował porządek i spokój. Ale mimo to wyczuwałem, nie wiadomo dlaczego, potencjalne zagrożenie.

- Najpierw spotkamy się z Shōjū Rōjinem, mistrzem świątyni, w której znaleziono zwłoki. Pochodzi on ze starożytnej rodziny samurajskiej ze znakomitymi przodkami. Wie pan o tym, że jeden z naszych mnichów zniknął?

- Tak, wiem.

- Nazywał się Senzo Nakagashi. Studiował u mistrza przez sześć lat.

- A gdzie jest Shōjū Rōjin?

- W Kioto. Przekona się pan, że to niezwykle człowiek. Niewielu jest mnichów, którzy mają odwagę się z nim spotykać. To jeden z najsławniejszych mistrzów walki w

Japonii. Choć jest młody, nie ma jeszcze czterdziestu lat... O jego ojcu, który również był znakomitym wojownikiem, opowiadano następującą historię: pewnego dnia jeden z jego uczniów powiedział mu, że jest on już za stary, żeby walczyć, i podał mu drewniany miecz, ale mistrz odrzekł: „Mnich nie powinien wywijać mieczem, nawet drewnianym”. Młody zuchwalec skierował swój miecz przeciw mistrzowi, by skłonić go do walki, a ten podjął wyzwanie... używając wachlarza, za pomocą którego uczy się sztuki obrony. Młody uczeń, zmęczony atakiem, w końcu się poddał. „Na czym polega twój sekret, mistrzu?” - zapytał. - Stary mistrz odrzekł: „Mój sekret jest następujący: żeby wygrać, trzeba jasno widzieć”.

- A co z Jane Rogers? - zapytałem, niezbyt uważnie słuchając mojego przewodnika.

- Jane Rogers?

- Kiedy się z nią spotkamy?

- Pan Shimon nie powiedział ci...

- Nie, a o co chodzi? - przerwałem mu zaniepokojony.

- Straciliśmy z nią kontakt.

- Straciliście kontakt?! - krzyknąłem. - Co ma znaczyć „straciliśmy kontakt”?

- To było tak: pojechałem po nią na lotnisko, odwoziłem do hotelu i miałem się z nią spotkać następnego dnia rano, ale ona zostawiła mi wiadomość, że rezygnuje z kontaktu ze mną.

- A to znaczy...

- Że nie wiemy, gdzie jest.

- Gdzie znajduje się jej hotel?

- Tam, dokąd teraz jedziemy, panie Ary. W Kioto. Ten sam, w którym i pan się zatrzyma.

W końcu dojechaliśmy do Kioto, gdzie mieliśmy umówione spotkanie ze słynnym mistrzem. Chciałem najpierw pojechać do hotelu, ale Toshio stanowczo zaoponował, wyjaśniając, że nie możemy się spóźnić, że to niedopuszczalne.

Udaliśmy się więc bezpośrednio do świątyni znajdującej się w dolinie na obrzeżach Kioto. Aby do niej dotrzeć, trzeba było przejść przez piękny ogród, w którym panował niczym niezmacony spokój. Droga prowadziła wzdłuż krętego strumienia ocienionego kwitnącymi drzewami wiśni i klonami, aż do rzeki z wąskim mostem. Rosły pod nim białe lotosy. Nieco dalej woda spływała po płaskich kamieniach, tworząc wodospad - był to swoistego rodzaju obraz początków powstawania świata, aktu Stworzenia, który według Księgi Rodzaju miał miejsce trzeciego dnia, kiedy wszystko przygotowywało się do istnienia.

Do następnej części ogrodu prowadziła obsadzona starymi cyprysami aleja. Jej pobocze wysypane było piaskiem, z którego sterczały starannie rozmieszczone kępki trawy i kwiatów.

Świątynię otaczał żywopłot z wiśni, dzikich goździków i ogrodowej malwy. Była to budowla z drewna cyprysowego i sosnowego, dwupiętrowa, z malowanymi dachami przypominającymi kapelusze. Wchodziło się do niej przez majestatyczną bramę otwierającą się na ogród, który rozciągał się aż do holu wejściowego.

Przed rozsuwanymi drzwiami werandy zdjęliśmy buty i weszliśmy do średnich rozmiarów pomieszczenia, gdzie na niewielkim stoliku leżały dwa miecze: duży i mały.

Z tego pomieszczenia przechodziło się do dużego pokoju z drewnianymi ścianami i posadzką tak gładką, że trzeba było uważać, żeby się nie poślizgnąć. Jedyne umeblowanie tego wnętrza stanowił niski stół otoczony niskimi taboretami oraz szafa z jasnego drewna. Na środku, przed jedwabnym parawanem, stał pojemnik z żarem. W alkwie widać było jakiś posąg i japońskie ryciny. Wszystko tonęło w przesianym przez żaluzje jasnym świetle dnia, które dawało uczucie spokoju i harmonii z dala od wrzawy miasta.

- To pokój ceremonii picia herbaty - szepnął Toshio.

Usiedliśmy przy stole na niskich taboretach i czekaliśmy.

Po kilku minutach pojawił się młodzieniec i przedstawił się jako syn mistrza Shôjû Rôjina, który wkrótce nas przyjmie.

Toshio, wyprostowany niczym struna, milczał, jakby bał się zakłócić spokój tego miejsca. Mnie zaś głowa zaczęła się kiwać i, nie mogąc nic na to poradzić, wkrótce zasnąłem.

Po godzinie wreszcie pojawił się mistrz. Ubrany był jak mnich, w jedwabne, białoczarne kimono. Nie mogłem zastosować metody kabalistycznej i na podstawie zmarszczek określić charakteru mojego rozmówcy, ponieważ mistrz Shôjû Rôjin, podobnie jak wielu Azjatów, miał czoło idealnie gładkie.

Musiałem więc zastosować inny sposób. Zdecydowałem się na metodę z horoskopu z Qumran, która pozwala określać osobowość ludzi na podstawie ich włosów, kształtu rąk i nóg oraz twarzy.

Mistrz miał długie, opadające na ramiona ciemne włosy i okrągłe policzki z wystającym kośćmi. Największą jednak uwagę zwracały jego oczy o tak nieruchomym spojrzeniu, że trudno było patrzeć mu prosto w twarz. Na piersi, widocznej w rozcięciu kimona, nie miał włosów, co, według horoskopu, oznaczało osobę szlachetną i sprawiedliwą. Ponieważ jednak Azjaci generalnie pozbawieni są zarostu, metoda ta nie mogła być uznana za

pewną.

Jego oczy nie były ani jasne, ani ciemne, zęby miał piękne, równe, nie był ani wysoki, ani niski. Miał w sobie osiem części z Domu Światła i jedną z Domu Ciemności.

- Przybyliśmy w sprawie śmierci mężczyzny sprzed dwóch tysięcy lat, którego ciało zostało znalezione w tutejszej świątyni - powiedziałem, kiedy zostaliśmy mu przedstawieni. - Interesuje nas również, czy zniknięcie mnicha Nakagashiego ma coś wspólnego z tym człowiekiem.

Mistrz przez dłuższą chwilę przyglądał mi się w milczeniu. Odniosłem wrażenie, jakby on także oceniał mnie na podstawie jakiejś własnej metody.

- Przyjechał pan z daleka, by pokonać naszych wrogów - odrzekł powoli.

- Z Izraela. Wydaje nam się, że człowiek znaleziony w waszej świątyni miał przy sobie hebrajski manuskrypt.

- Musi pan poznać sztukę walki, ponieważ znają ją nasi wrogowie.

- Znają?

- Tak, nasi wrogowie się nią posługują.

- Proszę mi wybaczyć, mistrzu, ale skąd ta pewność?

Znowu popatrzył na mnie przenikliwym wzrokiem.

- Mnich Nakagashi nie żyje - odrzekł po chwili. - Znaleźliśmy go dziś w nocy w sanktuarium. Zostanie pochowany jutro zgodnie z tradycją.

- My także grzebiemy naszych zmarłych następnego dnia - szepnąłem. - Czy wiadomo, jak umarł?

Zapadła tak lodowata cisza, że przeszył mnie dreszcz.

- Czy chce pan zobaczyć sanktuarium?

Mistrz dał znak, bym poszedł za nim. Poprowadził mnie na koniec długiego korytarza, gdzie za zasuwanyimi drzwiami znajdował się duży, ciemny i pusty pokój, podobny do pierwszego. Pokój z fotografii, którą dał mi Shimon. Na podłodze leżała tatami. Wszystko było w tym samym beżowopomarańczowym kolorze.

Ściany pokrywała tapeta z beżowego papieru ryżowego. Na niewielkim podwyższeniu stała szafa z malowanego drewna.

- Czy to w tym miejscu się modlicie? - zapytałem.

- Tak.

- A co jest w szafie?

- Różańce i nasze teksty.



Podszedł do szafy, otworzył ją, po czym podał mi mały naszyjnik z białych i fioletowych pereł oraz bambusowy kij z napisami na całej jego długości.

- To nasze teksty - wyjaśnił.

- No tak, my także uważamy, że dziesięć przykazań zostało spisanych w kolumnach, a nie w rzędach poziomych jak na pergaminie.

- Pan jest żydem? - Po raz pierwszy twarz mistrza rozjaśnił uśmiech. - Nie wszyscy agenci izraelscy są żydami.

- To prawda - odrzekłem. - Ale, wracając do sprawy, jak został zabity mnich Nakagashi?

- Policja nie odkryła przyczyny jego śmierci.

- Nie było żadnych śladów? Żadnego narzędzia zbrodni?

- Nie znaleziono niczego, co wskazywałoby na przyczynę zgonu.

- Żadnych stłuczeń, skaleczeń, ran?

- Nic.

Patrzyłem na niego z niedowierzaniem.

- Skąd pan wie, że został zabity zgodnie z tradycją samurajską?

- Niczego takiego nie powiedziałem - odrzekł mistrz z zagadkowym uśmiechem.

- Nie, ale mówił pan, że nasi wrogowie stosują sztukę walki. Chociaż niewiele wiem o waszej kulturze, to przecież widzę, że to dom samurajski. Świadczą o tym choćby miecze znajdujące się na werandzie. Właśnie z tego wywnioskowałem, że Nakagashi zginął jak samuraj. Czy się mylę?

- Nie - mruknął mistrz, przyglądając mi się uważnie.

- Czy sądzi pan, że to zabójstwo ma jakiś związek z tym zamrożonym mężczyzną?

Mistrz jakby zastanawiał się przez moment.

- Nakagashi był człowiekiem o bystrym umyśle.

- I co z tego wynika?

- Nie miał mentalności zwykłego człowieka dostrzegającego tylko to, co pozorne, przywiązane do rzeczy przyziemnych. Chciał osiągnąć wyższy duchowy poziom, będąc mocno zakorzenionym w życiu codziennym.

- Czy to pan wprowadzał go w tajniki wiary?

Shôjû Rôjin potwierdził skinieniem głowy.

- Był dobrym, inteligentnym uczniem. Bardzo szybko udało mu się odnaleźć doświadczenie pierwotnego umysłu. Od tego momentu stało się możliwe wzniesienie się nad przywiązanie do tego, co rodzi iluzja. Osiągnął wolność poprzez jasną i przenikliwą wizję.

Osiągnął stan „prawdziwej, niezniszczalnej materii”. Strach i niepokój były mu obce. Niewzruszony i zawsze opanowany, był mistrzem we wszystkich dziedzinach. Dlatego nazywano go „człowiekiem wielkiej siły”. Okazywał odwagę i zdecydowanie. Miał umysł umożliwiający mu wychodzenie poza zwykłe sprawy. I dlatego nazywano go „człowiekiem Drogi”. Nie przywiązywał się myślami do pozorów, jak zwykli ludzie.

- Mistrzu - odezwał się Toshio - czy zechciałbyś wyjaśnić naszemu gościowi, Ary'emu Cohenowi, co to takiego sztuka walki? Nie zna on bowiem naszych metod ani zasad.

- To stara sztuka, której nauczał nasz mistrz Sun Tzu.

- Co to za sztuka?

- Czy chce pan dowiedzieć się wszystkiego w czasie, przez jaki można ustać na jednej nodze? - zapytał mistrz z dziwnym uśmiechem.

Byłem zaskoczony. Zdziwiło mnie, że mistrz robi aluzję do tradycji rabinów, znawców Talmudu.

- Już nasz wielki mędrzec Hillel powiedział, że to niemożliwe, ale chętnie spróbuję...

Mistrz opuścił oczy i z głębokim westchnieniem szepnął:

- Nasze reguły i nasze prawa są inne niż wasze.

Gdy wyszliśmy ze świątyni, było już ciemno. Miasto migotało różnokolorowymi lampionami niezliczonych świątyń. Przypominało mi Jerozolimę i jej synagogi oświetlone lampami, rzucającymi złotawe blaski na ich białe kamienne mury. Miasto świątyń - podobnie jak Kioto.

Weszliśmy do wielkiego, nowoczesnego, szarego budynku, w którym znajdowała się komenda policji miasta Kioto, i tam uzyskaliśmy szybko potwierdzenie, że na ciele Nakagashiego nie było żadnych śladów pozwalających na ustalenie przyczyny śmierci.

Zwłoki zamrożonego mężczyzny znajdowały się w laboratorium, do którego zamierzaliśmy udać się następnego dnia.

W końcu Toshio raczył odwiedzić mnie do hotelu, który zarezerwował dla mnie w Kioto i w którym zatrzymała się także Jane.

- A czy pan zna sztukę walki? - zapytałem Toshio jeszcze w czasie jazdy samochodem.

- Oczywiście - odrzekł. - Zostałem wtajemniczony przez nauczyciela.

Pomyślałem, że Jane także uczyła się sztuki walki, że przeszła szkolenie wojskowe, umiała się bronić, ale wcale mnie to nie pocieszało.

Sądziłem, że jest dziennikarką, ale nią nie była, że jest archeologiem, ale nim także nie była. Teraz okazywało się, że jest tajnym agentem. Co jeszcze przede mną ukrywała?

„Słuchaj, Ary - powiedziałaaby, gdybym zadał jej takie pytanie. - Jestem archeologiem. Jestem też dziennikarką. Mam tytuł doktora z dziedziny archeologii Bliskiego Wschodu, uzyskany w Harvardzie. Dla CIA wykonuję zadania specyficzne”.

Siedziałbym obok niej, obejmował ją, całował w usta.

„Kocham cię, Jane - odpowiedziałbym na to. - Ale wolałbym, żebyś już nie miała przede mną sekretów”.

- Przepraszam, że przeszkadzam - usłyszałem nagle. - Czy zamierza pan poznać sztukę walki?

- Wolę sztukę kochania - mruknąłem.

- To prawdziwa wiedza, panie Ary, trzeba ją uprawiać, żeby zrozumieć.

- To samo dotyczy sztuki kochania.

W recepcji hotelowej poprosiliśmy o klucz do pokoju Jane.

Był mały, nieładny, ale dość wygodny. Gdy otwierałem drzwi, miałem wrażenie, że czuję zapach jej perfum: słodki, różany, którym pachniała, gdy trzymałem ją w ramionach kilka dni temu. Jakby za sprawą jakiejś magii przypomniał mi te wyjątkowe chwile i moje serce zalała gorąca fala pożądania, budząc uśpione zmysły.

Walizka z jej rzeczami była uchylona. Zajrzałem do szafy ściennej, gdzie nadal wisiały ubrania Jane. Najwyraźniej nie planowała ucieczki ani wyjazdu bez powrotu.

To, co się potem wydarzyło, zakrawało na cud i chyba nie uda mi się tego dokładnie opisać. Muszę przyznać, że nie zdołałem wykonać żadnego ruchu, wypowiedzieć ani jednego słowa. Wszystko stało się bardzo szybko, zbyt szybko, żebym mógł coś zrobić. Z łazienki wyłoniło się dwóch mężczyzn w maskach, ubranych na czarno.

Toshio na ich widok przyjął pozycję obronną. Rozpoczęła się walka, w czasie której Toshio robił błyskawiczne salta, uchylając się od ciosów napastników. Sam nie atakował. Zasłaniał się tylko odpowiednio ułożonymi rękami. W pewnym momencie napastnicy spojrzeli po sobie i wypadli z pokoju.

Toshio, nawet niezdzyszany, patrzył za nimi, stojąc bez ruchu.

- Toshio, wszystko w porządku? - zapytałem.

- Tak, w porządku - odrzekł, zamykając drzwi na klucz. - Ale nie zawsze musi być tak samo.

- Dlaczego?

- Wykorzystałem moment zaskoczenia. Następnym razem będą już na to przygotowani.

- Kim są ci ludzie? Co robili w pokoju Jane?

- Znają sztukę walki. Myślę, że mistrz ma rację, panie Ary.

- W czym?

- Że i pan powinien ją poznać.

- Ale jak? Ile czasu na to potrzeba?

Wciąż zastanawiałem się, gdzie jest Jane.

Przeszukaliśmy pokój bardzo dokładnie, ale nie znaleźliśmy w nim żadnej wskazówki. Jane zniknęła bez śladu.

Następnego dnia udaliśmy się do laboratorium ekspertyz medycznych. Przyjęła nas młoda kobieta i wprowadziła do sali, gdzie znajdowały się zwłoki człowieka, którego nazywaliśmy „człowiekiem z lodów”.

Przechowywano go w swego rodzaju szklanej klatce ze stałą, niską temperaturą. Był nagi, nieowłosiony. Obok, w szklanej skrzynce, leżały resztki jego ubrania. Obecnie poczerniałe, kiedyś miało chyba kolor czerwony.

Podszedłem do zwłok i uważnie je obejrzałem. Serce zabiło mi mocniej. Było to tak nieprawdopodobne, nierealne, a jednak prawdziwe. Ten człowiek miał dwa tysiące lat. Przez sekundę zapragnąłem, żeby się ocknął i wyjawiał swój sekret niczym stary manuskrypt, ale on pozostał chłodny i nieruchomy, skamieniały, zastygły na zawsze.

Rysy twarzy zanikły, ciemna skóra z głębokimi zmarszczkami była popękana. Nie różnił się niczym od dzisiejszych ludzi, ja jednak czułem, że coś mi w nim nie pasuje.

- Gdzie go znaleziono?

- Tego nie wiemy. Może tu, w Japonii, gdzie mamy góry z wiecznymi śniegami. Może gdzie indziej. Czy widzi pan ten znak na jego ramieniu?

Zobaczyłem mały otwór na wysokości barku.

Kobieta pokazała mi zdjęcia rentgenowskie.

- Widzi pan ten ślad?

- Tak.

- To ślad zostawiony przez strzałę lub ostrze włóczni. Ten człowiek bez wątplenia został zamordowany dwa tysiące lat temu. Ale gdzie został znaleziony, co robił w tej świątyni, kto go tam przeniósł i z jakiego powodu, tego nie wiemy.

- A fragment znalezionego przy nim manuskryptu?

- Zabrała go policja, jako dowód rzeczowy po zamordowaniu Nakagashiego.

Jeszcze raz przyjrzałem się temu człowiekowi, jego twarzy z zanikającymi już konturami, ustom, ciemnej skórze, ledwie widocznym oczom.

- Czy jest typem azjatyckim?

- Trudno powiedzieć.

Młoda laborantka wyjaśniła mi, że to niezwykle przypadek, jeszcze nigdzie nieopisany. Rozmrożenie zwłok wiązałoby się z ogromnym ryzykiem, gdyż spowodowałoby nieodwracalne uszkodzenia. Grupa lekarzy sądowych stale obserwuje tę mumię, przechowywaną w pomieszczeniu o temperaturze minus sześciu stopni. Przebadali próbki tkanek i kości, ale ciało odwodniło się pod wpływem suchych zimnych wiatrów. Nietknięte są błony komórkowe, w dobrym stanie zachowało się serce.

Pobrali też próbki z żołądka i wykryli resztki pożywienia, ostatniego posiłku spożytego przez tego człowieka.

Próbowano zbadać jamę ustną, ale zamrożona szczęka nie dawała się otworzyć. Pozostawało pytanie o przyczynę śmierci, ponieważ na zdjęciu rentgenowskim widać było dużą czarną plamę na piersi, a w barku tkwił dziwny ciemny przedmiot. Z wielką ostrożnością poddano zwłoki skanowaniu, cały czas okładając je lodem, i wtedy ujrzano tkwiący w plecach kamienny grot strzały.

Kiedy człowiek ten wybierał się w góry, zapewne nie zdawał sobie sprawy, że jest śledzony. Może próbował się bronić? Zaatakowany podniósł prawą rękę, chcąc się czegoś chwycić. Ale czego? Nie wiadomo, w którym momencie zmarł. Jeśli strzała przecięła arterię, skonał po kilku zaledwie minutach, jeśli trafiła w żyłę, mogło to trwać kilka godzin. Tak czy inaczej, został zamordowany.

Gdy wychodziliśmy z laboratorium, Toshio zaproponował, abyśmy poszli do mistrza Shôjû Rôjina.

- Nie teraz - odpowiedziałem. - Chciałbym najpierw przekonać się, czy to rzeczywiście fragment hebrajskiego manuskryptu. Powinniśmy pójść na policję.

- Dobrze, panie Ary - rzekł Toshio z lekkim ukłonem. - Postaram się zorganizować to spotkanie. Ale teraz pragnie cię zobaczyć mistrz, ponieważ zgodził się nauczyć cię swojej sztuki - powtórzył.

- Czy potrzeba całych lat ćwiczeń, żeby móc ją stosować?

Toshio wdał się w długie wyjaśnienia, z których wynikało, że przy takim mistrzu wystarczy kilka lekcji, żeby opanować najważniejsze zasady, co oczywiście nie zastąpi lat

praktyki.

- Czy praktykował pan już coś takiego, Ary?

- Praktykowałem? - Nie mogłem się przyzwyczaić do tego słowa, gdy odnoszono je do czegoś innego niż religia.

- Chodzi mi o sztukę walki.

- Podczas trzech lat służby w wojsku poznałem krav maga. To izraelska sztuka walki.

- Ach tak...

Uśmiechnąłem się do siebie w duchu, gdyż krav maga w żadnym wypadku nie jest „sztuką”. Uczono nas oślepiania przeciwnika dwoma palcami albo zabijania go. Ciosy, zapożyczone z karate, boksu i wolnoamerykanki, miały straszliwe skutki.

I znowu kazano nam czekać kilka godzin w pokoju ceremonii picia herbaty. Potem służący zaprowadził nas na pierwsze piętro, gdzie znajdowało się *dojo*, pokój walki. Było to pomieszczenie bez mebli, tylko na podłodze leżała tatami, grubsza niż w innych pokojach, a we wszystkich ścianach były rozsuwane drzwi.

- Trzeba zdjąć buty i wykonać *sarei*, czyli ukłon - uprzedził mnie Toshio, zanim weszliśmy. - *Sarei* robią wszyscy przy wchodzeniu i wychodzeniu z *dojo*. Jedyne mistrz *dojo* może kłaniać się na stojąco. Kłaniać należy się także, gdy nauczyciel udziela jakiejś rady, jak również wtedy, kiedy wchodzi i wychodzi ze świątyni.

Zdjąłem buty i wykonałem rytuał powitania, kłaniając się tak, jak pokazał mi Toshio. Czulem się przy tym dość dziwnie i niezręcznie, jakbym oddawał cześć jakiemuś bożkowi.

Mistrz Shôjû Rôjin czekał na nas, stojąc. Na nasze pozdrowienie odpowiedział lekkim pochyleniem głowy.

Toshio zapytał go, czy zechce wtajemniczyć mnie w swoją sztukę. Wtedy mistrz zwrócił się do mnie:

- Ary Cohenie, czy pragniesz poznać sztukę walki?

- Zdaję sobie sprawę z zuchwałości mojej prośby, ale zrozumiałem, jak ważne jest, bym nauczył się chociaż podstaw sztuki walki, bez czego nie będę bezpieczny w tym kraju.

- Chętnie nauczę cię sztuki walki - odrzekł mistrz. - Ale pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Że ty nauczysz mnie swojej sztuki.

- Mojej sztuki? Ale ja nie znam żadnej sztuki.

- Twoją sztuką jest judaizm - odrzekł mistrz z uśmiechem. - Chcę, byś zapoznał mnie z judaizmem.

- Nie nauczamy tego. To trzeba praktykować. I dopiero po długim okresie praktyki człowiek widzi, czego się dzięki temu nauczył.

- Wypowiedziałeś właśnie pierwszą zasadę sztuki walki - rzekł mistrz.

- Moja sztuka - mówiłem dalej - to sztuka życia, a nie wojny. To sztuka pokoju.

- Dowiedz się więc, że sztuka walki nie polega na zabijaniu przeciwnika, ale na usuwaniu zła. Sztuka walki ocala życie wielu, usuwając zło wcielone w jednej osobie.

Przy tych słowach spokojnymi ruchami pokazał mi, jak wygląda pozycja wyjściowa: nogi ugięte, jedna ręka przed twarzą, druga wysunięta do przodu.

Zrobiłem to samo.

- Teraz - powiedział mistrz - podnieś rękę na wysokość ucha, ustaw się bokiem, żeby uniknąć ciosu ze strony przeciwnika, i zaatakuj ręką, nie ruszając biodrami.

Zamachnąłem się, ale mistrz złapał moją rękę i bez trudu wykręcił ją tak, że aż się zachwiałem.

- Sam widzisz, jak bardzo ważna jest równowaga. Tymczasem całe nasze życie jest wahaniem, samo życie waha się między ekstremalnymi rzeczami - narodzinami i śmiercią, dniem i nocą, światłem i ciemnością. Życie jest stanem przejściowym i jesteśmy na ziemi jedynie przez chwilę. W czasie, który mamy do dyspozycji, powinniśmy jednak starać się osiągnąć stan równowagi. Sztuka walki nie jest niczym innym, jak tylko szukaniem równowagi w sobie i braku równowagi w przeciwniku. Podstawą powodzenia w walce jest brak równowagi - *kuzushi*. Ma ogromne znaczenie i w różny sposób się go uzyskuje. Brak równowagi jest tajemnicą zwycięstwa. Teraz powtórz atak w taki sposób.

Stałem w pozycji wyjściowej i ponownie zaatakowałem, ale tym razem z większą siłą i szybkością, tak iż mistrz nie zdążył złapać mojej ręki. Zamierzył się pięścią, by zadać mi cios w twarz, a ponieważ zręcznie się przed nim uchyliłem, kopnął mnie lekko w brzuch.

- Nie wszystkie przemieszczenia dają taki sam efekt - wyjaśnił. - Żeby uniknąć ciosu, powinieneś być podskoczyć dalej i znacznie szybciej. *Ma-ai* - takim terminem określamy dystans między walczącymi. Możesz się oddalić lub zbliżyć, ale zrób to szybko.

Stałem przed mistrzem, czujnie czekając na dalszy ciąg.

Spojrzał mi prosto w oczy. Przez chwilę próbowałem wytrzymać jego wzrok. Nagle doznałem wrażenia, że niebo się rozpekło. Mistrz wydał z siebie tak przejmujący ostry krzyk, że zachwiałem się i omal nie upadłem. Był to krzyk z głębi jestestwa. Jego wibrująca, nieprawdopodobna siła, wstrząsnęła mną do głębi, poraziła wszystkie nerwy mojego ciała.

- Właśnie przekazałem ci wielki sekret, będący wstępem do każdej walki - powiedział mistrz obojętnym, spokojnym tonem.

- Zrozumiałem to - odrzekłem, nie otrząsnąwszy się jeszcze z oszołomienia.

Tymczasem mistrz zwinnie, na ugiętych nogach, podskoczył do mnie, chcąc uderzyć mnie pięścią w twarz. Instynktownie osłoniłem się ręką.

- Widzisz, kiedy ktoś chce uderzyć cię kijem w głowę, w naturalnym i instynktownym odruchu próbujesz się osłonić lub uchylić. Emocje wywołują niezwykle szybkie reakcje. Nasze emocje chronią nas przed agresją. Dopiero potem przychodzi czas na refleksję. Zdolność analizowania jest zbyt wolna w trakcie walki i nie może zapewnić zwycięstwa. Dlatego uczymy się korzystać z naszych instynktownych zachowań.

Mówiąc to, złapał mnie gwałtownie za kołnierz. Opierałem się ze wszystkich sił, ale on wydawał się silniejszy ode mnie.

- Widzisz, to niewłaściwa instynktowna reakcja. Kiedy ktoś chwyta cię brutalnie, opierasz się, nie zważając na swoje fizyczne możliwości. A jeśli to on jest silniejszy?

Wzmocnił uścisk, a ja bezskutecznie usiłowałem mu się wyrwać.

- Tak samo postępuje zwierzę schwyte za kark czy ryba w sieci; będą walczyć, aż wyczerpią wszystkie siły, co skończy się dla nich śmiercią.

- Nie należy więc kierować się instynktem? - zapytałem, również łapiąc go za szyję, najmocniej jak potrafiłem.

Nie opierał się, ale wykręcił mi rękę i szybko się uwolnił.

- Jak widzisz, uległe się poddając, można pokonać przeciwnika nawet wtedy, gdy jest silniejszy. Teraz chyba rozumiesz, że instynktowna reakcja nie zawsze jest dobra. Dlatego też trzeba mieć się na baczności, wyostrzyć zmysły, żeby odgadnąć intencje przeciwnika. Dzięki znajomości sztuki walki nasze zmysły stają się bardziej wrażliwe. Musisz więc nauczyć się obserwować przeciwnika, jego twarz, ręce... Wszystko, co w nim dostrzeżesz, powinno być przez ciebie wykorzystane. Tylko tym sposobem zdołasz odkryć jego najsilniejsze i najsłabsze punkty.

- Inaczej mówiąc, sztuka walki służy do wyrabiania instynktu.

- Oczywiście, sztuka walki pozwala w momencie ataku zapanować nad złymi instynktownymi zachowaniami, takimi jak stawianie oporu, unieruchomienie, usztywnienie.

- Mistrzu, chciałbym się dowiedzieć, skąd pochodzi manuskrypt, który miał przy sobie ten zamrożony człowiek.

- A jakie jest twoje zdanie na ten temat?

Podniósł rękę, żeby mnie uderzyć, ale ja uchyliłem się jednym zręcznym, szybkim ruchem.

- Może ma z tym coś wspólnego Nakagashi? Czy to nie on sprowadził zwłoki do



waszej świątyni?

Mistrz ponowił próbę, ale tym razem zareagowałem jeszcze przed atakiem. Nie spuszczał ze mnie wzroku. Zastanawiałem się w duchu, kim on jest. Przyjacielem, wrogiem, człowiekiem neutralnym? Jakie miał powiązania z Nakagashim, co wiedział o zamrożonych zwłokach, o manuskrypcie? Jaki miał interes w tym, żeby mi pomagać? Wyglądało bowiem na to, że tego chce. A może to tylko podstęp? Przecież byłem w jego rękach i w każdej chwili mógł mnie zabić.

- Widzisz, tym razem uprzedziłeś mój atak, co pozwoliło ci zyskać nade mną przewagę. Następnym razem reaguj błyskawicznie, bo przeciwnik nie da ci drugiej szansy. A teraz chwyć mnie.

- Traktat Baba Kamma z Talmudu - powiedziałem, łapiąc go tak, jak zrobił to wcześniej on - zajmuje się problemem złodziejstwa i bandytyzmu. Czy wiesz, mistrzu, jaka jest różnica między złodziejem i bandytą?

- Nie, nie wiem - odrzekł. Cofnął się, pociągając mnie za sobą, a następnie powalił mnie jednym ruchem. Upadłem ciężko na matę.

- Boisz się upadku, Ary Cohenie. Trzeba umieć upadać jak kwiat wiśni, który oderwał się od gałęzi, choć jeszcze nie zwiądnął. Jeśli nie będziesz bał się upaść, nie będziesz bał się ataku i wtedy nie stanie ci się nic złego. W tym celu należy unikać ciosów w głowę, w nadgarstki, łokcie, kolana. Trzeba nauczyć się kontrolować upadek, a potem szybko, bez wahania wstać i przybrać właściwą pozę.

- Złodziej kradnie ukradkiem - wystękałem, podnosząc się z trudem, gdyż upadłem na plecy - bandyta natomiast zabija otwarcie, stosuje siłę. Prawo zawarte w Torze jest o wiele surowsze dla złodzieja niż dla bandyty. Złodziej musi zapłacić podwójnie za to, co ukradł, podczas gdy bandyta ma tylko oddać równowartość zagrabionej przez siebie rzeczy. Czy wiesz, mistrzu, dlaczego?

- Nie wiem i wydaje mi się to dość dziwne, ponieważ bandyta użył przemocy, a złodziej działał bardziej subtelnie.

Złapał mnie jedną ręką za ramię, a drugą za bark, chcąc mnie przewrócić. Żeby nie upaść, oparłem się o podłogę drugą ręką, która wygięła się tak, że aż zatrzeszczały kości.

- To bardzo zła pozycja ramienia. Nie chciałeś upaść i naraziłeś rękę na złamanie. Zawsze trzeba reagować uległością, a nie oporem.

Wbiłem w niego wzrok i gwałtownie wyrzuciłem ramię w jego kierunku.

- Odpowiadając na twoje wątpliwości, mistrzu - powiedziałem, uderzając go w pierś - wyjaśniam, że bandyta działa otwarcie, nie oszukuje Boga, gdy tymczasem złodziej postępuje

tak, jakby Opatrzność go nie widziała. Działa w ciemnościach. Sądzi, że Bóg go nie widzi, bo uwierzył w słowa Ezechiela, że Pan opuścił ziemię.

- Ale czy bandyta, dokonując swego zbrodniczego czynu otwarcie, nie wyzywa Boga?

Mistrz dał znak, bym przyjął pozycję wyjściową, po czym, zamachnąwszy się nogą, próbował kopnąć mnie w pierś, a kiedy się schyliłem, próbował mnie złapać.

- Nie - odpowiedziałem - bo złodziej boi się ludzi, a nie Boga. Bandyta zaś, działając otwarcie, okazuje, że nie boi się ludzi, ale nie ma dowodu, że nie boi się Boga.

- To bardzo interesujące... Uważaj jednak na siebie, bo kiedy ciało jest w bezruchu, umysł nie powinien pozostawać bierny. Musisz więc poznać siebie samego, a wtedy będziesz wolny od wszelkich wahań i obaw, zdołasz wszystko dostrzec. Wprawdzie dostrzegasz świat sercem i umysłem, ale oczy także do tego służą. Mów mi dalej o twojej sztuce, a ja będę cię uczył mojej.

- W pewnym mieście mieszkało dwóch ludzi, którzy wydali przyjęcie. Jeden zaprosił wszystkich mieszkańców miasta, ale pominął rodzinę królewską. Drugi natomiast nie zaprosił ani mieszkańców, ani rodziny królewskiej. Który z nich zasłużył na cięższą karę?

- Niewątpliwie ten, który zaprosił mieszkańców, a zlekceważył rodzinę królewską.

- Z tego powodu, jeśli bandyta zwrócił skradzioną rzecz uszkodzoną, musi za nią zapłacić, jeśli natomiast oddał rzecz w stanie lepszym, to odszkodowanie należy się jemu. Kiedy na przykład ukradnie kawałek drewna i zrobi z niego posążek, może sprzedać posążek właścicielowi za cenę drewna.

- My mówimy - mistrz wziął miecz - że należy ogarniać rzeczy jednym rzutem oka, nie zatrzymując na nich myśli. Kiedy twoje myśli za długo zatrzymują się na problemach świata, zakłócają twój umysł. Jeśli na przykład na widok miecza w ręku przeciwnika będziesz myślał o tym, jak odparować cios, zostaniesz zabity. Stosujemy na to określenie „zafiksowanie” lub „przywiązanie”. Mimo iż zauważasz ruch miecza, nie skupiaj na nim myśli. Na czym więc powinieneś się skupić?

- Na ruchach przeciwnika - odpowiedziałem, obserwując miecz, którym mistrz machał, tnąc powietrze.

- Nie - odrzekł mistrz, niespodziewanie dotknąwszy czubkiem miecza mojego serca. - Bo umysł zająłby się tylko nimi.

- Może więc na mieczu?

- Też nie. Jeśli będziesz patrzył na miecz, grozi ci cios w twarz.

- Na woli zniszczenia przeciwnika?

- Nie.

- Na myśli o ucieczce?

- Nie. Jeśli zajmiesz czymś umysł, stracisz przewagę.

- A więc na czym?

- Umysł mieści się w brzuchu, w jego najgłębszej części, gdzie rodzi się spokój i koncentracja. Myśleć to poddać się refleksji. Powinieneś więc unikać myślenia, osądu, zatrzymywania się i przywiązywania do czegoś. Umysł do niczego się nie przywiązuje, podczas gdy zmysł iluzji ogniskuje się w jednym punkcie.

- Próbuję więc w ogóle nie myśleć.

- Próbuj nie myśleć, ale nie myśl o tym, że nie myślisz. Bez względu na to, co widzisz, nie pozwól, by umysł się na tym skupił. To jest istotą tego, czego mogę cię nauczyć. Widzę, że jesteś zmęczony. Oddychaj, skoncentruj się. Droga naszych dawnych nauczycieli oparta jest na koncentracji. Czym się zajmujesz w życiu?

- Jestem skrybą, piszę.

- Kiedy piszesz, masz świadomość tej czynności i wtedy twoje pióro się porusza. Czego potrzebujesz, żeby pisać?

- Trzeba dojść do takiego stanu, żeby umysł był całkowicie wolny, podobnie jak serce.

- Jedno z naszych przysłów mówi: „To jest to, ale jeśli się w to wpatrujesz, to to już nie jest to”. Podobnie jak lustro, które odbija obraz bez świadomości tego, co robi. Serce tych, którzy podążają Drogą, jest podobne do lustra, puste i przezroczyste, pozbawione myśli. Tego, kto potrafi tak postępować, nazywamy „adeptem”.

- Jest jeszcze jedna rzecz, mistrzu, którą chciałbym wiedzieć.

- Pytaj.

- Czy znasz ludzi, którzy byli wczoraj w pokoju mojej współpracownicy Jane Rogers?

Mistrz, zanim odpowiedział, patrzył na mnie przez chwilę.

- Lepiej, żebyś nie próbował się z nimi spotkać.

- Dlaczego?

- Ponieważ to samuraje. Dopóki nie jesteś gotowy do walki, są dla ciebie bardzo niebezpieczni.

Przyglądał mi się z dziwną miną. Miałem wrażenie, że jego nieruchoma twarz drgnęła. Ale mogło to być moje urojenie.

Zgodziłem się z nim w myślach, że wiązałoby się to dla mnie z wielkim niebezpieczeństwem. Ale to samo niebezpieczeństwo groziło Jane, a ja pragnąłem przede wszystkim ponownie ujrzeć ją po tej nocy, która wydawała mi się teraz snem. Czy w ogóle

się zdarzyła?

Obraz Jane zaczynał zacierać się w moim umyśle, ale uczucie do niej nadal pozostawało takie samo. Moje serce drżało z niecierpliwości. A jeśli więcej jej nie zobaczę?

- Jesteś roztargniony - stwierdził mistrz. - Koniec lekcji na dziś.

Wieczorem, kiedy byłem w hotelu, zadzwoniłem do Shimona Delama, by zdać mu relację z tego, co widziałem i robiłem.

- Shôjû Rôjin nauczył mnie dziś sztuki walki.

- Naprawdę, w tak krótkim czasie?

- Nie umiem jeszcze wszystkiego, ale poznałem to, co na początek jest najistotniejsze.

- I na czym to polega?

- Przede wszystkim nie wolno myśleć.

- Nie wolno myśleć?

- Właśnie.

- Rozumiem...

Usłyszałem skrzyp wykałaczkii.

- Powiedziałeś, że zostałeś zaskoczony przez trzech mężczyzn?

- Tak.

- I Toshio poradził sobie z nimi sam?

- Jeśli zna się sztukę walki, jest to możliwe.

- Wiesz, że w wojsku uprawiałem walkę.

- Ja też, ale to była krav maga.

- Twierdzisz, że można pokonać trzech ludzi naraz, nawet jeśli są ekspertami w walce wręcz, w dodatku o tym nie myśląc?

- Jest to możliwe, jeśli wykorzystana zostanie efekt zaskoczenia.

- No tak... Ciekawe.

- Shimonie, powinienem odszukać Jane, a przynajmniej jej pomoc. Może będę musiał walczyć z różnymi ludźmi wprawnymi w sztuce walki, a jestem sam.

- Słuchaj, Ary, jeśli masz problemy, przyślę ci wsparcie. Zgoda?

- Kogo? Jakie wsparcie? I kiedy?

Zapadła chwila ciszy.

- Na przykład twojego ojca - odrzekł Shimon.

- Mojego ojca? Ależ on nie obroni mnie przed Japończykami, posiadaczami czarnych pasów!

- Spokojnie. Sztuka walki jest również sztuką obrony psychologicznej, jeśli wierzyć w efekt zaskoczenia.

Nagle pomyślałem o ojcu i o esseńczykach, o moim życiu wśród nich, o tym wszystkim, czego ode mnie oczekiwali, o wszystkim, co im obiecałem, o tym, jak pospiesznie wyjechałem, przekonany, że tak właśnie powinienem postąpić, że inaczej być nie mogło.

Z Qumran pozostały tylko ruiny, takie jak te nad Morzem Martwym: wielkie kamienie, cysterny i baseny, refektarz i skryptorium, resztki naczyń. Młyn, obora, wszystko, co potrzebne do życia, i położony w pobliżu cmentarz. Co zostało z Qumran? Co się stało ze mną, który byłem ich Mesjaszem? Miałem wypowiedzieć imię Boga i przyczynić się do nadejścia nowego świata. Co się stało ze mną, który znałem wszystkie sekrety alfabetu, te małe i te wielkie?

Wspólnota żyła w grotach, w ukryciu przed innymi ludźmi, a ja w tym czasie przemierzałem świat, by walczyć z synami ciemności.

Ponieważ ludzkość pogrążyła się w ciemnościach, esseńczycy, żeby uniknąć tego samego losu, wybrali odludne, ustronne miejsce, i wiodąc tam pobożne życie, przygotowują się na to, co ma nadejść. Oczyszczają się w oczekiwaniu na koniec świata.

Chcieli odbudować Świątynię, a ja już nie byłem Nauczycielem Sprawiedliwości, przewodnikiem, na którego czekali, tym, który miał ich wyzwolić, jak zostało napisane, bo sam tego nie pragnąłem i nie mogłem spełnić ich nadziei, albowiem chciałem żyć z dala od ruin Qumran jak zwykły człowiek.

Opuściłem moich braci mieszkających na skalistej wyżynie pośród gór, gdzie się wcześniej schroniłem. Dzieliłem z nimi posiłki, zanurzałem się w oczyszczającej wodzie w wykutym w skale basenie, do którego schodziło się po kilku stopniach. Basen zawierał wystarczającą do kąpieli rytualnych ilość wody deszczowej zawsze czystej; poza tym zasilany był przez zbiorniki rezerwowe również z wodą deszczową albo wodą morską.

Chodziłem po pustyni między poskręcanyimi pniami tamaryszku, wśród akacji i palmowców, między krzewami o rzadkim listowiu, przez które przenikało słoneczne światło.

W ich oczach Jane była kusicielką, ladacnicą, tą, która nakłania mężczyzn do grzechu, była uosobieniem zepsucia, a zło czaiło się w jej rękach, między jej nogami, w jej ubraniu i ozdobach. Czy miała mnie doprowadzić do Szeolu?

Ukrywała się w tajemnych miejscach. Tak, ukrywała się, ale ja nigdy, przenigdy nie przestanę jej szukać i uratuję ją, gdziekolwiek jest, będę przy niej, cokolwiek jej się przytrafi. *Jeśli będziesz szła przez wody, będę z tobą. Jeśli będziesz szła przez rzeki, ich wody nie zaleją cię. Jeśli będziesz szła przez ogień, nie spalisz się w nim, jego płomień nie zamieni cię w*

*popiół.*

Był piątkowy wieczór, wieczór szabat. Pamiętałem słowa mojego rabina, że szabat jest fundamentem judaizmu, filarem, na którym wspiera się cały świat. Bóg stworzył świat, ponieważ wiedział, że lud Izraela przyjmie jego Prawo, a więc szabat równoważy wszystkie prawa. Jest bowiem powiedziane, że Mesjasz nadejdzie, jeśli Izrael będzie obchodził kolejno po sobie następujące dwa szabaty. A ja, chociaż nie przestrzegałem już szabat, pamiętałem o wszystkich jego prawach, o wszystkich przeszkodach stojących na drodze praw, o tym, że tylko ściśle przestrzeganie zakazów może zapewnić prawdziwy odpoczynek. A zakazanych jest dwadzieścia dziewięć czynności, takich jak przygotowywanie pożywienia, pranie, pisanie, rozpalanie ognia, podróżowanie, przenoszenie przedmiotów i wiele innych.

Kiedy byłem chasydem i esseńczykiem, śpiewałem pieśń nawołującą do przestrzegania szabat, wszak Pan nakazał, by pamiętać o wierności Prawu. O, moja ukochana, obudź się, oto świt, trzeba głośniejsz zaintonować pieśń, będziesz panowała na zachodzie przez syna Pereza, wypowiesz imię Najwyższego, a wówczas wszystkie serca napelnia się radością i szczęście stanie się naszym udziałem. Jednak serce moje było smutne i nie znajdowałem spokoju. Nie było już dla mnie szabat, nie było radości ani żadnej przyjemności bez Jane. Posługiwałem się piórem, rozpalałem ogień, kąpałem się, nosiłem odpowiednie szaty, a teraz tu, w Japonii, czułem się bardziej samotny niż kiedykolwiek - bez szabat, z dala od wspólnoty, od mego ojca, co prawda bliżej Jane, a jednocześnie tak od niej daleko.

Po Jane nie został żaden ślad, a ja czułem się zagubiony bez mojej ukochanej, moje niecierpliwe serce dręczyło się jej nieobecnością, przeklinałem każdą godzinę, w której byliśmy rozłączeni, każdą drogę, która nas dzieliła, każde nieprzychylnie nam słowo.

W nocy przyśnił mi się taki sen: miałem jechać pociągiem, byłem spóźniony, wbiegłem na dworzec i pytałem wszystkich, gdzie jest peron, z którego odjeżdża mój pociąg.

Jakiś mężczyzna pokazał mi kierunek. Znajdowałem się w jakimś niskim pomieszczeniu i musiałem się schylić. Odetchnąłem z ulgą, że nie spóźniłem się na pociąg, ale jednocześnie odczuwałem strach, że znalazłem się w tak odległym miejscu na ziemi.

### III

## *Zwój otchlani*

*Byłem jak żeglarz na okręcie, gdy rozszalałe żywioły morskie i wszystkie ich nawałnice wzburzyły się przeciw mnie. Huragany szalały i nie było ciszy, aby pokrzepić duszę, ani żadnej ścieżki, aby prostować drogę na powierzchni wody. Na odgłos mego jęku wzburzyły się głębiny, gdy dusza moja dotarła do bram śmierci. Byłem jak ten, kto wchodzi do miasta warownego i szuka ratunku w wysokim murze wzniesionym dla obrony.*

Zwoje z Qumran

*Księga hymnów\**

---

\* *Rękopisy z Qumran nad Morzem Martwym, op. cit.*

Nazajutrz rano Kioto pogrążone było we mgle. Miasto tysiąca sześciuset sanktuariów, drapaczy chmur z czerwonymi neonami, niemal ginęło między trzema otaczającymi je zamglonymi wzgórzami. Mimo tego, że gdy byłem w wojsku, często chodziłem nocą po pustyni, teraz miałbym duże trudności z odnalezieniem drogi.

Na szczęście Toshio przyszedł po mnie do hotelu z samego rana. Mijaliśmy świątynie z malowanego na ciemno drewna. Z mgły wylaniały się to tu, to tam świątynie ze złożonymi ołtarzami, a Toshio wymieniał ich dźwięczne nazwy, które brzmiały obco i zarazem znajomo: świątynia Sanjūsagendō z tysiącem połączonych, dwumetrowej wysokości posągów Buddy, świątynia Tōji, największa pagoda w Japonii, sanktuarium Heian z przepięknymi ogrodami, w których nie było w ogóle kwiatów. Gdy wyraziłem zdziwienie z tego powodu, Toshio wyjaśnił mi, że zgodnie z japońskimi zasadami ogród powinien być piękny przez cały czas, i dlatego nie ma w nim kwiatów, które więdną. Japończycy wolą mieć w ogrodzie mech, wodę, kamienie i trawę, z których tworzą trwałe symboliczne pejzaże.

Wreszcie dotarliśmy do centrum miasta pełnego samochodów i pieszych, przeważnie turystów lub Japończyków, którzy przybyli z pielgrzymką do tutejszych świątyń.

- Uważamy, że cesarz Jinmu, przodek obecnego cesarza, tu stworzył cesarstwo.

- Kiedy to było?

- W sześćset sześćdziesiątym roku przed naszą erą. Bardzo dawno temu.

- W tym czasie na ziemi izraelskiej istniały dwa królestwa: królestwo południowe, gdzie żyły pokolenia Judy i Beniamina, oraz królestwo północne, nazywane Samarią, gdzie mieszkało pozostałe dziesięć pokoleń. Samaria upadła w siedemset siedemdziesiątym drugim roku przed Chrystusem, po trzech latach wojny z Asyrią. Zgodnie ze swoją strategią wojenną Asyryjczycy wysiedlili wszystkich mieszkańców Samarii do odległych krain.

- Cesarz Kanimi założył stolicę Japonii w Kioto w siedemset dziewięćdziesiątym



czwartym roku. Miasto to było siedzibą cesarza do końca dziewiętnastego wieku. Mieli tu swój wielki dwór szogunowie, zanim zbudowali Edo, dzisiejsze Tokio. Ale Kioto jest również miastem gejsz. Dzielnice Gion i Pontocho są znane w całym świecie z *zashiki*.

- *Zashiki*?

- Są to miejsca, gdzie mieszkają i otrzymują wykształcenie *maiko*, młode gejsze. Tam właśnie teraz się udajemy.

- Jak to? - zdziwiłem się. - Nie idziemy zobaczyć się z mistrzem?

- Mistrz powiedział, że w związku z naszym dochodzeniem powinniśmy spotkać się z Yoko Shi Guya, gejszą mnicha Nakagashiego.

Weszliśmy na główną aleję, Shijo Dori, na której pośród licznych teatrów i arkad tłoczyło się mnóstwo samochodów.

W końcu doszliśmy do Gion, dzielnicy gejsz, bardzo różniącej się wyglądem od reszty miasta. Znajdowały się tam stare, drewniane domy z fasadami *zashiki* lub *machirya*, jak wyjaśnił mi Toshio, mające dogodne połączenie z główną aleją. Liczne sklepiki, cukiernie, herbaciarnie i restauracje, niskie domki z zakratowanymi oknami, tworzyły atmosferę radosnego ożywienia. Czasami z herbaciarni dochodziły dźwięki tradycyjnej muzyki.

- A może chciałby pan tu zostać na jakiś czas, panie Ary?

- Zostać tutaj?

- No tak, na kilka nocy.

- Nie, nie mam ochoty.

- A jednak będzie pan musiał.

- Nie mogę. To niemożliwe. Nie mogę przebywać w dzielnicy prostytutek.

- Ależ panie Ary, proszę tak nie mówić. Gejsze nie są prostytutkami. To artystki. *Gei* w języku japońskim znaczy „sztuka”, a *sha* - „osoba”. Utrzymywane są przez swoich opiekunów - *danna-san*, a pieniądze od klientów wystarczają zaledwie na pokrycie kosztów ich strojów i fryzur.

- Wszystko jedno, nie zamierzam spędzać czasu z jakąś gejszą. Przypominam panu, panie Toshio, że jesteśmy tu z powodu śledztwa. Mamy spotkać się z kochanką Nakagashiego, żeby udzieliła nam informacji o nim. O to chyba chodziło mistrzowi, prawda?

- Tak, mistrz mówił o Yoko Shi Guya, gejszy Nakagashiego.

Czułem się niezręcznie na myśl, że mam wejść do domu gejsz. Nigdy nie byłem w takim przybytku, nigdy nie odwiedzałem prostytutek i było mi wstyd, że mogą uznać mnie za klienta. Co by powiedział mój rabin z Mea Szearim, ultraortodoksyjnej dzielnicy w

Jerozolimie? A co pomyśleliby o mnie esseńczycy? Pewnie uznaliby, że staczam się na samo dno, do Szeolu, który pochłania wszystkich grzesznych ludzi, bezbożników zadufanych w sobie, występnych. Czy dałem się opanować Belialowi, który niszczy człowieka niczym pożerające płomienie? Czy znalazłem się już nad przepaścią? Ale jak miałem tego uniknąć, jeśli chciałem poznać prawdę, jeśli chciałem ponownie ujrzeć Jane?

Poprzedniej nocy, po wielu godzinach nieudanych prób zaśnięcia, zadzwoniłem do Shimona, ale nie przekazał mi żadnych dodatkowych informacji poza tym, że Jane zgodziła się podjąć wyjątkowo niebezpiecznego zadania.

A jaka ma być w tym moja rola, skoro ona działa sama, w ukryciu? Na to pytanie nie otrzymałem od Shimona odpowiedzi. Westchnął głęboko i odłożył słuchawkę, tak jak to robił zawsze w kłopotliwych sytuacjach. *A ja kim byłem? Ulepiony z gliny i wody, komu byłem potrzebny i jaka była moja siła? Albowiem wszedłem do świata bezbożności i dzielę los nędzników.*

Był to dom szczególny, trzypoziomowy, z jednym dachem nad balkonem, a drugim w kształcie idealnego trójkąta; dom drewniany, pomalowany na biało, tylko balkon był czerwony. Na szczycie drugiego dachu umieszczono połączoną figurę tygrysa. Drzwi prowadziły do sekretnych przejść i fantastycznych ogrodów z czarodziejską wyspą, sosnami, kamieniami i tysiącem krzewów.

Nie widać było okien, jakby dom ukrywał wstydliwie swoje oblicze pod podwójnym zadaszaniem, dającym doskonały cień przed palącym słońcem. Dom ten był niedostępny dla oczu przechodniów.

Pchnęliśmy ciężkie drewniane drzwi i znaleźliśmy się w korytarzu, który doprowadził nas do dużego pomieszczenia z podłogą pokrytą tatami, ze ścianami ceglanej barwy. W pokoju stał tylko stół, a jedyną jego ozdobą były wielkie malowidła ze scenami erotycznymi. Rozproszone światło lamp tworzyło ciepłą, pogodną atmosferę.

- Przedstawię pana jako klienta, panie Ary - rzekł Toshio - a pan powie, że chciałby się widzieć z Yoko Shi Guya.

- A ty?

- Ja odejdę.

- Jak będę z nią rozmawiał?

- Zobaczę, co da się zrobić. Większość takich domów nie przyjmuje nieznanym klientom. Trzeba zostać przez kogoś wprowadzonym.

Toshio wdał się w długą rozmowę z młodą Japonką, która nas powitała. Wyglądało na to, że z nią negocjuje. W końcu dał mi znak, że mogę wejść do „sanktuarium najsubtelniejszych rozkoszy”.

- Nielatwo było wynegocjować cenę dla pana, panie Ary.

- Dlaczego? - zapytałem lekko urażony.

- Bo jest pan człowiekiem Zachodu, a tacy płacą bardzo dużo.

Szliśmy korytarzem, mijając drzwi do licznych pomieszczeń. Wprowadzono mnie do jednego z nich, małego pokoju o jasnych ścianach, z czerwonymi zasłonami i tatami na podłodze. Japonka, która nas przyjęła, przyniosła mi parującą herbatę i podała coś w rodzaju dużej książki.

Był to napisany po japońsku katalog, zawierający zdjęcia wszystkich kurtyzan tego domu, z opisem każdej z nich. Przekartkowałem go. Wszystkie były skąpo ubrane, z włosami upiętymi w wysokie koki, które nosiły z takim samym wdziękiem, z jakim przybierały erotyczne pozy.

Młoda Japonka wkrótce wróciła, dając mi do zrozumienia, bym wskazał, którą z dziewcząt wybrałem.

- Yoko - odrzekłem.

Uśmiechnęła się i spuściła wzrok. Nie odchodziła, stała przede mną bez ruchu.

- Yoko - powtórzyłem.

Znowu opuściła oczy, kiwając głową, ale nie ruszała się z miejsca.

- Nie ma Yoko? - zapytałem.

- Jest - odrzekła, pochylając głowę wciąż z takim samym uśmiechem.

Wykonała jakiś gest, jakby chciała mi coś wyjaśnić, ale nic z tego nie pojąłem.

Wróciła z inną młodą dziewczyną. Była drobna, szczupła, z białym makijażem na twarzy, w błękitnym kimonie. Przypominała laleczkę z porcelany.

- Nie może widzieć się pan z Yoko - szepnęła - ale może pan zobaczyć jej siostrę.

- Jej siostrę?

- Każda gejsza ma siostrę w domu, w którym mieszka. Każda z nas musi wybrać sobie starszą siostrę spośród członkiń swojej szkoły. Yoko i Miyoko zawarły przymierze, wypijając po trzy czarki sake. W ten sposób zrodził się *en* - szczególnego rodzaju związek między nimi. Siostra nazywa się Miyoko, ponieważ każda gejsza przybiera nowe imię od imienia swojej starszej siostry. - Widząc moje zdziwienie, dodała: - Tańczą razem w *Tańcu Rzeki* w teatrze Pontokaburenjo wiosną i jesienią.

Nie mając innego wyboru, przyjąłem propozycję.

Zaprowadzono mnie na pierwsze piętro, do pokoju bardziej luksusowego, z jedwabnymi obiciami i małym niskim stolikiem. Młoda gejsza przyniosła herbatę i tacę z przyborami do palenia tytoniu oraz dwie duże owalne tace z dzbanami sake.

Wreszcie po jakimś czasie raczyła pojawić się gejsza. Miała podłużną szczupłą twarz, wysoko zarysowane brwi, minę wyrażającą słodycz i uległość. Jej usta były małe, z pełnymi, czerwonymi jak wiśnie wargami, cera przezroczysta niczym alabaster. Zgrabna szyja wydawała się jeszcze dłuższa pod ciężkim węzłem z czarnych błyszczących włosów.

Usiadła po drugiej stronie stolika, twarzą do drzwi. Stosując się dokładnie do wskazówek, jakich udzielił mi Toshio, postawiłem przed nią na tacy czarękę. Wzięła ją z nadaną minką i udawała, że pije.

Potem wstała i bez słowa opuściła pokój. Zjadłem przyniesiony mi posiłek, na który składało się sushi i sashimi. Czas przy jedzeniu umilali mi muzycanci oraz tancerze i tancerki. Zrozumiałem, dlaczego nazywano je gejszami, czyli artystkami. Skrzypkowie grali stare, poważne i smutne melodie, które przypominały mi niektóre pieśni hebrajskie, słyszane w jesziwie. Pod wpływem tej muzyki zapadłem w sen, w którym widziałem ramiona i nogi ślicznych młodych tancerek. Próbowałem oprzeć się śpiewom, urzekającej sile tańca, wprowadzającej do rajów kobiet, ale dawałem się wciągać w ich świat wbrew mej woli, oszołomiony alkoholem, muzyką, płynnymi ruchami ich ciał. Kiedy posiłek dobiegł końca, gejsze otworzyły drzwi i wówczas ujrzałem sylwetkę, którą od razu poznałem. Czy to była uluda, czy rzeczywistość? A może tylko pragnienie? Moje serce zadrżało i zaczęło bić tak mocno, że nie byłem w stanie nad nim zapanować. Zerwałem się na równe nogi, ale kobieta zdążyła zniknąć.

Była już późna noc, kiedy zasnąłem w moim małym pokoiku.

Po paru godzinach obudziłem się, czując na sobie spojrzenie czarnych oczu ocienionych długimi rzęsami. Biała twarz przypominała maskę. Była to kurtyzana ubrana w tradycyjny strój, na który składało się czerwone kimono i długie szpile wetknięte w kok czarnych jak gagat włosów. Miała delikatne rysy i była piękna. Przyglądała mi się z zaciekawieniem, jakby studiowała rysy mojej twarzy.

Wiedziałem, że nie wolno mi jej dotknąć, bo mogłoby to być uznane za brak szacunku. Patrzyłem na nią bez ruchu, nie odzywając się ani słowem, aż wreszcie odeszła z pogodną miną.

Przeżyłem niespokojną noc, pełną sennych urojeń i koszmarów. Widziałem Jane, która pojawiała się i zniknęła. Biegłem za nią, ale ona była szybsza, wciągnęła mnie do

piekielnego labiryntu, na którego końcu była pustka.

Obudziłem się gwałtownie, nie wiedząc, gdzie jestem. Nagle stwierdziłem ze strachem, że nie znajduję się w Jerozolimie, w pokoju hotelowym, ani w Qumran, w mojej grocie, ale w Japonii, w domu gejsz. Co ja tu robię? Musi być w tym wszystkim jakiś sens, ale jaki? Zupełnie jak we śnie, kiedy ma się niejasną świadomość, że wszystko ma sens, choć nam się on wymyka. Moje sny tej nocy były bardziej realne niż rzeczywistość.

Drugie spotkanie odbyło się następnego dnia wieczorem. Pojawiła się ta sama gejsza, a jej przybycie, zgodnie ze zwyczajem, zapowiedziano godzinę wcześniej. Tym razem skosztowała przygotowanego jedzenia, jednak nadal nic nie mówiła.

Po posiłku wstała, wyszła i po niedługim czasie wróciła z książką.

- *Shunga* - powiedziała.

Popatrzyłem na czarno-białe i kolorowe obrazki erotyczne. Niektóre rysunki, naiwne, ale piękne, ukazywały twarze kochanków rozplomienione aktem miłosnym w pozycji tradycyjnej - jedno na drugim - lub w pozycjach bardzo wymyślnych, ale zawsze były to osoby różnej płci, całkowicie nagie, przedstawione z anatomiczną precyzją. Czasami mężczyzna dominował nad kobietą, czasami odwrotnie, czasami tak byli ze sobą spleceni, że nie mogłem się zorientować, kto jest gdzie. Widziałem także wymyślne narzędzia, bicz, pałki. Na jednym z rysunków kobieta z rozłożonymi nogami, zakneblowana, była przywiązana do grubego pała, a mężczyzna korzystał z okazji, jaką stwarzała mu ta sytuacja. Na innym rysunku kobieta piła herbatę przy nagim mężczyźnie. Na jeszcze innym mężczyzna brał kobietę, stojąc prosto jak świeca, z rozstawionymi nogami.

Znowu ujrzałem w wyobraźni Jane, taką jak w nocy, kiedy się kochaliśmy, poczułem, że się czerwienię i że ogarnia mnie płomień żądzy, przyprawiający niemal o ból. Gejsza stała obok mnie. Pomyślałem, że czeka, aż wybiorę z rysunków to, co mi się spodobało.

Usiadła obok, prawie się o mnie ocierając.

- Czy mówisz po angielsku? - zapytałem.

Pokręciła głową.

- Znasz Yoko?

Na te słowa spojrzała na mnie z widocznym strachem.

Podawała mi kartkę papieru ryżowego, na której starannie wykaligrafowano jakieś zdanie po japońsku. Następnie podała mi drugą kartkę, tym razem ze zwykłego papieru, na której widniało tłumaczenie: „Między Japonią i rajem jest bardzo mała różnica”.

Gestykułując, zaczęła mówić coś po japońsku. Poprosiłem, żeby mówiła wolniej.

Wtedy stała się rzecz zaskakująca, nieprawdopodobna, coś, czego absolutnie się nie spodziewałem. Gdy zaczęła rozdzielać sylaby, stwierdziłem ku swemu wielkiemu zdziwieniu, że rozumiem słowa, które do mnie mówi. Nie dlatego, że pomagała sobie gestami, lecz dlatego, że słowa te wydały mi się dziwnie podobne do języka hebrajskiego.

- *Yoko hazukashim.*

W języku hebrajskim *hadak hashem* znaczy „być w niełasce”.

- *Anta* - powiedziała, pokazując na mnie, co zabrzmiało jak *ata*, po hebrajsku „ty”. I dodała: - *damaru.*

Domyśliłem się, że *damaru* znaczy „być cicho”, bo słowo to podobne było do hebrajskiego *Damam*.

Dałem jej znak, że będę milczał. Wtedy nachyliła się do mnie i powiedziała:

- *Yoko horobu.*

- *Horobu?* - powtórzyłem, zastanawiając się nad znaczeniem tego słowa.

I wtedy przypomniałem sobie słowo *horeb*, które po hebrajsku znaczy „zginąć”.

- *Samumu* - powiedziała.

Czy miało to oznaczać to samo, co słowo *shamar* - „strzec”? Strażnikowi będzie wówczas odpowiadać słowo *samurai*, w języku hebrajskim bowiem sufiks „ai” dodany do czasownika tworzy z niego rzeczownik.

Zrozumiałem, iż *Yoko* nie żyje, a *Miyoko* jest w niebezpieczeństwie, że ktoś chce ją zabić, ponieważ popadła w niełasce, że powinna uciec i schronić się w miejscu, gdzie ktoś mógłby jej strzec.

*Miyoko* dała mi znak, bym poszedł za nią. Wyprowadziła mnie na korytarz, gdzie spotkaliśmy jakiegoś mężczyznę, Azjatę wysokiego wzrostu, w wieku około czterdziestu lat. Robił wrażenie pijanego, szedł bowiem niepewnym, chwiejnym krokiem. *Gejsza* skłoniła mu się z szacunkiem. Gdy przechodził obok mnie, zobaczyłem jego twarz - na jednym oku miał przepaskę.

- Kto to jest? - zapytałem, kiedy oddaliliśmy się od niego.

- *Damaru* - szepnęła *gejsza*, otwierając drzwi do znacznie większego niż poprzednie pokoju ze ścianami obitymi jedwabiem w tonacji brązowo-złotej. - *Anta damaru.*

Gestem dała mi do zrozumienia, że mam się położyć na tatami, po czym usiadła blisko mnie. Zaczęła rozpinać mi koszulę. Pozwoliłem jej działać, ponieważ oglądane wcześniej rysunki podnieciły mnie i teraz całe moje ciało ogarnęło pożądanie. Pieściłem jej ramiona i piersi.

- Gdzie jest *Yoko*? - zapytałem, ale ona nie odpowiedziała. Powtórzyłem więc pytanie,

a przez jej twarz przemknął nerwowy uśmiech.

- *Damaru.*

- Jeśli chcesz mi pomóc, musisz mi wszystko powiedzieć.

Nie zrozumiała.

Nachyliła się nade mną, żeby mnie pocałować. Natychmiast owionął mnie ciężki, słodki, pomarańczowy zapach jej włosów. Muskała wargami mój policzek, zsuwając jednocześnie kimono. Była zupełnie naga. Przestałem widzieć cokolwiek innego. Nagle zrobiło mi się gorąco.

- *Anta daber li* - powiedziałem bezwiednie po hebrajsku.

Ze zdumieniem stwierdziłem, że tym razem mnie zrozumiała. Szybko się ubrała. Ja też się ubrałem i podniosłem z tatami.

- Yoko, Kioto... *Sensei* Fujima. Ysurai. - Patrzyła na mnie z bardzo poważnym wyrazem twarzy. - Miyoko *hazukashim.*

Nie wiedziałem, co mam robić. *Hazukashim. Hadak hashem...* Pojąłem, że jeśli odejdę, ona może popaść w niełaskę, ponieważ nie dogodziła klientowi. Nie miałem ochoty zostać, ale dziewczyna wydawała się tak bardzo wystraszona, nie śmiała zrobić żadnego ruchu.

Ułożyłem się z powrotem na tatami, a ona skuliła się przy moich nogach i zasnęła niczym mały kotek.

Nazajutrz przybył po mnie Toshio, mój kierowca i przewodnik po tym dziwnym kraju.

Gdy mu opowiedziałem, jak spędziłem nocę w domu gejsz, i o wynikach moich poszukiwań, popatrzył na mnie z ogromnym zdziwieniem.

- Przecież zapłaciłeś za gejsze! - powiedział.

Odwróciłem wzrok. Jak udało mi się oprzeć, chociaż czułem pożądanie? Gdyby wiedział, jak niewiele brakowało, żebym się poddał... Uratowała mnie ta niezwykła rozmowa.

- Czy dowiedzieliście się czegoś nowego na temat manuskryptu? - zapytałem. - Kiedy będziemy mogli go obejrzeć?

- Szef policji w Kioto osobiście zajmuje się tą sprawą. Uważa, że zabicie Nakagashiego ma związek z człowiekiem z lodów.

- To nie ulega wątpliwości, ale...

- Na razie jednak nie chce pokazać manuskryptu, który jego zdaniem jest bardzo ważnym dowodem rzeczowym w tej sprawie.

- A skąd to wie? Przecież go nie rozszyfrował. Do kogo należy się z tym zwrócić?

Toshio miał niewyraźną minę, jakby coś przede mną ukrywał.

- Nie wiem, panie Ary. Spróbuję się czegoś dowiedzieć.

W drodze do Isurai przechodziliśmy obok Ginkakuji, Świątyni Srebrnego Pawilonu, którego ogrody symbolizowały początek „drogi filozofii”, nazwanej tak przez mnichów z okolicznych świątyń, którzy od wieków przybywali tu, żeby oddawać się medytacjom. Można było tu podziwiać różne świątynie i przepiękne ogrody, ciągnące się od Świątyni Srebrnego Pawilonu aż do Zenriji, gdzie stał posąg Buddy.

Na koniec doszliśmy do Koryujin, drewnianej świątyni z VIII wieku, w której znajdował się inny posąg Buddy, znany jako Miroku Bosatsu, uznany oficjalnie za skarb narodowy. Oglądając go z bliska, doszedłem do wniosku, że bardzo różni się od tych, które dotąd widziałem. Nie miał wprawionych oczu i nie robił wrażenia tak pogrążonego w medytacji, jak inni rzeźbieni Buddowie.

- Jaka jest religia Japończyków? - zapytałem. - Czy jest nią buddyzm?

- W Japonii mamy dwie religie, panie Ary. Jedna to buddyzm, który przybył do Japonii w szóstym wieku. Druga to szintoizm, o wiele starsza, prawdziwa religia Japończyków. Mówi się u nas, że Japończycy rodzą się szintoistami, a umierają buddystami.

- Co to jest szintoizm?

- To kult *kami*.

- *Kami*?

- *Kami* to tysiące otaczających nas bóstw. Niektórzy nasi historyczni bohaterowie stali się po śmierci *kami*. Dzwonki, które widzi pan przy wejściu do sanktuariów, są po to, żeby w trakcie modłów przyciągnąć uwagę duchów. Jeśli nie ma dzwonów, trzeba klaskać. Są *kami* mężczyźni i *kami* kobiety. Te ostatnie to straszliwe demony, nachodzą ludzi w nocy.

- My także mamy takie demony.

- Są jeszcze *tengu*. One z kolei płatają ludziom figle. Mają długie nosy. Często noszą ze sobą miniaturowe sanktuaria...

- Jak arki przymierza.

- Żyją w lasach i w górach, a ci, którzy wejdą na ich terytorium, są świadkami przedziwnych zdarzeń.

Naprzeciwko świątyni znajdowała się studnia z napisem: ISARA WELL. Słowo „Isara” było napisane fonetycznie, co zdradzało jego obce pochodzenie.

Jeśli miałbym zastosować tę samą co w rozmowie z Miyoko metodę, wprawdzie sprzeczną z rozsądkiem, ale, jak się okazało, skuteczną jeśli chodzi o zrozumienie języka japońskiego, to te dwa słowa znaczyły „studnia Izraela”.



W końcu doszliśmy do miejsca, które wskazała nam Miyoko. W głębi ogrodu znajdowała się zwykła, bardzo stara studnia, przywodząca na myśl studnie z białego kamienia wspomniane w Biblii.

- To studnia Isurai - powiedział Toshio. - Niektórzy, nie wiem dlaczego, nazywają ją studnią Izraela.

W pobliżu ujrzałem młodego mężczyznę, który chyba pilnował tego miejsca. Ubrany był w biały strój mnicha. Z głową wspartą na ramieniu kamiennego posągu trwał w pozycji medytacyjnej. Do czoła miał przymocowane niewielkie, kwadratowe, czarne pudełko.

- To *yamabushi* - szepnął Toshio - nowicjusz. Jest ich w Japonii niewiele. Noszą białe szaty.

- A co to za przedmiot na jego czole?

- *Tokin* jest przywiązany do czoła czarnym sznureczkiem.

- Co się w nim znajduje?

- Wydaje mi się, panie Ary... że nic - odparł Toshio, po czym dodał ciszej: - Nasze legendy mówią, że *tengu* przybierają postać *yamabushi*.

Toshio podszedł do *yamabushiego* i rozmawiał z nim przez kilka chwil, po czym wrócił do mnie.

- Mistrz Fujima wyjechał.

- Czy wiadomo, gdzie jest teraz? - zapytałem.

- W swojej rezydencji w Tokio.

*Yamabushi* nie robił żadnych trudności i podał nam jego adres. Najwyraźniej dom mistrza Fujimy był w Japonii dobrze znanym miejscem.

Kilka godzin potem jechaliśmy autostradą do Tokio.

- Jeśli chodzi o manuskrypt - powiedział Toshio - zatelefonowałem do pana Shimona, który wraz z CIA próbuje wywrzeć nacisk na szefa policji w Kioto. Ale ta sprawa ma coraz szerszy zasięg. Ambasador japoński w Izraelu złożył skargę z powodu interwencji obcych państw.

- Czy przypuszcza pan, że nie uda mi się obejrzeć tego manuskryptu?

- Musi pan wiedzieć, panie Ary, że w Japonii mamy wielki szacunek dla hierarchii. Nie należy zakłócać ustalonego porządku.

Droga prowadziła wśród zieleni, jezior, kwitnących na biało drzew wiśniowych. Potem wjechaliśmy między szare osady przedmieść Tokio, ciągnące się setki kilometrów.

Nagle wyłoniła się wielka aglomeracja miejska, nad którą unosił się bury obłok zanieczyszczonego powietrza. Miało się wrażenie, że to zbyt szybko rozrastające się, futurystyczne miasto jak z filmu science fiction, z ogromnymi ekranami, na których widać było tłum jednakowo wyglądających ludzi.

Nigdy przedtem nie spotkałem się z takim tłokiem na ulicach, na chodnikach, przy wejściach do metra. W centrum miasta, w rozległym parku, stał pałac cesarski. Zafascynowała mnie ta wielka zielona przestrzeń ze stojącą pośrodku, zrekonstruowaną po wojnie budowlą.

- Tam nie wolno wchodzić - wyjaśnił Toshio. - Ale można spacerować między budynkami, których drzwi są otwarte, aby widać było wystrój wewnątrz. Część sal służy do przyjmowania dygnitarzy, jest też oddzielna sala koronacyjna. Podczas ceremonii *ooharai* cesarz przybywa do pałacu w lnianym ubraniu. Po rytualnej ceremonii jego ubranie oraz laleczki symbolizujące grzechy umieszcza się w łódce, którą spuszcza się na rzekę. Starożytni Japończycy uważali, że nie można zacząć nowego roku bez przeproszenia za wcześniej popełnione grzechy.

- Przypomina to nasz Jom Kippur. U Hebrajczyków odbywała się ceremonia poświęcania kozła ofiarnego, którego arcykapłan Izraela składał w świątyni w Jerozolimie. On także na święto Jom Kippur wdziewał lniane szaty. Kładł ręce na głowie kozła, którego obarczano wszystkimi grzechami ludu Izraela. Potem odprowadzano zwierzę w odludne miejsce i obserwowano, jak się oddala.

Na szczycie pałacu cesarza Japonii zauważyłem rozetę w kształcie kwiatu z szesnastoma płatkami, taką samą jak nad bramą Heroda w Jerozolimie.

Gdy zapytałem Toshio, jakie jest jej pochodzenie, wyjaśnił mi, że rodzinę cesarską otaczają sekrety i tajemnice. W powszechnej opinii cesarz Japonii posiada sekretną wiedzę, przekazywaną z pokolenia na pokolenie, od samych początków istnienia państwa.

- Czego dotyczy ta wiedza?

- Rodziny cesarskiej i zapewne całej Japonii, ale nic więcej nie wiemy. Mówi się też, że cesarz naszego kraju ma boskie pochodzenie.

Jechaliśmy przez to ogromne miasto z gigantycznymi placami i alejami, wypełnionymi tłumami ludzi. Co jakiś czas Toshio pokazywał mi teatr kabuki, stragany oferujące setki tysięcy towarów, wielkie domy handlowe, przed którymi kłębili się ludzie, albo jakieś zbiegowisko czy demonstrację.

Wreszcie dojechaliśmy do dzielnicy Shibuya, gdzie znajdują się teatry i restauracje, a

ponieważ przybyliśmy przed czasem, Toshio zaproponował, żebyśmy coś zjedli. Weszliśmy do małej restauracji, gdzie na ruchomej ladzie przesuwają się talerze z porcyjkami przyrządzonych na różne sposoby ryb. Przy wejściu, na podwyższeniu, stała ogromna misa z solą.

- Czy ta sól służy do oczyszczania się?

- Tak - odrzekł Toshio. - Ale skąd pan o tym wie? Wszyscy turyści z Zachodu dziwią się na jej widok! Szintości mają zwyczaj używać soli lub wody do oczyszczania się. Z tego powodu sanktuaria japońskie budowane są w pobliżu jezior, stawów lub rzek.

- U żydów sól również pełni ważną rolę. Podczas wszystkich ofiar używa się soli, która symbolizuje konserwację, w przeciwieństwie do miodu i zakwasu drożdżowego, symbolizujących fermentację i rozkład.

Staliśmy przed ladą i Toshio zaczął wymieniać nazwy ryb podanych jako sushi, pokrojonych na małe kawałki.

Wziąłem miseczkę z ryżem i zabrałem się niezręcznie do jedzenia pałeczkami.

- Nie tak! - wykrzyknął Toshio z dziwnym grymasem na okrągłej twarzy. - Panie Ary, tego się tak nie robi!

- Nie? - zapytałem, bojąc się, że go urażę.

- W ten sposób składa się ofiary zmarłym!

- Czyżby był pan przesądny, panie Toshio?

Toshio popatrzył na mnie zza okrągłych okularów z bardzo poważną miną.

- Nie wolno przekładać jedzenia z pałeczki na pałeczkę, bo to jest rytuał związany ze zmarłymi.

- Ciekawe - mruknąłem. - U nas także nie należy przekładać chleba z ręki do ręki. Mogą to czynić tylko ci, którzy są w żałobie.

- Panie Ary - powiedział poważnym tonem Toshio - muszę coś wiedzieć.

- Słucham.

- Czy jest pan szintoistą?

- Nie, jestem żydem.

- Ach tak - odetchnął z ulgą Toshio. - Nigdy przedtem nie spotkałem żyda.

- Czy Shimon Delam, kiedy kontaktował się z panem, nie wspomniał, że...

- Tak, ale pracuję z tyloma ludźmi i nie zawsze wiem, kim są. Nie wiem nic o żydach. Żyje tu sto dwadzieścia milionów Japończyków i zaledwie tysiąc Żydów.

- Japończycy i Żydzi bardzo się różnią, to dwie odrębne kultury, prawda, panie Toshio?

Mój rozmówca zmieszał się.

- W Japonii uważa się, że szintoizm został wprowadzony przez przodka cesarza, który pochodzi od Boga.

- Czy wierzy pan w boskość cesarza, panie Toshio?

Toshio spojrział w prawo i w lewo, jakby chciał się upewnić, że nikt go nie usłyszy.

- Dla większości Japończyków cesarz jest żywym Bogiem - szepnął. - Pochodzi w prostej linii od Amaterasu, bogini słońca. Jego urodziny, przypadające dwudziestego trzeciego grudnia, to święto narodowe.

- Jak nazywa się obecny cesarz?

- Nie mogę tego powiedzieć, panie Ary - szepnął Toshio.

- Dlaczego? Nie zna go pan?

- Znam, ale nie mogę wypowiadać jego imienia w miejscu publicznym. - Nachylił się do mnie i szepnął: cesarz nazywa się Akihito, ale tak nazywają go tylko cudzoziemcy. Dla Japończyków jego imię to tabu. Jego wymawianie łączy się z wielkim niebezpieczeństwem. Cesarze nie mają nazwiska rodowego. Japończycy odczuwają zbyt wielki szacunek, żeby pozwalać sobie na taką poufałość.

- A więc wcale go nie nazywają? To zupełnie tak jak z naszym Bogiem, którego imienia nie wymawia się nigdy.

- Najczęściej mówimy o nim *tenno*, co oznacza „ten, który przyszedł z nieba”, albo Mikado, co oznacza „Najwyższy”. Obecny cesarz jest synem Hirohito, którego panowanie było najdłuższe w historii Japonii. Słyszał pan z pewnością, że był bardzo krytykowany za rolę, jaką odegrał w czasie drugiej wojny światowej. Po klęsce Japonii prosił Amerykanów, by go zabili, ale oni odmówili. Zażądali natomiast, by publicznie zrzekł się swej boskości. Zrobił to pierwszego stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku, prosząc swój naród, aby nie kultywował „falszywej idei, według której cesarz pochodzi od Boga, a naród japoński góruje nad innymi rasami i przeznaczony jest do rządzenia światem”.

- Czy widujecie go tak często jak Anglicy rodzinę królewską?

- Ach nie! Już mówiłem, że dla nas to bardzo poważna sprawa. Cesarz ukazuje się w oknie swego pałacu dwa razy w roku - drugiego stycznia i dwudziestego trzeciego grudnia - pozdrawia stamtąd swój naród. Tylko w te dni przyjmuje u siebie. - Toshio znowu się rozejrzał. - A teraz dość już o tym.

Pochylił się nad swoją miską i zabrał się do jedzenia sushi, zasłaniając przy tym ręką usta, aby nie było widać, jak żuje.

- *Damaru*, panie Toshio.

- Tak, panie Ary - odpowiedział, patrząc na mnie ze zdziwieniem. - Nie wiedziałem, że zna pan stary japoński.

Kiedy już się posililiśmy, wsiedliśmy ponownie do samochodu, żeby udać się do dzielnicy świąt, Ueno, gdzie panowała całkowicie odmienna atmosfera niż w Shibuya. Znajdowały się tu tylko niskie domy i małe pagody, przed którymi na chodniku ustawione były doniczki z roślinami, tworzącymi japońskie miniogródki.

Weszliśmy do domu z lnianymi tapetami. Powitała nas stara kobieta w czerwonym jedwabnym kimonie, po czym zaprowadziła do miejsca zupełnie niepodobnego do tych, jakie dotąd oglądałem.

Był to placyk wysypany zagrabionym piaskiem, z ustawionymi w czterech rogach grubymi ciemnymi kamieniami. Całość, otoczona żywopłotem w kształcie dachu, przywodziła na myśl ogromny ocean, wieczność raj, pustkę niezmaconą niczym jak czysta kartka, świat wstrzemięźliwości, łagodności, zapraszający do kontemplacji i medytacji.

To było jak rzeka, której wody w górnym biegu płynęły wartkim strumieniem, pokonywały liczne przeszkody, aby na koniec dostać się do spokojnego stawu.

Na środku ujrzałem pięć dużych skalnych bloków o różnych kształtach, wokół których piasek tworzył jakby fale. Patrzyłem na nie przez moment, nie mogąc oderwać wzroku. Odnosiłem wrażenie, że nic nie może zakłócić spokoju mojego umysłu. Nigdzie nie było widać ani jednego źdźbła trawy, żadnej nierówności terenu. Nic nie ograniczało tej przestrzeni.

- Widzę, że podoba się panu mój ogród.

Odwróciłem się. Mężczyzna, który wypowiedział te słowa, miał około sześćdziesięciu lat, pergaminową żółtą cerę, skośne ciemne oczy, wąskie usta z zębami białymi niczym perły i ujmujący uśmiech. Miał dużą głowę i wypukłe szerokie czoło. Na podstawie naszych ksiąg powiedziałbym, że jego kamieniem jest granit.

- W Japonii światło dzienne jest oślepiające, a nocą, jeśli nie ma księżyca, nie widać nic. Z tego powodu zakładamy ogrody, żeby mieć gdzie medytować. W ten sposób wracamy do naszych początków, do momentu stworzenia świata, jeszcze przed pojawieniem się człowieka.

Gospodarz domu szedł, opierając się na pięknej lasce ze złotą gałką w kształcie smoka. Najbardziej jednak zaskakujący był jego ubiór, w którym wyglądał jak dżentelmen z dziewiętnastego wieku. Pod zagiętymi końcami kołnierzyka koszuli miał założoną muchę, nosił ciemny, doskonale skrojony garnitur z kamizelką i angielskie buty - wszystko razem

dawało wrażenie niezwyklej elegancji połączonej z powagą.

- Dzień dobry - powiedział Toshio. - To Ary Cohen.

- Domyślam się, Toshio *san* - odrzekł mężczyzna. - Zostałem uprzedzony o waszej wizycie i z przyjemnością witam was w moim domu.

Dał nam znak, byśmy poszli za nim. Wszędzie panowała niezwykle atmosfera ciszy i spokoju. Ściany zewnętrzne pokryte były tynkiem imitującym surową glinę, co nadawało im wiejski charakter. Wejście tworzyły dwuskrzydłowe rozsuwane drzwi. Ruchomy parawan, przez który przedostawało się do środka światło dzienne, odgradzał salonik od pokoju głównego. Wieczorem zapalano lampy ustawione bezpośrednio na podłodze. To subtelne oświetlenie dodawało blasku drewnianej konstrukcji.

W głównym pomieszczeniu na podłodze leżała kwadratowa tatami. Na ścianach obitych papierem przesuwaly się cienie. W tym pomieszczeniu o jednej tonacji, bez ozdób, panowała atmosfera prawdziwego, niezmaconego spokoju.

- Jak tu pięknie - powiedziałem do gospodarza, podziwiając ten pokój bez stołu i krzesel, ze ścianami w jednym kolorze.

- Szuka pan prawdy i piękna - odrzekł na to. - Każdy dzień trzeba zaczynać od białej kartki i zagłębić się w sobie.

- Słyszałem, że był pan kaligrafem. Ja byłem skrybą. Tak nazywają się u Żydów kaligrafowie.

W tym momencie przypomniały mi się długie godziny, które spędzałem na pisaniu, samotny w dzień i samotny w nocy, gdy wykonywałem swoją pracę w grotach esseńczyków. Nagle wydało mi się to tak odległe, że niemal nierealne. Niespodziewanie ożyły w mojej pamięci pomięte żyłkowane arkusze pergaminów, przynoszące nowiny esseńczykom, oczekującym kolejnych opowieści, kolejnych kopii, czarnych kresek na białym tle.

- Byłem człowiekiem, który nic nie mówił. Pisałem słowa na papierze, ale nie wypowiadałem ich na głos.

- A czy pisanie słowa nie jest mówieniem? To jakby tworzyć więź z wszechświatem.

Wyszedł z pokoju i wrócił z zapisaną kartką, przypominającą tę, którą pokazała mi Miyoko. Był na niej nie tylko wykaligrafowany tekst, lecz także abstrakcyjny i zarazem bardzo wymowny rysunek. Ja, który tak długo obcowałem z literami, nie mogłem oderwać wzroku od pięknych, kragłych, równych znaków. Pismo to miało swój charakter, indywidualność, ciało i kości, mięśnie i krew. Puste przestrzenie między literami emanowały siłą ożywiająca świat. To pismo było odbiciem świata, ucieleśniało pierwsze słowo, które dało mu początek.

Niespodziewanie, jakby za sprawą cudu, wróciło do mnie wszystko, o czym zapomniałem, gdy przestałem zajmować się pisaniem. Powstała wówczas w moim sercu pustka niczym niezastąpiona.

Pomyślałem o czasach, kiedy byłem skrybą, kiedy poprzez pisanie poznawałem wszystko, co istnieje. Za pośrednictwem ucha pióra słyszałem wrzawę świata. Oglądałem go oczami pióra, przekształcałem, tworzyłem na nowo. W głębi serca widziałem świat mego pióra i byłem szczęśliwy.

- Zapomniałem o tym... - szepnąłem do siebie.

- To tak, jakby zapomniał pan o transcendencji, która symbolizuje połączenie dwóch tchnień - yin i yang. Jest ono absolutnie konieczne, żeby osiągnąć harmonię.

- Harmonia, równowaga... Wydaje mi się, że tutaj wszyscy tego szukają.

- Żeby osiągnąć stan pustki, niebytu, bez czego tchnienie nie może krążyć, nie może się regenerować. Skoro jest pan skrybą, powinien pan wrócić do pisania, Ary *san*. Pismo pozwala nadać formę abstrakcyjnym ideom.

Miał rację - utraciłem pismo. Zostałem pozbawiony liter, pióra, pergaminów, na których kaligrafowałem słowa, ożywiając je. Od dawna już nie czułem gorzkiego smaku atramentu, jego zapachu, jego dotyku. Szczególnej woni poczerńiałej skóry manuskryptów.

Patrzyłem na wykaligrafowane znaki, przypominające mi żywe istoty, i pomyślałem, że pismo jest tym, co stanowi o istocie życia.

Czy jest inne życie niż to? Czy istnieje coś innego niż świat, który tworzymy za pomocą słów? Dlatego bałem się pisać, tworzyć niewłaściwy świat nieczystymi słowami, dlatego porzuciłem pisanie.

Mistrz Fujima wyszedł i wrócił po kilku minutach z tacą, na której leżały przybory do kaligrafii. Postawił ją na małym stoliku. Wymieszał pałeczką atrament, wydzielający silną woń palonego kadzidła. Wziąłem kartkę pachnącą polnymi ziołami. Biała, niepokalana kartka czekała na to, by zostać zapłodnioną.

Mistrz Fujima zwrócił ku mnie swą piękną pergaminową twarz i uśmiechnął się kącikami ust i oczu.

- Prawdziwe dzieło nie powstaje samo z siebie. Potrzebna jest umiejętność przyjmowania z pokorą tego, co się dzieje - powiedział, wręczając mi pędzelek.

Wziąłem go, usiadłem przy stoliku i wolno narysowałem na ryżowym papierze literę *jod*.

- Ten znak - rzekł cicho mistrz Fujima - nie jest zwykłą literą, ale ucieleśnieniem samego tchnienia.

- Tak - odrzekłem - bo wszystko zaczyna się od tej litery. Jest jakby punktem wyjścia.

- Proszę narysować inną literę.

Czułem się tak, jakbym znalazł się na początku świata w momencie jego narodzin. Nabrałem powietrza, po czym na wydechu zacząłem rysować znak, który wypełniał się na białej kartce.

Doznawałem uczucia, że jestem w moim ojczystym kraju. Mówiłem ręką. Słuchałem oczami. Pędzelek przesuwiał się po papierze, a ja odczuwałem jego ruch, jakbym sam był pędzelkiem, który kreśli literę *he*.

- Podoba mi się powolność i wdzięk, z jakim pan pisze. Żeby pisać tak wolno i z takim mistrzostwem, trzeba umieć pisać bardzo szybko.

Pędzelek szeleścił na papierze. Chciałby namalować zarys oczu Jane, ale powrócił do mnie niespodziewanie jej zapach pośród chmur, drzew, wody na piasku.

Odetchnąłem głęboko i narysowałem kolejną literę - *waw*.

- Oto prosty w swej istocie znak. Czy narysuje pan następną literę?

Patrzył na mnie czarnymi, skośnymi oczami. Chyba wiedział, że napisałem pierwsze trzy litery imienia Boga.

- Nie.

- Teraz pan się boi. Czasami gesty znacznie wyprzedzają myśl. Sam pan widzi, że dla pana pisanie to życie.

Usiadł obok mnie, wziął do ręki pióro i nakreślił kilka znaków. Pomyślałem, że jego ruchy biorą początek w głębi jego serca, przechodzą do ramienia, do dłoni i wreszcie na czubek pędzelka.

Ciało mistrza Fujimy było nieruchome, ale ręka poruszała się z ogromnym wdziękiem. W otaczającej nas ciszy słyszałem każdy jego ruch.

- Czy zna pan Yoko Shi Guya? - zapytałem.

- Tak - odrzekł, nie patrząc na mnie. - Znam ją.

Podniósł głowę i znowu ją opuścił.

Przerwał pisanie i dał nam znak, abyśmy za nim poszli. Zaprowadził nas do innego pokoju.

Pokój różnił się znacznie od poprzedniego. Przypominał miejsce studiów, bibliotekę, a jeszcze bardziej synagogę. Wysokie oszklone szafy pod ścianami pełne były książek. Na środku stała półotwarta szafa z arkuszami pergaminu. Obita była taką samą czerwoną tapetą co ściany. Miałem wrażenie, jakbym znalazł się w Jerozolimie, w małej jeshiwie w



ortodoksyjnej dzielnicy Mea Szearim.

Mistrz Fujima podał mi jedną z książek.

Spojrzałem na tytuł: *Szulchan Aruch*. Był to żydowski kodeks prawa, wydany w 1738 roku.

- Czy wszystkie te książki są tak stare? - zdziwiłem się.

- Posiadam jedną z największych na świecie kolekcji hebraików.

- Naprawdę? Dlaczego interesuje się pan dziełami hebrajskimi?

Mistrz Fujima usiadł na jednej z ławeczek i zaprosił nas, żebyśmy zrobili to samo. Toshio, milczący, zręczny jak kot, usiadł, nie czyniąc najmniejszego szmeru.

- Kolekcjonuję stare żydowskie księgi od bardzo dawna. Żeby doskonalić się w kaligrafii, jeździłem po całym świecie, byłem także w Izraelu. Mam setki książek o tym kraju, o myśli żydowskiej, mam również dzieła hebrajskie. Między innymi tak rzadkie okazy jak Talmud babiloński, Zohar i dwa zwoje Tory, ocalone pod koniec drugiej wojny światowej przez żołnierza amerykańskiego w Niemczech. Zbieram żydowskie książki od czterdziestu lat, mam również tysiąc sześćset ksiąg hebrajskich, które są przechowywane w muzeum w Kioto. Zawsze czułem się bardzo związany z ludem żydowskim, z Izraelem, z Qumran.

- Zna pan Qumran?

- Oczywiście - odrzekł mistrz Fujima. - Kto nie słyszał o Qumran? Wybrałem się tam bardzo dawno temu, kiedy odkryto w grotach manuskrypty. To było coś nieprawdopodobnego. Większość z nich to kopie Biblii powstałe między trzecim wiekiem przed naszą erą a siedemdziesiątym rokiem naszej ery. I pomyśleć, że przez ponad trzydzieści pięć lat od ich odkrycia zwoje te nie zostały przetłumaczone ani opublikowane. Zniknęły, rozproszone po całym świecie.

- Dopiero po pięćdziesięciu latach udało się w końcu zgromadzić wszystkie zwoje w Izraelu, opublikować ich zdjęcia, udostępnić je tym, którzy chcą prowadzić nad nimi studia - dodałem.

- Na mnie Qumran zrobiło takie wrażenie, jak wyłonienie się z wód po potopie góry Ararat, a potem innych gór, pojawienie się na nowo światła dziennego, gołębicy i gałązki oliwnej. Było to odkrycie najbardziej nieprawdopodobnego sekretu odnoszącego się do Jezusa. Bo człowiek ten nie przyszedł znikąd, ale był esseńczykiem! Jezus był Mesjaszem, na którego esseńczycy długo czekali, był ich Nauczycielem Sprawiedliwości ochrzczonym przez jednego z nich, Jana, który żył między nimi na pustyni.

Mistrz Fujima wstał i przeszedł kilka kroków, po czym znów usiadł. Zanim się odezwał, przez chwilę o czymś rozmyślał.

- Kiedy byłem dzieckiem, znaleźliśmy u nas w domu tefilin. Rodzice uważali, że należały do naszych przodków.

Patrzyłem na niego z niedowierzaniem. Jego oczy błyszczały posepnym blaskiem.

- Zaskakujące, nieprawdaż?

Zamilkł, jakby nie chciał powiedzieć wszystkiego.

- Wie pan, że w sanktuarium Shôjû Rôjina znaleziono człowieka, który miał w ręku fragment hebrajskiego manuskryptu? Czy ma to jakiś związek z Yoko Shi Guya?

- Często chodziła do Bejt Szalom w Kioto, miejsca, gdzie spotykali się znajomi z Izraela... - Znowu umilkł i opuścił głowę. - To moja wina, nie powinienem był opowiadać jej historii o naszych przodkach.

- Jakiej historii?

- Ale jak miałem jej o tym nie mówić? Chciałem, żeby opuściła tamten dom. - Wpatrywał się we mnie przez chwilę, po czym dodał: - Yoko Shi Guya nazywała się naprawdę inaczej. Jej prawdziwe imię to Isate Fujima. Została zamordowana podobnie jak mnich Nakagashi. Była moją córką.

Rozstaliśmy się z mistrzem Fujimą. Czuję ciężar złożony na moich barkach. Ogromne wrażenie zrobiła na mnie mądrość tego starego człowieka i to, jak panuje nad emocjami.

Jeszcze bardziej niż przedtem bałem się o Jane. Zastanawiałem się, gdzie jest. Jeśli coś złego mogło przydarzyć się córce mistrza Fujimy, to tym bardziej Jane, która została wmieszana w tę sprawę jako tajny agent. Co się tak naprawdę działo w tym zamkniętym domu? Czy to możliwe, że służył za parawan jakimś podejrzanym sprawom?

Domyślałem się, że kluczem do rozwiązania tej tajemnicy jest manuskrypt, i dlatego koniecznie musiałem go przeczytać. Powiedziałem Toshio, że sam udam się na policję i spróbuję dowiedzieć się czegoś więcej. Popatrzył na mnie takim wzrokiem, jakby nie wierzył w sukces.

Po powrocie do Kioto następnego dnia rano udałem się do komisariatu policji. Nie dostałem od Shimona zielonego światła, postanowiłem jednak spróbować.

Gdy przedłożyłem swoją prośbę, usłyszałem, że jest to dowód rzeczowy i że w żadnym wypadku nie mogą mi go pokazać. Wtedy powołałem się na Shimona Delama. Kazano mi chwilę poczekać, po czym pojawił się komendant policji.

Był to mężczyzna wysokiego wzrostu, o bardzo gładkiej cerze i z długą szramą na

policzku. Miał zadziwiająco nieruchome spojrzenie. Ubrany był w garnitur z niebieskim krawatem. Z uśmiechem podał mi rękę na powitanie.

- Dzień dobry. Nazywam się Jan Yurakuchi. Od kilku dni jestem w kontakcie z Shimonem Delamem, który przedstawił mi sytuację. Wiem, że przybył pan tutaj w charakterze jego agenta.

- Tak. I koniecznie muszę obejrzeć ten manuskrypt, sądzę bowiem, że potrafię go odczytać, co w istotny sposób posunęłoby naprzód dochodzenie.

Japończyk pokręcił głową.

- Proszę pana, muszę mieć dostęp do akt - nalegałem. - Chciałbym zobaczyć ten fragment znaleziony przy zwłokach człowieka z lodów.

Policjant, nie tracąc opanowania, odpowiedział:

- Jeśli chodzi o zwłoki, to może je pan obejrzeć, ale co do manuskryptu, to obawiam się, że jest to niemożliwe.

- Niemożliwe?

- Niemożliwe.

- Rozumie pan, że przyjechałem tu właśnie z tego powodu. Przesłał mnie Shimon Delam, ponieważ jestem ekspertem w dziedzinie archeologii i paleografii.

Uśmiechnął się i skłonił głowę w taki sam sposób jak dziewczyna w domu gejsz, gdy zapytałem ją o Yoko. Zaczynałem pojmywać sens takich gestów. Oznaczały: nie warto nalegać, to strata naszego i pańskiego czasu.

Komisarz milczał, patrząc na mnie nieruchomym wzrokiem, dając mi do zrozumienia, że to koniec rozmowy.

*Każda osoba, która ma nieruchome spojrzenie, której uda są długie i wysmukłe, której palce u nóg również są długie i wysmukłe, która urodziła się podczas drugiej kwadry księżyca, ma umysł złożony w sześciu częściach ze światła, ale w trzech z ciemności.*

Po wyjściu z komisariatu spotkałem się z niezastąpionym Toshio. Oznajmiłem mu, że muszę koniecznie zobaczyć się z mistrzem Shôjû Rôjinem. Wyruszyliśmy samochodem do Kioto i po pięciu godzinach dotarliśmy na miejsce. Miałem nadzieję, że zasięgnę u mistrza pewnych informacji, chciałem go zapytać, skąd pochodził fragment manuskryptu znaleziony w jego świątyni, w jaki sposób trafił w to niepasujące do niego miejsce, a przede wszystkim, kto go wywiózł z Izraela, z jakiego muzeum, na jakiej pustyni go ukradziono?

Gdy przybyłem do świątyni, przyjęto mnie tam podobnie jak przedtem, bez pośpiechu, zgodnie z tradycją, ale wiedziałem już, że na nic nie zda się zniecierpliwienie, że muszę

spokojnie czekać. Było to ćwiczenie sztuki cierpliwości.

- Chciałbym pojąć, o co tu chodzi - zwróciłem się do mistrza. - Proszę mi opowiedzieć wszystko, co pan wie na temat mnicha Nakagashiego, człowieka znalezionego w lodach, i manuskrypcie, który trzymał w ręku. Muszę to wiedzieć już teraz. Osoba, którą kocham, znalazła się z tego powodu w niebezpieczeństwie, a ja pragnę ją ocalić!

Mistrz ubrany był w strój do walki. Nieskazitelna biel materiału kontrastowała z jego ciemną skórą. Czarny pas, zawiązany w trzy idealne węzły, podtrzymywał kimono, na którym nie było ani jednej fałdki. Na całej długości pasa ciągnął się napis podobny do tych, które widziałem w sanktuarium na trzciniowych paskach.

- Ja i tylko ja! - rzekł mistrz. - Taki sposób myślenia jest główną przyczyną twego nieszczęścia, Ary Cohenie. Gdy sobie to uświadomisz, wejdiesz na drogę rozumu i okażesz prawdziwą odwagę.

- Nie mogę w takich warunkach prowadzić dochodzenia - tłumaczyłem. - Odnoszę wrażenie, że wszyscy coś przede mną ukrywają i że nikt nie chce ze mną poważnie rozmawiać!

- Widzę, Ary Cohenie, że jesteś dziś w złym nastroju. Musisz zaś wiedzieć, że dobry nastrój to właściwa droga do przebudzenia, podczas gdy zły humor prowadzi prostą drogą do tego, że stajemy się więźniami zmysłów. Dlatego też uważamy, że adept musi być w dobrym humorze w dzień i w nocy. Tylko radosny umysł może pokonać pojawiające się przed nim problemy.

- Tak, oczywiście - mruknąłem. - Ale jak być w dobrym nastroju, kiedy jest się w złym humorze?

- To bardzo proste. Dobry nastrój zależy od wielu czynników: odwagi, wytrwałości, umiejętności rozpoznawania pozytywów, jakie ofiarowuje nam życie, wiary w siebie, szacunku, sprawiedliwego postępowania, słuchania tego, co mówią nauczyciele, dobroci, współczucia... Jeśli otworzysz umysł na te wartości, jeśli przyjmiesz je szczerze jako swoje, dobry nastrój wytryśnie z twego umysłu niczym wiosną kwiaty spod śniegu. - Mistrz zrobił przerwę, po czym mówił dalej: - Zły nastrój rodzi się z niedbalstwa, powierzchowności, niegrzeczności, obojętności wobec skutków własnych czynów, niezdolności pojmowania sensu rzeczy, żądzy sławy i pieniądza, zamiłowania do luksusu, zwątpienia i nieufności, uporu, bojaźliwości, chciwości, pożądlivosti, zazdrości, niewdzięczności i służalczości.

Patrzył teraz na mnie z zatroskaną miną, jakby na coś czekał. Był gotów udzielać mi lekcji, ale nie chciał odpowiadać na moje pytania. Po sekundzie zrozumiałem, co oznacza to spojrzenie. On nie oczekiwał ode mnie pieniędzy, nie na tym mu zależało. Oczekiwał ode

mnie czegoś zupełnie innego.

- Nasi nauczyciele - zacząłem - głoszą, że jeśli ktoś znajdzie przedmiot zgubiony przez swego nauczyciela i jednocześnie przedmiot zgubiony przez ojca, powinien zająć się najpierw przedmiotem należącym do nauczyciela, bo wprawdzie ojciec sprowadził go na ten świat, ale mistrz, który uczy go mądrości, czyni go tego świata godnym.

Twarz mistrza Fujimy rozpromieniła się, jakbym wręczył mu najpiękniejszy podarek.

- A jeśli jego ojciec również jest mędrcom? - zapytał.

- Wtedy daje pierwszeństwo ojcu. Podobnie dzieje się - mówiłem dalej - gdy jego ojciec i jego nauczyciel znajdują się w więzieniu: najpierw płaci okup za nauczyciela, a potem za ojca. Jeśli natomiast ojciec jest mędrcom, wtedy najpierw płaci okup za ojca, a potem za nauczyciela.

- A jeśli samemu zgubiło się jakiś przedmiot? Czy jego należy szukać najpierw, czy przedmiotu nauczyciela?

- Należy zadbać przede wszystkim o własne rzeczy. Jeśli znajdujemy zgubiony przedmiot i to, co zginęło naszemu ojcu, najpierw trzeba zająć się swoją zgubą.

- No tak! - powiedział z wyraźnym zadowoleniem mistrz Fujima. - Ludzie, którzy nie potrafią rozpoznać tego, co słuszne, nigdy nie będą umieli pojąć, co jest źródłem nieszczęścia i szczęścia.

Teraz patrzył na mnie życzliwszym okiem. Pod kimonem rysowały się wyraźnie jego mięśnie. W tym momencie wydał mi się naprawdę niepokonany, nie z powodu siły fizycznej, ale dzięki emanującej z niego sile moralnej.

Jakby odgadując moje myśli, zaproponował:

- Teraz, jeśli chcesz, udzielę ci drugiej lekcji.

- Zgoda, mistrzu - odpowiedziałem, wykonując gest pozdrowienia.

- Żeby nauczyć się *budo* - sztuki walki, do czego powinieneś dążyć, trzeba umieć nad sobą panować. Bardzo ważne więc jest, by mieć kontrolę nad każdym gestem. Może się to także przydać w życiu codziennym. Podczas prawdziwej walki decyduje to o życiu lub śmierci. Najmniejsze osłabienie koncentracji, brak zgrania umysłu i ciała, może skończyć się fatalnie. Dlatego najgroźniejszym przeciwnikiem nie jest ten, kogo za takiego uważasz.

- A kto?

- Powiem ci. Ale każda rzecz ma swój czas. Według naszej tradycji podążanie Drogą jest jak wspinanie się na wysoką górę. Każdy ruch powinien być precyzyjny, chwila nieuwagi, zwątpienia, jeden fałszywy krok, powodują upadek. Ktoś, kto postanawia wejść na górę, wybiera sobie stok, po którym będzie się wspiął, szuka przewodnika, który wskaże mu

bezpieczną ścieżkę. Trzeba jednak pamiętać, że nawet z najlepszym przewodnikiem nie ma pewności sukcesu. Czekają na nas liczne przeszkody, móżól i trud. Człowiek, który zamierza zdobyć szczyt, wie, że najzacieklejsza walka stoczy się w nim samym i że góra ta daje mu tylko możliwość pokonania samego siebie.

- A jak tego dokonać, mistrzu?

- Trzeba znać prawdziwe przeszkody, te, które są w nas samych. Ty, Ary Cohenie, jesteś zwykłym człowiekiem, zależnym od twoich nawyków, twojej wizji świata, twoich przesądów. Zrealizujesz siebie tylko w walce z samym sobą, z własnymi wadami, słabością, iluzjami. Pycha, lenistwo, niecierpliwość, zwątpienie - oto groźne pułapki, w które wpadło bardzo wielu. Droga, jaką masz do przebycia, nie jest łatwa - jest długa, trudna i mozolna.

- Jestem gotowy.

- Na pewno?

- Ile czasu potrzeba, by poznać dobrze sztukę walki?

- Reszty twojego życia.

- Nie mogę czekać tak długo. A jeśli zostanę pańskim uczniem, ile to potrwa?

- Dziesięć lat.

- A jeśli będę się bardzo starał?

- Trzydzieści.

- Co to znaczy! - krzyknąłem. - Przedtem była mowa o dziesięciu latach, a teraz zrobiło się z tego trzydzieści!

- Człowiek będący pod taką presją jak ty nie może nauczyć się tego szybko.

- To oczywiście, że jestem pod presją! - mówiłem drżącym głosem. - Czy nie widać, jak mało mam czasu?

- Nie pozwalaj ponosić się emocjom - powiedział mistrz spokojnie. - To chyba najtrudniejsza z duchowych umiejętności. Wymaga o wiele większej koncentracji niż medytacja. W każdym momencie mogą wyłonić się przed tobą przeróżne kłopoty, będziesz musiał poradzić sobie z wrogami, prowokatorami albo nawet z przyjaciółmi, z ludźmi, których kochasz, a którzy cię zdradzą. Jeśli jednak przestaniesz widzieć w swoim życiu same przeszkody spiętrzone przez wrogów pragnących cię zniszczyć, wtedy dopiero staniesz się człowiekiem. Jeśli nauczysz się panować nad swym gniewem, nie dopuszczając do tego, aby zawładnął tobą choćby przez jedną małą chwilę i zburzył to, co budowałeś całymi latami, do czego doszedłeś przez całe życie, wtedy dopiero staniesz się człowiekiem.

- Prawdziwy wojownik nigdy nie wpada w gniew?

- Według idei sztuki walki ćwiczenia pozwalające uleczyć tę straszną chorobę umysłu,

jaką jest gniew, odbywają się w dwóch etapach: przywiązanie się do jakiejś myśli i odrzucenie jej.

- A czy myślenie o tym, żeby wyrzucić chorobę z myśli, nie jest myśleniem? Przecież myślenie o uwolnieniu się od choroby także jest myśleniem.

- Widzę, że jesteś uczniem zdolnym i inteligentnym - rzekł mistrz Fujima z uśmiechem. - Naturalnie, że trzeba użyć myślenia, by uwolnić się od myślenia.

- Chyba się do tego nie nadaję.

- A próbowałeś?

- Jeśli będę wiedział, kto jest moim wrogiem, jeśli poznam jego imię, mogę z nim walczyć.

- Groźny wojownik może wydawać się słabym i niedoświadczonym przeciwnikiem. Słynna szkoła Chuan-Shu zbudowała swoją metodę na tej właśnie idei. Jej uczniowie uczą się udawać pijanych, żeby uspić czujność przeciwnika. Dzięki temu zadają mu nieoczekiwane ciosy. Musisz wiedzieć, że każda rzecz podporządkowuje się zjawisku transmisji. Komunikatem jest sen, ziewanie, a nawet stan upojenia. Jeśli twój przeciwnik zachowuje się agresywnie, przybierz obojętną minę, jakbyś niczego nie dostrzegał. Kiedy jego czujność osłabnie, zaatakuj szybko i energicznie. - Po tych słowach umilkł na moment. - Koniec lekcji na dziś.

- Nie będziemy walczyli?

- Ary Cohenie! Jakże jesteś niecierpliwy! Ta niecierpliwość czyni cię głupim i bezbronnym! Przekazałem ci dziś najważniejsze zasady walki, a ty chcesz jeszcze walczyć? Usiądź teraz. Chcę ci przedstawić moich synów.

Wstał i umieścił wazę w górnym rogu przesuwanych drzwi w taki sposób, żeby spadła na głowę tego, kto wejdzie do pokoju.

Zaklaskał.

- Przywołuję mojego pierwszego syna - powiedział.

Zobaczyłem młodzieńca, który po uchyleniu drzwi, z miną jak najbardziej obojętną, zdjął wazę i dopiero potem wszedł do środka. Zamknął za sobą drzwi, odstawił wazę na to samo miejsce i powitał nas ukłonem.

- To mój najstarszy syn, wkrótce otrzyma tytuł mistrza walki - oznajmił mistrz.

Znowu zaklaskał, przywołując drugiego syna. Ten otworzył drzwi, nie zauważył wazy, która spadła z framugi. Jednak młodzieniec złapał ją w locie, nie dopuszczając do tego, żeby się rozbiła, a potem odstawił na miejsce.

- To mój młodszy syn. Jeszcze się uczy.

Trzeci wszedł nastolatek, którego waza uderzyła w kark, ale zanim dotknęła podłogi, chłopak dobył miecza i jednym precyzyjnym uderzeniem rozciął ją na pół.

- To mój ostatni syn, hańba rodziny.

Przyniesiono herbatę. Najstarszy z synów wziął ją ostrożnie od służącego i zaczął nam nalewać. Jego ruchy były przemyślane, dokładne, precyzyjne i piękne, możliwe tylko dzięki panowaniu nad sobą.

- Mistrzu, czy mogę cię teraz zapytać, jakim sposobem mnich Nakagashi zginął przez sztukę walki?

Mistrz Fujima pochylił się nad herbatą. Jego trzech synowie i on sam spoglądali na mnie spod oka.

- Mnich Nakagashi był niepokonany - rzekł mistrz. - Miał miecz, który był „strażnikiem jego ciała”. Nigdy się z nim nie rozstawał.

- Skąd wiesz, że jego przeciwnicy zastosowali sztukę walki?

- Bo byłem w pobliżu, gdy usłyszałem *kiai* - odpowiedział mistrz. - Natychmiast tam pobiegłem, ale było już za późno. Nie mogłem nic zrobić, żeby go uratować.

- Co to takiego *kiai*, mistrzu?

Po chwili milczenia rzekł:

- Mnich Nakagashi został podczas walki rozbrojony. Jego jedyna szansa na przeżycie zależała od umiejętności posłużenia się bronią naturalną - czyli zręcznością ciała. Zastosował *dzu-dzitsu* - metodę walki gołą ręką. To technika pozwalająca wykorzystać ruchy przeciwnika, by wykluczyć go z walki. Mnich Nakagashi został jednak obezwładniony przez *kiai*. Siła *kiai* jest olbrzymia, wyzwala ogromną energię.

Patrzyłem na niego z niedowierzaniem, zastanawiając się w duchu, czy sobie ze mnie nie kpi.

- Nie wierzysz mi?

Dał znak głową najstarszemu synowi, który wstał i podniósł materac leżący na podłodze. Złożył go we czworo i zasłonił nim mój brzuch.

- Napnij mięśnie brzucha - polecił.

Uderzył lekko nogą w materac, wydając przy tym krzyk o tak niebywałym natężeniu, że na kilka sekund prawie ogłuchłem.

Skręcając się z bólu, odrzuciłem materac.

- Energia poprzez materac i żołądek doszła do kręgosłupa - skomentował mistrz.

- Teraz - wystękałem, z trudem łapiąc oddech - kiedy już wiemy, jak zabito Nakagashiego, czy mógłby mnie pan naprowadzić na ślad zabójcy? Ale najpierw muszę



wiedzieć, skąd pochodzi ten manuskrypt. Widział go pan?

Mistrz spoglądał na mnie z bardzo poważnym wyrazem twarzy. Trzej synowie milczeli.

Chwila wieczności - jak powiadają Japończycy.

- Ary Cohenie, wypróbowałem twoją inteligencję i zainteresowanie walką. - Mistrz przyglądał mi się z wielką uwagą. Po raz pierwszy w jego nieprzeniknionych oczach dojrzałem błysk życzliwości.

- Z jakiego powodu zgodził się pan uczyć mnie sztuki walki?

- Dzięki temu - powiedział mistrz z lekkim pochyleniem głowy - mogłem także sprawdzić twoją przenikliwość. Przenikliwość i lojalność w walce. Zgodziłem się uczyć cię sztuki walki, ponieważ pragnę, abys podjął walkę z naszymi wrogami i żebyś wyszedł z niej zwycięsko. Teraz jednak chciałbym odwrócić twoje pytanie i powiedzieć ci, że istotne jest nie tyle to, dlaczego zgodziłem się uczyć cię sztuki walki, ile to, dlaczego ty zgodziłeś się, żebym to ja właśnie był twoim nauczycielem. I nie mów mi, że to z powodu twojego dochodzenia.

- Z powodu dochodzenia, które prowadzę, i z jeszcze innego powodu.

- Czego właściwie chcesz?

- Pragnę, aby nauczył mnie pan waszej tradycji - odpowiedziałem po krótkim milczeniu. Wzruszenie ścisnęło mi gardło, gdy dodałem: - Nikt mnie już niczego nie uczy. Od bardzo dawna nie mam nauczyciela. Brakuje mi tego. Odszedłem od tradycji. Chciałbym, żeby pan był moim nauczycielem. Chcę wiedzieć, kim jestem!

- Wobec tego powiem ci, że manuskrypt nie został skradziony.

- Nie? Jakim więc sposobem tutaj trafił?

- Wiesz, że został znaleziony przy człowieku z lodów.

- Ależ ten fragment pochodzi z Izraela! Jak to możliwe, że odnaleziono go przy człowieku sprzed dwóch tysięcy lat, a do tego w Japonii!

Mistrz wstał i położył rękę na plecach najstarszego syna.

- Mój najstarszy syn Micha zaprowadzi cię do miejsca, gdzie być może znajdziesz odpowiedź na twoje pytania.

Syn bez słowa skinął głową. Miał około dwudziestu lat. Na jego policzkach nie drgnął ani jeden mięsień. Trzymał się tak sztywno i prosto, że miało się wrażenie, jakby jego ciało było z kamienia. Patrzył na swego ojca spojrzeniem pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu, wywołującym niepokój u ludzi z Zachodu. Jednak zmienna, wyrazista twarz Toshio przekonała mnie już wcześniej, że nie było to regułą u Azjatów.

- Do Kioto? - zapytałem.

- Powiedzmy, że jest to miejsce, gdzie spotykają się ludzie... Najpierw jednak moi synowie i ja bardzo chcielibyśmy, abyś nam opowiedział o *brit mila*, czyli o obrzezaniu.

Tej nocy po powrocie do hotelu śniło mi się, że znalazłem się w jakimś nieznanym domu. Byłem tam z Jane. Wykonała gwałtowny ruch przed obrazem, który otworzył się szeroko niczym książka. Pogniewałem się na nią i ona odeszła. Byłem smutny, tak smutny, że rozplakałem się i nie mogłem się uspokoić. Płakałem tak bardzo, że się obudziłem zalany prawdziwymi łzami. Sam nie wiedziałem, dlaczego jestem taki smutny. *Bo moje oczy są jak motyl w płomieniach ognia, moje łzy przypominają potoki wody, moje oczy nie znajdują wytchnienia, a moje życie toczy się w ciemnościach.*

## IV

### *Zwój ciemności*

*A mężowie Beliala otworzyli język kłamliwy jako jad żmijowy tryskający w czasach ostatecznych i jak węże jadowite miotali jad żmijowej trucizny, której nie można zażegnać. Stało się to nieuleczalną i dokuczliwą raną we wnętrznościach Twojego sługi; miała ona zachwiać jego ducha i osłabić jego siły, aby nie utrzymywał się na swoim stanowisku. Dopadli mnie w cieśninie, z której nie było ucieczki (...) Rozgłaszali na harfie mój sprzeciw, a chórem instrumentów wielostrunnych swoją niechęć. W czasie utrapienia i ucisku pochwyliły mnie gwałtowne cierpienia i męki jako bóle rodzącej, a serce moje poruszyło się we mnie. Spowila mnie ciemność, a język mój przyrósł do podniebienia (...) serce ich i myśli okazały się dla mnie goryczą. Głęboki cień przesłonił światło mojego oblicza, a mój blask przemienił się w mrok.*

Zwoje z Qumran  
Księga hymnów\*

---

\* Rękopisy z Qumran nad Morzem Martwym, op. cit.

W ogrodzie porośniętym mchem wznosił się posąg lwa. Wokół niego leżały podłużne kamienie, tworząc pierścień. Lew wyciosany był z szarego kamienia, przednie łapy miał podniesione do góry, jakby szykował się do ataku. Przypominał zwierzęta malowane na purpurowej tkaninie osłaniającej zwoje Tory. Obok znajdowały się stojące blisko siebie dwie skały. Na lewo widniał staw, wokół którego rośło kilka suchych drzew.

W głębi ogrodu stała dwupoziomowa pagoda.

Z najstarszym synem mistrza wszedłem na werandę, na której ujrzałem posąg małej dziewczynki w typie europejskim. Wydała mi się dziwnie znajoma. Miała obcięte równo włosy, delikatne i zarazem dumne rysy, wąskie brwi, spod których patrzyły głębokie, posępne oczy, zbyt poważne jak na jej wiek. Z kruchej, drobnej sylwetki emanowała siła.

Kiedy podszedłem bliżej, rozpoznałem Annę Frank. Toshio wyjaśnił mi, że ta dziewczynka, ofiara Shoah, jest w Japonii bardzo popularna, co niebywale mnie zdziwiło. Ale jeszcze bardziej zdziwiło mnie to, że w Kioto stoi jej posąg.

Z werandy przechodziło się do wielkiej sali jadalnej, w której znajdowała się cała kolekcja siedmioramiennych świeczników. Na ścianie wisiała kopia deklaracji niepodległości Izraela.

Pod sufitem zobaczyłem dwanaście lamp, jak dwanaście pokoleń Izraela.

Nie miałem czasu na zastanawianie się nad tym, gdyż zostałem oficjalnie i serdecznie powitany przez gospodarza tego miejsca. Mistrz Fujima tym razem nie był ubrany po europejsku, jak wtedy, kiedy go zobaczyłem po raz pierwszy. Miał na sobie lnianą czerwoną tunikę, która upodabiała go do starego chińskiego mędrca.

- Witamy pana - powiedział, kłaniając się. - Jesteśmy bardzo szczęśliwi, że możemy przyjąć pana w naszej wspólnocie. To dla nas wielkie wydarzenie.

Kłaniał się przy każdym słowie. Ponieważ czułem się zobowiązany go naśladować,

robiłem to samo.

Wszyscy zgromadzeni - mężczyźni, kobiety i kilkoro dzieci - wstali i z uśmiechem pozdrowili mnie w taki sam sposób. Wyglądało to tak, jakby na mnie czekali, jakby byli szczęśliwi, że przyjmują kogoś ważnego. A przecież byłem dla nich człowiekiem obcym, nieznanym.

Na stołach ustawionych w podkowę położono talerze i sztuce. Zdziwiło mnie to niepomiarowo, ponieważ od przyjazdu tutaj nie widziałem ani razu widelców. Jeszcze bardziej zaskakujące okazały się przyniesione potrawy: *gefilte fish* i *czulent*, dania Żydów z Europy Wschodniej, które często jadałem w Izraelu.

- Może pan spokojnie jeść - powiedział mistrz Fujima - wszystko tutaj jest kosherne.

- Naprawdę? - zdziwiłem się.

- Ależ tak, pod kontrolą rabinatu z Kobe.

- To w Kobe istnieje gmina żydowska?

- Naturalnie! - odrzekł Fujima. - Bardzo aktywna. Dziś jest wśród nich wielu Amerykanów i ludzi wydalonych ze swoich krajów, ale na początku wieku byli to głównie Żydzi, którzy uciekli przed pogromami w Rosji. - Nachylił się do mnie i poufnym tonem mówił dalej: - To dla nas wielki zaszczyt przyjmować dziś członka narodu wybranego. Może pan zostać w tej siedzibie przeznaczonej wyłącznie dla Żydów, którzy zwiedzają Japonię. Będzie pan naszym gościem, mając do dyspozycji wszystko, czego panu potrzeba: lodówkę z koszerne jedzeniem, wino i macę. - Widząc moją osłupiałą minę, dodał: - Znamy doskonale wasze rytuały. Większość członków naszej gminy jeździła do Izraela i niektórzy spośród nas nawet mówią po hebrajsku.

- Kiedy powstała ta gmina i dlaczego?

- Utworzyłem ją ponad dwadzieścia lat temu. Między Żydami i Japończykami istnieją związki, których nawet pan nie podejrzewa. Japończycy uratowali podczas Shoah ponad pięćdziesiąt tysięcy Żydów. Większość z nich przybyła z Rosji statkami, zatrzymali się w Kobe, żeby stąd płynąć dalej.

- Ale przecież pamiętam - powiedziałem, pochłaniając czulent, bo od przyjazdu tutaj jadłem tylko ryż i surową rybę - że Japonia była sprzymierzeńcem faszystowskich Niemiec.

- To prawda. - Mistrz Fujima zmrużył oczy i jeszcze bardziej przysunął swoją twarz do mojej. - Nie dotyczy to jednak problemu Żydów. Musi pan wiedzieć, iż rząd japoński odmówił eksterminacji Żydów, jak tego żądali niemieccy naziści. Działania antyżydowskie w Japonii miały minimalny zasięg. Trzydziestego pierwszego grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego roku japoński minister spraw zagranicznych, Matsuoka Yosuke, powiedział

grupie przemysłowców żydowskich: „Odpowiadam za sojusz z Hitlerem, ale nie obiecałem wprowadzać w Japonii polityki antyżydowskiej. Takie stanowisko zajął cały rząd japoński, będę mówił o tym otwarcie i głośno całemu światu”. - Stary mędrzec patrzył na mnie przez chwilę, jakby oceniając efekt ostatniego zdania, po czym mówił dalej: - Pierwsi Żydzi pojawili się w Japonii w tysiąc osiemset pięćdziesiątym roku, w przeddzień rewolucji Meiji\*. Nie było ich wielu, przybyli z Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i Europy Środkowej. Osiedlili się w Jokohamie i Nagasaki. Po pierwszej wojnie światowej w Japonii mieszkały tysiące Żydów, przede wszystkim w Kobe. Żydzi są szczęśliwi w tym kraju, *Ary san*. Mimo iż nie jest ich zbyt wielu. Obecny cesarz japoński, który nie rozmawia z żadnym z ambasadorów, przyjmuje ambasadora izraelskiego i zawsze powtarza, że nigdy nie zapomnimy tego, co zrobił dla nas Jacob Shiff.

- Kim jest Jacob Shiff?

Mistrz Fujima znów zmrużył oczy, jakby przywołując odległe wspomnienie, po czym rzekł:

- Działo się to w tysiąc dziewięćsetnym roku podczas wojny rosyjsko-japońskiej. Cesarz wysłał do Londynu swego przedstawiciela, Yakahashiego, który miał wystarać się o pożyczkę na dalsze finansowanie wojny, w której Japończycy wtedy przegrywali. Bankierzy londyńscy odmówili, byli bowiem pewni, że Japończycy już się nie podniosą. Yakahashi poznał przypadkiem Jacoba Shiffa, finansistę z Banking Firm w Nowym Jorku. Shiff, który słyszał o pogromach w Rosji, zgodził się dać połowę tego, o co prosiła Japonia, co było kolosalną sumą. Ale bankierzy londyńscy odmówili uzupełnienia pozostałej kwoty. Wówczas Jacob Shiff pożyczył Japonii całą sumę - sto czterdzieści milionów dolarów. Powiedział Yakahashiemu, że daje te pieniądze, ponieważ jest Żydem i że chce w ten sposób walczyć z pogromami w Rosji. W taki oto sposób Japończycy wygrali tę wojnę. Po kilku latach Shiff został zaproszony do pałacu cesarskiego. Nigdy wcześniej nie przyjęto tam człowieka niebędącego szlachcicem. Cesarz kazał też przygotować dla niego koszerne jedzenie. „Nigdy nie zapomnimy tego, co pan dla nas zrobił - powiedział cesarz. - Może kiedyś i my będziemy mogli wam pomóc”.

- Nie słyszałem o tej historii i o łączących nas związkach.

- Tak to jest, *Ary san*! Obok wielu szintoistycznych i buddyjskich sanktuariów oraz

---

\* Rewolucja Meiji - przełomowy okres w dziejach Japonii (1868-1912) zamykający okres feudalizmu i rozpoczynający nowożytny dzieje kraju; dokonana się w tym czasie wielka rewolucja obyczajowa i europeizacja połączona z rozkwitem ekonomicznym; m.in. obalono szogunat, uchwalono konstytucję, otwarto pierwszy w dziejach Japonii parlament.

świętyń mamy także budowle ku czci Żydów. Gdy w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku wybuchła rewolucja bolszewicka, Żydzi z Jokohamy i Kobe pomogli tysiącom uciekinierów z Rosji. Ponadto, jak już wspominałem, Japonia była tym krajem, który w czasie Shoah przyjął najwięcej Żydów. Udało im się uciec dzięki pomocy konsula Holandii w Kownie oraz Chiune Sugihary, japońskiego przedstawiciela na Litwie. Sugihara zlekceważył instrukcje swego rządu, wydając Żydom japońskie wize. Uratował w ten sposób życie dziesięciu tysiącom ludzi. Z tego powodu stracił posadę. Tłumacząc swój heroiczny akt, zacytował samurajską maksymę z *Kodeksu Bushido*: „Nawet myśliwy nie ma prawa zabijać ptaka, który uciekł ze swego gniazda”.

- Tak, słyszałem o nim. Sugihara jest jedynym Japończykiem, który ma swoje drzewko w Ogrodzie Sprawiedliwych w Instytucie Yad Vashem.

- W tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku - ciągnął Fujima - dzięki wysiłkom japońskiego konsula generalnego w Kownie uratowało się kilkuset mężczyzn z jesziwy Mir, wielu innych Żydów uciekło z Europy. Jesziwa Mir była jedyną żydowską szkołą, która ocalała z Shoah. Jej członkowie, przy poparciu rządu japońskiego, otworzyli w pobliżu Kobe Bejt ha-midrasz - dom nauki. Przez osiem miesięcy żyli spokojnie w Japonii. Mimo usilnych nalegań ze strony Niemców Japończycy nie ogłosili antyżydowskich ustaw, nie zlikwidowali też dzielnicy żydowskiej w Szanghaju, a liczba jej mieszkańców w czasie wojny powiększyła się o tych, którzy uciekli przed nazizmem.

- Czy mnich Nakagashi należał do waszej gminy?

Mistrz nachylił się do mnie i nie odpowiadając na moje pytanie, powiedział:

- Bardzo przejęliśmy się jego tragiczną śmiercią.

- Zdaje pan sobie sprawę, że przyjechałem z Izraela, żeby rozwiązać zagadkę jego śmierci, która, jak mi się wydaje, ma jakiś związek z mężczyzną znalezionym w lodach.

- Oczywiście - odrzekł Fujima, po czym rozejrzał się i dodał: - Teraz odmówimy modlitwę o przyjście Mesjasza.

Wstał i w sali zapanowała cisza. Fujima zaczął śpiewać, a po chwili dołączył do niego chór licznych głosów.

Śpiew przybierał na sile. Była to smutna melodia, skarga bez słów, podobna do tych, jakie śpiewałem, kiedy byłem chasydem, podobna do pieśni chasydów z dzielnicy Mea Shearim w Jerozolimie.

- Wygląda pan na zasmuconego - szepnął mistrz Fujima.

To prawda, nie było mi wcale wesoło, bo zniknęła moja ukochana i bardzo pragnąłem ją odnaleźć. Wspominałem czas, kiedy wyśpiewywałem mój smutek z kolegami z jesziwy,

prowadziłem długie dyskusje z moim przyjacielem ze studiów, synem rabiego, Yehudą, którego już od dawna nie widziałem i pewnie nigdy nie zobaczę. Pomyślałem o tym, że spędziliśmy razem całe godziny, komentując wersety Talmudu. Wówczas wierzyłem w studia, wierzyłem w przyjaźń. Ale jak utrzymać przyjaźń, jeśli się zmieniamy i sami siebie nie rozpoznajemy? A wobec tego jak ma nas poznawać przyjaciel i nadal kochać? Jakie ma znaczenie przyjaźń, jeśli nawet miłość jest niepewna i zmienna? Czym są przyjaciele, jeśli nie towarzyszą nam w naszym życiu? I co warta jest miłość, jeśli znika zaraz po tym, jak się pojawiła?

W tym momencie zatęskniłem za Yehudą, w którym zawsze znajdowałem oparcie, za jego zmyślnością, dzięki której wychodziliśmy z trudnych sytuacji, tyle tylko, iż były to trudności o charakterze intelektualnym. Teraz zaś wiodłem życie smutne i niepewne, z dala od mojego przyjaciela, daleko od ukochanej, oddzielony miastami, krajami, kontynentami, i miałem rozdarte serce, bo nie byłem już chasydem, nie byłem esseńczykiem, nie miałem już swej dawnej tradycji.

- Jakiś czas temu - powiedziałem - byłem chasydem. Przypomniałem sobie o tym, słuchając waszego śpiewu.

- Pragniemy, aby przebywający tutaj Żydzi jeszcze głębiej poczuli, że są Żydami.

- Pan pomaga mi być lepszym Żydem.

Na te słowa oczy mistrza Fujimy wypełniły się łzami.

- Dziękuję panu - rzekł, ściskając moje ręce. - Dziękuję. Nawet nie wie pan, ile to dla mnie znaczy.

Nie zdając sobie z tego sprawy, też zacząłem śpiewać, najpierw cicho, potem coraz głośniej, aż dałem się ponieść pieśni, śpiewało moje serce i moja dusza pogrążone w rozpacz. Byłem smutny i nieszczęśliwy jak chasyd, który o poranku gra na saksofonie nad brzegiem Jeziora Tyberiadzkiego, albo na szczycie góry, albo na wzgórzach Galilei, albo na krętej górskiej drodze, którą wędrowali imigranci z dalekiej Hiszpanii i Portugalii. Czułem się tak smutny jak chasyd w wielkim czarnym kapeluszu, jak modlący się w setkach synagog, oczekujący na mesjańskie czasy, smutny jak Luria, lew z Safedu, który doszedł do wniosku, że na początku stworzenia wąż był niezbędny dla porządku świata, byłem smutny jak Adam, że zostałem stworzony w niedoskonałym świecie.

Skąd się brała ta niejasna głucha nostalgia, jeśli nie z głębi mego serca? Dlaczego wspomnienia zawiodły mnie tak daleko? Dlaczego znalazłem się w głębokim, ponurym morzu, z wiszącym nad nim wąskim sierpem księżycy? Co to były za ciemności i jaka to była



tajemnica? Dlaczego nie byłem już chasydem?

Nagle przemknęło mi przez głowę ulotne wspomnienie, niejasny obraz kobiety, która mignęła mi na korytarzu w domu gejsz. Zagłębiłem się w pamięć, skoncentrowałem z całych sił i znowu ujrzałem ją, jak się oddala.

Kobieta, którą zobaczyłem za drzwiami, nie była snem. I choć wolałbym jej tam nie spotkać, wiedziałem teraz, że to Jane.

Przyjąłem zaproszenie mistrza Fujimy, żeby spędzić noc w Bejt Szalom. Zaprowadził mnie do małego pokoiku z tatami na podłodze, z pomarańczowobeżowymi żaluzjami, co przypominało mi dom gejsz.

Zdawałem sobie sprawę, że korzystam z rzadkiego luksusu, ponieważ hotele w Japonii są bardzo drogie, a tradycyjne pensjonaty dysponują tylko skromnym salonikiem i dwoma przylegającymi doń pokoikami.

Mój pokoik znajdował się na dolnej kondygnacji, nad którą górowała solidna drewniana konstrukcja. Parkiet był zupełnie nowy. Lampa z abażurem z ryżowego papieru dawała ciepłe, stonowane światło.

- Kołdra, *futon*, jest schowana w tej ściennej szafie z zasuwanyimi drzwiami - powiedział mistrz Fujima. - Na noc wyciąga się ją stamtąd, kładzie na podłodze i na niej śpi. Proszę się czuć jak u siebie w domu, Ary *san* - dodał, kłaniając się. - Może pan tu zostać tak długo, jak tylko pan zechce. Taka jest nasza zasada - udostępniamy pokoje wszystkim Żydom, którzy przybywają do Kioto.

- Dziękuję. Jest pan niezwykle uprzejmy.

- Ależ skąd, to normalne.

Wychodząc, zawahał się na moment, po czym zawrócił, wyjął z kieszeni woreczek z czerwonego jedwabiu i z wielką ostrożnością wydobyl z niego mały błyszczący kamień, który położył na mojej dłoni.

- Co to takiego?

- Nie wiem. Miał to zawieszzone na szyi człowiek znaleziony w lodach.

Spoglądałem na spoczywający na mojej dłoni kamień, połyskujący tysiącem ogni.

- Czy to nie jest diament?! - wykrztusiłem.

- Z całą pewnością, Ary *san* - mruknął mistrz Fujima. - To jest diament.

W nocy obudziłem się zlany potem, zagubiony, chciałem stąd uciec, wrócić do esseńczyków, żeby wypełnić misję, którą mnie obarczyli zgodnie z tym, co napisano w

księgach: jestem Ary, lew. Jednak teraz wszystko wydawało mi się takie niejasne, pogmatwane. Co Jane robiła w domu gejsz? Jakiego rodzaju sprawę prowadzę, że w miarę postępów staje się coraz bardziej niezrozumiała?

Wyjąłem telefon i wystukałem numer Shimona.

- Czy Jane wiedziała, czym miałem się tu zająć? - zapytałem go.

Po drugiej stronie panowała cisza. Słyszałem skrzyp wykałaczkii.

- Nie - odpowiedział wreszcie.

- W takim razie skąd...

- Wpadłeś na jej ślad?

- Wydaje mi się, że tak.

- Całe szczęście - odrzekł z westchnieniem ulgi. - Byłem tego pewny. Gdzie ona jest?

- Domagam się wyjaśnień.

- Zgoda. To bardzo proste: wysłałem cię do Japonii na prośbę CIA.

- W jakim celu?

- CIA uważa, że Jane grozi niebezpieczeństwo. Nie mają z nią żadnego kontaktu.

Dlatego poprosili mnie, bym wysłał mojego najlepszego agenta, który na miejscu postara się ją odnaleźć. Oczywiście od razu pomyślałem o tobie, Ary.

- A czy nie powinienes był mi o tym powiedzieć?

- Nie chciałem cię przestraszyć, żebyś nie wyobrażał sobie najgorszego. Potrzebny mi jesteś w pełni twoich sił. A teraz powiedz mi, gdzie ją widziałeś.

Samotnie, w środku nocy, udałem się do dzielnicy Gion. Było bardzo późno, latarnie rzucały rozproszone, mgliste światło. Dokoła panowała cisza, pustka, trotuary były ledwo widoczne w mroku. Po ulicach przechadzali się nieliczni przechodnie, grupki mężczyzn chwiejnie wychodziły z małych, jeszcze oświetlonych domków.

Wszedłem do przedsiionka domu gejsz. Nikogo w nim nie było. Pociągnąłem za sznurek małego dzwoneczka wiszącego przy wejściu. Po chwili pojawiła się stara kobieta, którą pewnie obudziłem. Jej skośne oczy patrzyły na mnie pytająco. Powiedziałem, że chciałybym zobaczyć się z gejszą Jane Rogers.

Kobieta kiwnęła głową i podała mi katalog.

Przejrzałem go nerwowo, ale nie znalazłem zdjęcia Jane ani żadnej wzmianki o niej.

- Zależy mi na gejszy z Zachodu.

- Ta gejsza jest bardzo droga - zaznaczyła kobieta.

Dałem do zrozumienia, że jestem gotów zapłacić. Mimo powagi sytuacji, nie mogłem

powstrzymać się od uśmiechu na myśl, jaką minę zrobi Shimon, gdy mu przedstawię bynajmniej niemałe rachunki za dwukrotny pobyt w domu gejsz.

Zaprowadziła mnie do niewielkiego pokoiku, do którego, zgodnie z rytuałem, przyniesiono mi herbatę i jedzenie. Nie przyszła jednak żadna gejsza. Znałem już jednak ich zwyczaje i wiedziałem, że muszę tu zostać na dwie noce. Czy wytrzymam tak długo, kiedy moje serce płonie z niecierpliwości, lęku i pragnienia, by ujrzeć Jane?

Zrobiło się późno. Zmęczony zasnąłem. Z głębokiego snu wyrwał mnie cichy szmer.

Czy to sen, czy jawa? Czy naprawdę widziałem jej ciemne oczy, śliczne ręce, szczerzy, życzliwy uśmiech, a może pochylał się nade mną anioł stróż i ogrzewał mnie słodkim ciepłem słońca?

A jednocześnie to nie była ona. Miała na twarzy białą maskę, przywodzącą na myśl bladość upiora. Oczy podkreślone były na czerwono i różowo, policzki uwydatniały się na jej twarzy nienaturalną krągłością, usta pomalowano bardzo błyszczącą szkarłatną szminką, jasne włosy miała upięte w kok z dwiema szpilkami, ciało okrywało od stóp do głowy czerwone kimono z długimi rękawami, przewiązane w talii czarnym jedwabnym pasem.

- Jane...

- Ciii - szepnęła, kładąc mi palec na ustach. - Nie hałasuj.

- Co się dzieje?

Przede mną była Jane, ubrana, przygotowana jak gejsza. Jane realna i zarazem nierealna, bliska i daleka, taka, jaką zawsze znałem, i zupełnie obca. Spontanicznie objąłem ją tak, jak w noc przed dniem, kiedy mnie opuściła. Całowałem jej czoło, policzki, wargi, szyję. Porwany miłością, rozpalony pragnieniem trawiącym mnie od wewnątrz, odkąd wyjechała, przytulałem ją, jej serce do mojego serca, jej szczupłe, kruche, a jednocześnie silne ciało do mojego.

Pieściłem ją z twarzą przy jej twarzy jak wtedy, kiedy ode mnie odeszła. Odnajdywałem ją taką, jaka była, w wieczności wypełnionej miłością, w niezmiernym pragnieniu jej posiadania. Była przy mnie, a ja obejmowałem ją mocno, żeby już mi się nie wymknęła, nigdy więcej nie oddalała ode mnie, żebym nigdy więcej nie czuł się tak, jakby zabrano mi część mnie samego. Mówiłem do niej w myślach: „Moje serce przepelnione jest miłością do ciebie, cierpię, kiedy nie ma cię przy mnie... „.

- Co ty tu robisz? - zapytała cicho.

- A ty?

- Ten dom - szepnęła mi na ucho - należy do sekty.

- Do sekty?

- Mów ciszej! Niewykluczone, że jesteśmy śledzeni.

- O jaką sektę chodzi?

- To tajna, bardzo potężna sekta. Jej członkowie nie ujawniają się, ale mają ogromne wpływy. Są wśród nich ludzie polityki, szefowie państw, wysocy urzędnicy.

Moją duszę przepełniało szczęście, że znowu ją widzę, a jednocześnie nie mogłem uwolnić się od złych myśli. Byłem zawieszony między rozkoszą i bólem, radością i smutkiem, ulgą i strachem, miłością i nienawiścią, pożądaniem i lękiem. Próbowałem jakoś nad tym zapanować, ale mi się to nie udawało.

Jane podeszła do drzwi, uchyliła je i nie zauważywszy nikogo, wróciła do mnie.

- Posłuchaj mnie, Ary, bardzo uważnie, bo potrzebuję twojej pomocy.

- W czym?

- Śledzę pewnego człowieka. - Wzięła do ręki szklaneczkę z sake i wypła jednym haustem, jakby dla dodania sobie odwagi. Zaintrygowało mnie to, ponieważ nigdy nie widziałem Jane pijącej, a już na pewno nie w taki sposób. - To człowiek przegrany, a zarazem bardzo ambitny. W każdym razie na pewno bardzo niebezpieczny. Słuchasz mnie? Nie mamy dużo czasu...

- Słucham.

- Nazywa się Ono Kashiguri. Jest przywódcą sekty o nazwie Ono.

- Jane - przerwałem jej - jak mam cię słuchać? Jestem taki szczęśliwy, że znowu cię widzę. Przyjechałem za tobą aż tutaj. Tak bardzo chciałem cię zobaczyć!

- Wiem, Ary, wiem. Nie mogłam ci nic powiedzieć. Nie wolno mi utrzymywać kontaktów ze światem zewnętrznym. To bardzo niebezpieczne. Cały czas podsłuchują, co mówię, podglądają, co robię. Udało mi się dostać do tego domu, ale nie mogę stąd wyjść, bo byłabym śledzona. Oni wszędzie mają swoje macki, rozumiesz? I dlatego wysłuchaj mnie uważnie i przekaz wszystkie moje informacje Shimonowi.

- Dobrze. Ale kiedy znowu się spotkamy?

- Kiedy dam ci znać, ale więcej tu nie przychodź. Nie mogą cię tu zobaczyć. W żadnym wypadku. Naraziłbyś siebie i mnie na śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Wygląda na to, że to oni przeszukali twój pokój.

- Możliwe. Teraz wiem, że byłam śledzona.

- Mów, słucham cię.

- Oto informacje, jakie udało mi się zdobyć. Ono Kashiguri pochodzi z ubogiej rodziny. Ponieważ nie udało mu się dostać na studia, pojechał do Tokio jako specjalista od akupunktury. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku, w wieku dwudziestu lat,

ożenił się ze studentką, z którą ma pięcioro dzieci. Otworzył sklep z tradycyjnymi chińskimi lekami. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim został aresztowany za sprzedaż fałszywych leków. Zbankrutował. W dziewięćdziesiątym siódmym oficjalnie założył swoją sektę. Jednocześnie utworzył partię, był jej przywódcą, ale nie został wybrany do parlamentu. Przed kilkoma miesiącami nadał sobie tytuły „Chrystus dnia dzisiejszego” i „Zbawiciel wieku”. Obecnie sekta ma zwolenników w całym kraju, a także w Stanach Zjednoczonych, Niemczech i Rosji.

- Jakie są ich idee?

- Proste i zarazem skomplikowane. Doktryna ta, z nazwy buddyjska, jest mieszaniną różnorodnych elementów: kultu Sziwy, hinduskiego boga zniszczenia, New Age, okultyzmu. Jednym z jej bohaterów jest Hitler - „mistrz wiedzy tajemnej”. Obsesją Ono Kashiguriego są spiski przeciwko Japonii. Główny wróg, Stany Zjednoczone i ich zachodni sojusznicy, to jego zdaniem masoni i Żydzi, których ulubionym narzędziem zniewalania ludzi są fast foody. Jakiś miesiąc temu sekta ogłosiła koniec świata. Od tego momentu Kashiguri zmusza swoich uczniów do oddawania mu czci poprzez pokłony i całowanie jego stóp. Niektórzy z nich płacą bardzo drogo za mieszankę jego wydzielin fizjologicznych, którą potem wypijają.

- Na ile ocenia się liczbę jego uczniów?

- Trzydzieści tysięcy w Japonii i na całym świecie. Większość z nich to ludzie starsi, bogaci, którzy zniknęli po przekazaniu swoich majątków na rzecz sekty. Zostali dokądś porwani, nie wiadomo, co się z nimi dzieje. Ale są między nimi wybitni uczeni, adwokaci, funkcjonariusze policji oraz, jak już ci mówiłam, politycy.

- Jesteś tego pewna?

- Tak, sekta ma w japońskiej policji swoich informatorów. Uczniowie, otumanieni, oczarowani przez guru, porzucają rodziny, rodziców, współmałżonków, oddają mu całe swoje mienie i resztę życia poświęcają pracy dla niego. Dzieci wychowywane w sekcie są izolowane od świata zewnętrznego.

- Czym ich tak zniewala?

- Tym, co mówi. Wśród jego zwolenników są naukowcy, lekarze i chemicy, którzy biorą udział w produkcji LSD i innych substancji halucynogennych. Mają one zostać użyte, podobnie jak gazy trujące, do wywołania chaosu najpierw w największych miastach Japonii, a potem na całym świecie.

- Mają na to środki?

- Majątek sekty szacuje się na trzysta milionów do miliarda dolarów w nieruchomościach, sklepikach informatycznych, wydawnictwach, biurach podróży,

popularnych restauracjach, a nawet agencjach towarzyskich, nie mówiąc już o kontaktach bankowych.

- Dlaczego rząd nie zakazał tej sekcje działalności?

- To nie takie proste. Projekt ustawy przedstawiony przez rząd japoński przewiduje, że organizacje religijne, działające w więcej niż jednej prefekturze, będą musiały rejestrować się w Ministerstwie Edukacji. Będą zobowiązane przedstawić listy członków i przywódców, co umożliwi kontrolę nad nimi i ich dochodami. Nie są to przepisy uciążliwe dla zwykłych organizacji religijnych. Japończycy w większości nie sprzeciwiają się temu. Jednak główna partia opozycyjna, Shin Shinto, utworzona przez sektę Soka Gakkai, wyraża zdecydowaną dezaprobatę, tak samo metropolita Tokio, kardynał Shiranayagi, który dopatruje się w tym ograniczenia wolności religijnej.

- Czy ta sekta dąży do przejścia władzy? Destabilizacji rządu?

- Nie tylko. Myślę, że chcą obalić cesarza.

- Z jakiego powodu?

- Nie wiem. Ale liczę na to, że już wkrótce otrzymam informacje na ten temat.

- A ty, Jane, ile jeszcze czasu zamierzasz tu zostać? Sądziś się, że zostawię cię z tymi ludźmi?

- Ary, ja mam zadanie do wykonania. Ten dom należy do sekty. Odwiedzają go jej wpływowi członkowie. Chcą się tu odprężyć, odpocząć. Dowiedziałam się, że sekta otworzyła szkołę. Oficjalnie jest to szkoła mnichów buddyjskich, ale w rzeczywistości... Wiem, że Ono spędził wiele miesięcy w klasztorze w Himalajach i że wrócił stamtąd, osiągnąwszy *satori*, czyli oświecenie. Odkryłam także, że mnich Nakagashi i jego kochanka, gejsza Yoko Shi Gyua, byli członkami tej sekty.

- A to ciekawe... Mnich Nakagashi należał do gminy Bejt Szalom w Kioto, zrzeszającej ludzi z Izraela.

- Możliwe, że sekta chciała mieć stamtąd informacje.

- Czy sądzisz, że Nakagashi i Yoko Shi Guya zostali zamordowani przez ludzi Ono?

- A może na zlecenie wspólnoty Bejt Szalom?

- Czy ma to jakiś związek z człowiekiem z lodów?

- Tego jeszcze nie wiem, ale niewykluczone. Ono po powrocie z Tybetu ogłosił, że jest nowym Chrystusem. Twierdzi, że odkrył prawdziwy sens Ewangelii. Jego zdaniem między buddyzmem i chrześcijaństwem nie ma żadnej różnicy. Głosi, że Jezus Chrystus został ukrzyżowany, ale on, nowy Chrystus, nie zginie w trakcie pełnienia swej misji, osiągnie więcej i rozgłosi prawdę na całym świecie. Jezus przybył, żeby prowadzić dusze do

nieba, Ono zaprowadzi je dalej, do nirwany - świata całkowicie wolnego od ziemskich żądz. Mimo iż twierdzi, że nie zostanie ukrzyżowany, każe się przedstawiać jak Jezus, w koronie cierniowej na głowie, nagi, tylko z kawałkiem materiału na biodrach. Taki wizerunek z pewnością przemawia do wyobraźni wiernych z Rosji, dając im do zrozumienia, że chodzi tu o coś związanego z chrześcijaństwem. Z jakiegoś powodu Ono szczególnie uparcie opowiada o zbrodniczych spiskach masonów i Żydów. Mimo wielu sygnałów jego protektorzy nie chcą o niczym wiedzieć. Tymczasem sojusz Ono z rosyjskimi wojskowymi służbami bezpieczeństwa może być naprawdę groźny. Jest to doskonałe źródło zaopatrzenia we wszelkiego rodzaju chemiczne produkty toksyczne, a nawet otwiera dostęp do broni nuklearnej. Wiem już, że sekta przeprowadzała doświadczenia z gazem w Tybecie i w Indiach.

- Co zamierzasz dalej robić, Jane? Czy nie wiesz już wystarczająco dużo? Może powinnaś stąd wyjechać?

Jane znowu napiła się sake. Zapaliła papierosa. Przez chwilę patrzyła na mnie uważnie. Widziałem, że się boi, choć bardzo stara się tego nie okazywać.

- Przypuszczam, że tutaj nic już nie zdziałamy - powiedziała. - Sekta ma zbyt duże wpływy wśród ludzi wysoko postawionych. Korzystają z Internetu i wideokonferencji do przekazywania rozkazów, a nawet do urabiania swoich członków. Czytałam w Internecie tekst mówiący o tym, że sekta zwerbowała ludzi, którzy otworzą strony w językach japońskim, angielskim i rosyjskim. Gdyby zbadać to dokładnie, okazałoby się, że znajduje się tam baza zaszyfrowanych danych, zawierająca nazwiska i adresy ponad pięćdziesięciu tysięcy studentów, których dałoby się zwerbować lub kontrolować. Dziś jednak najbardziej pilna jest sprawa broni masowego rażenia dla terrorystów oraz terroryzmu nuklearnego. I dlatego muszę zdobyć więcej informacji o produktach, które nadają się najlepiej do ich celów. W jaki sposób terroryści mogliby się w nie zaopatrzyć i jaką drogą mogliby je przekazać konkretnej grupie? Czy zastosowali już gdzieś tę broń, czy tylko chcą nią grozić? Do czego się przygotowują? Do czego dążą? Jeśli oceniać to według tego, co dzieje się aktualnie na świecie, po aktach terrorystycznych, które miały niedawno miejsce, nie można wykluczyć, że zechcą użyć broni chemicznej i biologicznej. Z pewnością byliby zdolni uciec się do takich metod.

- Mówiłaś, że Ono został buddystą. Przecież buddyzm głosi współczucie, jest przeciwny wszelkiej przemocy, nie wymaga też od swoich wyznawców takiego oddania jak chrześcijaństwo.

- Według Ono sama idea buddyzmu jest bliska postawie plemion myśliwskich,

żyjących z polowania na zwierzynę, gdy tymczasem medytujący, oddani tylko praktyce, pozostają bierni.

- Uważasz, że Ono chce posłużyć się buddyzmem, żeby otworzyć szkoły i wychować zwolenników, którzy będą szerzyli jego idee?

- Właśnie.

- Nie możesz zostać tu sama, Jane. Nie pozwolę na to. Przyjechałem do Japonii, żeby zabrać cię ze sobą, żebyśmy byli razem. Chcę cię wywieźć daleko stąd, powinniśmy wyjechać natychmiast, póki jeszcze jest czas.

- To niemożliwe, Ary. Muszę wykonać zadanie.

- Dlaczego w Jerozolimie nie powiedziałaś mi, że wyjeżdżasz? Dlaczego nie przekazałaś mi żadnych informacji? Dlaczego zostawiłaś mnie bez słowa? Czy pomyślałaś o tym, jak musiałem się czuć?

- Nie wolno mi było o tym z tobą rozmawiać. To wyjątkowo trudne zadanie. Nie sądziłam, że tu przyjedziesz.

- Nic więcej się dla ciebie nie liczy? A ja? Czy w ogóle o mnie pamiętasz?

- Oczywiście, Ary. Ale jest także...

- Co takiego?

- Świat wokół nas, w którym dzieje się tyle zła. Wszędzie czyhają zagrożenia. Przecież to ty mówiłeś mi o naszej odpowiedzialności w obliczu zła, zapomniałeś?

- Przysłał mnie tu Shimon.

- Wiem. Zresztą nie pozwoliłbyś mi jechać, prawda?

- Jak mógłbym na to pozwolić? Kocham cię. Chcę, żebyś wróciła ze mną. Nie chcę zajmować się tą sprawą. Chcę żyć z tobą.

- Na razie jest to niemożliwe.

- Nie mogę zostawić cię w tym domu gejsz, samą, narażoną na niebezpieczeństwo - upierałem się, nie słuchając jej argumentów.

- To moja praca.

- Twoja praca? A jaka jest ta twoja praca?

- Ary - szepnęła Jane - mów ciszej.

Zobaczyłem drobne kropelki potu na jej skroniach. Jej ręce lekko drżały, podobnie jak powieki.

- Jane, czy naprawdę wszystko w porządku? - zapytałem, ściskając jej wilgotne dłonie.

- Tak, tak, nie martw się o mnie. Żle teraz sypiam. Jestem trochę zmęczona i dlatego nie czuję się najlepiej.



Spojrzałem na nią przerażony.

- Zmęczona? Czym?

Nagle jej wzrok stwardniał.

- Posłuchaj, Ary, nie powiedziałam ci wszystkiego. Ja...

Przeszył mnie dreszcz.

- Jesteś prostytutką! Jane...

Patrzyłem na nią, nie chcąc rozumieć jej słów, ale z moich ust wymknęły się słowa świadczące o tym, że pojąłem wszystko doskonale.

Blady jak płótno wyszedłem na korytarz, chociaż Jane próbowała mnie zatrzymać. Znowu zobaczyłem jednookiego utykającego mężczyznę, na widok którego Jane przestraszona wróciła do pokoju.

Opuściłem uspiony dom gejsz, pobiegłem w ciemności uliczkami oświetlonymi słabym blaskiem świtu. Biegłem bezmyślnie ulicami Kioto, byle dalej od dzielnicy Gion, od tego złowrogiego domu, od tej kobiety, biegłem, dopóki nogi nie odmówiły mi posłuszeństwa.

Byłem załamany tym straszliwym odkryciem, jakiego dokonałem, ogromem świata ciemności, w którym Jane dobrowolnie się pogрузzyła i który wciągał ją bezpowrotnie w swe głębie. Biegłem, oddalałem się od niej. Tak bardzo chciałem ją kochać, a teraz stało się to niemożliwe. Porzuciłem dla niej wszystko, nawet mojego Boga, wszystko złożyłem na ołtarzu miłości, a ona okazała się zdrajczynią, kobietą z imperium zła, oblubienicą cieni.

Jane! Teraz pojąłem wszystko, wiedziałem, dlaczego wyjechała bez słowa. Bo jak mówić o czymś takim? Wiedziałem, dlaczego odeszła bez żadnego gestu czy znaku. Zdawała sobie sprawę, że czeka ją hańba.

Ogarnęła mnie bezgraniczna rozpacz, bezbrzeżne zwątpienie. Jak miałem teraz żyć? Przed spełnieniem miłości pytałem ją, czy mnie kocha, wyznałem, że i ja ją kocham.

Teraz nic już nie miało znaczenia, chciałem być sam, wyjechać, pamiętać tylko o tych chwilach, kiedy kochałem ją tak bardzo, że mógłbym dla niej umrzeć.

Teraz nie istniało już nic, nic nie było ważne. Już się nie podniosę, bo to koniec miłości. Koniec wszystkiego. Powinienem zniknąć.

Wspominałem tamtą noc, a potem rano, kiedy moje oczy spoglądały na nią radośnie, trochę zdziwione, że widzą ją przebudzoną, szczęśliwą, zakochaną. Śmiała się do nas miłość - szczęśliwa, dumna, spokojna. Uśmiechaliśmy się do siebie, a był to uśmiech szczęścia, radości z życia. Śmiały się nasze oczy, tuliliśmy się do siebie uniesieni radosną miłością.

Wszystko to pamiętam i będę pamiętał.

Przyszedłem do niej i powiedziałem, że na świecie nie ma dla mnie nikogo i niczego oprócz niej, że cała reszta to tylko ból, pustka, trwonienie czasu. Że jest jedynym obiektem moich myśli, że tylko o nią dbam i jej pragnę, o nią się niepokoję, w niej pokładam nadzieję, że w całym skomplikowanym życiu liczy się tylko ona.

A teraz została mi jedynie noc, ciemna, przepastna, przerażająca. Moje zdradzone serce przeżywało na nowo przeszłość, pogrążało się w smutku.

Wczoraj miałem nadzieję, że znowu się spotkamy i już nigdy nie rozstaniemy, a teraz czuję się jak człowiek obcy, nikomu niepotrzebny, stojący twarzą w twarz z nieznanym.

Moja miłość została odrzucona, a może była tylko przedmiotem żartu?

Pozostałem sam w otchłani nocy.

Biegłem, uciekając od Jane, córki szatana, prostytutki, oddającej swoje ciało na usługi CIA. Uciekałem od Jane, którą kochałem zawsze i ponad wszystko, którą kochałem teraz bardziej niż kiedykolwiek i nienawidziłem jak nikogo przedtem.

Rankiem wciąż jeszcze chodziłem jak błędny, nieprzytomny, po zamglonym Kioto. Nie uświadamiając sobie tego, skierowałem kroki do świątyni mistrza. Wszedłem do sanktuarium, nie bardzo wiedząc, po co, nie myśląc o tym, że szukam tu azylu. W dużym ciemnym pokoju, oświetlonym tylko światłem kilku świec, panowała cisza, unosił się zapach kadzidła. Spokojna atmosfera tego miejsca przyniosła mi ukojenie.

Mistrz był sam, medytował. Dopiero po dłuższej chwili podniósł na mnie wzrok.

- Jesteś jak narowisty koń, Ary Cohenie. Zarówno w dzień, jak i w nocy zapominasz o panowaniu nad sobą. Z tego powodu odesłałem cię poprzednim razem i kazałem ci czekać na kolejne spotkanie. Aż się uspokoisz, zapanujesz nad umysłem. A ty nadal zachowujesz się w ten sam sposób.

- Niestety - przyznałem. - Co mam teraz robić?

- Czy nie mówiłem, że powinieneś stosować sztukę walki?

- Nie, nie chcę walczyć, raczej wrócę do siebie i zostawię to wszystko.

- Do siebie? A czy ty w ogóle wiesz, gdzie jest twoje miejsce?

Uśmiechnąłem się, bo tak naprawdę gdzie jest moje miejsce? Nie mam swojego miejsca, nie mam nikogo.

- Powinieneś zebrać siły, by zapanować nad sobą. Wydaje ci się, że jesteś u kresu sił, Ary Cohenie, ale wcale tak nie jest. Prawdziwy cel, który powinieneś mieć na uwadze, to twoje serce.

- Moje serce jest dziś obolałe, rozdarte.
- Czy pragniesz je uleczyć?
- To chyba nie jest możliwe.
- Mówisz tak, bo nie znasz naszej drogi do sukcesu. To droga serca.
- Nie wiedziałem, o jaką walkę chodzi.
- Najtrudniejsza jest walka przeciw sobie samemu.

Mistrz podszedł do mnie, popatrzył na mnie uważnie czarnymi oczami. Jego białe kimono wydawało się niemal przezroczyste. Położył rękę na moim ramieniu i wtedy poczułem się tak, jakby przeszył mnie prąd.

- Trzeba nauczyć się poznawać samego siebie. W tym celu musisz panować nad swoim ciałem. Jeśli powstanie harmonia między tobą i mikrokosmosem, jakim jest twoje ciało, to i ono będzie w harmonii z wszechświatem. Ten stan osiąga się poprzez koncentrację. Rzecz polega na tym, aby uczynić serce wszechświata swoim własnym sercem, a to oznacza zjednoczenie z centrum wszechświata.

- Jeśli poznam swoje ciało, poznam siebie?

- Znowu myślisz tylko o sobie. W ten sposób nie odnajdziesz siebie. Nie pokonasz wroga. Kiedy przestajemy tak myśleć, wróg nie jest już straszny.

- Jak można zrezygnować z ego?

- Ego? A cóż to takiego jest? Nos, serce, uszy, mózg? Nie można zatrzymać serca, nie możemy zatrzymać myśli, bo one i tak się pojawiają. Żyjemy w takiej współzależności. Gdy jest się przywiązany do własnej osoby, nie można być szczęśliwym.

Wziął mnie za ramię i podprowadził do lustra wiszącego nad tatami, blisko wyjścia. Ujrzałem w nim odbicie swoje i jego. Był opanowany, rysy jego twarzy nie zdradzały niczego poza łagodną dobrocią, podczas gdy moje odzwierciedlały udręczoną, cierpiącą duszę.

- W lustrze pojawia się odbicie twej twarzy. Możesz w nim zobaczyć siebie, zrozumieć swój umysł, poznać twoje prawdziwe ego.

Uśmiechnąłem się, słysząc te rady, tak proste z pozoru, a tak trudne do zastosowania.

- Czy jest ktoś na tym świecie, kto poznał swój umysł?

- Ten, kto osiąga stan oderwania, pozbywa się wszystkich zmartwień, które pochodzą tylko z umysłu.

- Bardzo chciałbym dojść do takiego stanu. Niestety, to niemożliwe. Nie czuję się do tego zdolny.

- Sama chęć z pewnością nie wystarczy. Najpierw należy poznać siebie, nauczyć się siebie odkrywać. Choćby nie wiem jak wielka była twoja wiedza, jeśli nie znasz siebie, nie

będziesz wiedział nic o świecie ani o innych ludziach, i będziesz tylko tracił czas.

- Wydawało mi się, że znam siebie. Sądziłem, że jestem żołnierzem, a byłem mnichem, sądziłem, że jestem mnichem, a byłem Mesjaszem. Wierzyłem, że jestem Mesjaszem, a byłem człowiekiem. Wierzyłem, że kocham kobietę, a teraz nią gardzę!

- Ci, którzy nie poznali siebie dogłębnie, krytykują innych z punktu widzenia własnego niedoskonałego ego. Zachwycają się tymi, którzy im schlebiają, a gardzą tymi, którzy podają w wątpliwość ich działanie. Przez swoje uprzedzenia stają się popędliwi jak ty, łatwo wpadają w gniew, stają się też więźniami konfliktów, które sami wzniesają. Jeśli ktoś wydaje ci się zły, to dlaczego wymagasz od niego, aby był miły? Tylko ci, którym udało się zapanować nad uprzedzeniami, nie odrzucają innych ludzi, wtedy tamci także mogą ich zaakceptować.

- Tak więc poznawać waszą naukę to poznawać siebie samego?

- A poznawać siebie samego to zapomnieć o swoim ja. Gdy zapomnimy o swoim ja, otwieramy się na inne sprawy.

- Mistrzu, proszę mi powiedzieć, jak można poznać siebie?

Spojrzał mi głęboko w oczy i rzekł cicho:

- Nasze idee i nasze zachcianki są podobne do rozbójników. Opanowały nas, są wytworami naszych własnych myśli. Przestań zachowywać się jak przeciętny człowiek. Przestań brać iluzje za rzeczywistość, przestań polegać na pozorach, z których rodzi się gniew, brak wyrozumiałości, chorobliwe pomysły. Za bardzo jesteś zajęty komplikowaniem sobie życia, straciłeś pierwotną czystość umysłu. Dlatego nie jesteś zdolny do koncentracji, jesteś igraszką własnych myśli. Pozbawiony wsparcia psychologicznego, stajesz się ponury i melancholijny, zniewolony pozorami, błądasz się po świecie bez celu, niczego nie pojmując.

- Mistrzu - powiedziałem, zaskoczony tym, że zwracam się do niego tak, jak zwracałem się do mojego rabina w czasach, gdy byłem chasydem - co powinienem zrobić?

- Niepotrzebne ci są ani wiedza, ani talent, bo wszystko, co wiesz, będzie ci przeszkadzać.

- Czy mam zostać żołnierzem?

- Tak, ale takim żołnierzem, który pokona samą śmierć. Wtedy poznasz, czym jest doskonałość. Zakończysz cierpienia innych ludzi, wykonasz swoje zadanie i wreszcie odnajdziesz spokój.

- Mistrzu, już się opanowałem, zacznij lekcję ze mną, a ja cię wysłucham.

Popatrzył na mnie, jakby oceniając, czy rzeczywiście jestem gotowy przyjąć jego nauki. A ja wpatrywałem się w niego, próbując podchwycić jego spojrzenie i starając się nie

opuścić oczu pod jego przeszywającym, twardym, przenikliwym wzrokiem.

Wtedy zobaczyłem.

Był ubrany w białą lnianą szatę. Na niej szal z frędzlami, które miały osiem nici z czterema węzłami. Na głowie miał małe czarne pudełko. Obok niego leżał zwierzęcy róg.

- Mistrzu, jaki rytuał masz zamiar odprawić? Czy robisz to dla mnie?

- To są nasze rytuały.

- Jak to? A filakterie, frędzle, szofar? Ten szal modlitewny i ta biała szata, jaką noszą nasi arcykapłani?

- To są nasze rytuały, Ary Cohenie.

- Wasze?

Patrzyłem na niego zbity z tropu, zastanawiając się, czy ze mnie nie żartuje. Ale nie, sprawiał wrażenie poważnego, zasadniczego.

- Co to znaczy? Jaka jest wasza doktryna, rytuały?

- Nie mamy ich wiele. W buddyzmie i chrześcijaństwie są one imponujące, podobnie jak architektura. My, szintości, niczego takiego nie mamy. Nasze domy modlitwy są bardzo skromne w porównaniu z bazyliką w Rzymie lub katedrami. U nas rolę poświęconego wina pełni sake. W naszym rytuale konieczne jest jedzenie i napoje oraz muzyka i taniec, za pośrednictwem których głosimy radość życia. I to wszystko.

- Czy macie coś takiego jak Tora? Jakiś święty tekst, księgę?

- Nie.

- Muzułmanie mają Koran, buddyści mają sutry, chrześcijanie Biblię, my nasze święte księgi. A wy?

- W szintoizmie niczego takiego nie ma. Wszystkie nasze pisma uległy zniszczeniu. W ósmym wieku doszło do wojny między nami i buddystami, którzy spalili nasz księgozbiór, nasze święte pisma. Wszystko poszło z dymem. Pozostały jedynie rytuały, świątynie i my sami, potomkowie szintoistów. W dzień nowego roku ponad osiemdziesiąt milionów Japończyków odwiedza sanktuaria w Ise, Izumo Taisha, Meiji Jingu, Inari, Hachiman, Kami... Idą także w góry do miejscowości Kukai lub Nichiren. Bo to wszystko, co nam zostało.

- Nie macie żadnych pisanych tekstów? Żadnego pergaminu, żadnego manuskryptu?

- Jest trochę fragmentów o starożytnej mitologii. Pozostały nam nasze bóstwa - *kami*.

- Jesteście więc politeistami?

- Wierzmy, że jest tylko jeden *kami*, który podzielony na wiele części, może występować w różnych miejscach - w *Takaamahara* - kosmosie, w *Takamanohara* -

systemie” słonecznym, w *Onokoro-jima* - na ziemi. Każda część ma swoją funkcję i działa jak ludzkie ciało, w jedność organicznej. Jedność jest wielością, wielość jest jednością. Szintoizm jest prosty. Naszym ulubionym przedmiotem jest *may gohei* - kawałek poświęconego papieru, który świadczy o prostocie tej religii.

- A kto jest założycielem waszej religii?

- Nie mamy takiego. A może raczej nic o nim nie wiemy.

- Przecież każda religia ma swojego założyciela - buddyzm, islam, judaizm, chrześcijaństwo... A wy?

- Nie znamy go. Zgubiliśmy jego ślad. Czy wiesz, Ary Cohenie, co to znaczy, zgubić ślad? Nie mieć na czym się oprzeć? Stracić wszystkie teksty, całą pamięć, nie wiedzieć, skąd się pochodzi?

- Teraz już chyba wiem.

- Usiądź - powiedział mistrz. - Pokażę ci.

Zrobiłem, co kazał.

- Dobrze siedzisz?

- Nie wiem. Czy jest dobry sposób siedzenia?

Mistrz wskazał ręką na siebie - wyprostowane plecy, głowa w przedłużeniu kręgosłupa.

- Jak masz walczyć, skoro nie pamiętasz o zachowaniu równowagi?

Pchnął mnie lekko, a ja upadłem do tyłu.

- Teraz ty pchnij mnie.

Chociaż pchałem go ze wszystkich sił, ani drgnął.

Wróciłem do Bejt Szalom.

Udałem się do głównego pokoju, gdzie zastałem mistrza Fujimę czytającego książkę. Podniósł na mnie wzrok.

- Ary *san*, czekałem na pana.

- Mistrzu Fujimo, ja także chciałem się z panem spotkać. Muszę zadać panu kilka pytań.

- Słucham.

- Czy mnich Nakagashi należał do waszego zgromadzenia?

- Tak, spotykaliśmy się z nim, przychodził do nas, był przyjacielem mojej córki Isate.

- Co się stało z Nakagashim?

- Chciał przystąpić do naszej grupy. Wydawał się zagubiony. Pomogliśmy mu. Poznał

naszą tajemnicę.

- Jaką tajemnicę?

- Powiedzieliśmy mu o człowieku z lodowca.

- Czy to pan go znalazł? Kiedy i gdzie? Czy manuskrypt był wtedy przy nim?

- Zadaje pan za dużo pytań, Ary Cohenie. Nie mogę odpowiedzieć na wszystkie. Tego człowieka znaleźli w śniegu mieszkańcy wioski w Tybecie. Niedaleko granicy chińskiej, w górach, stoi buddyjski klasztor. Mają tam wstęp tylko nieliczni wtajemniczeni, którzy znają lamę. Ten lama odwiedził mnie kiedyś w Tokio i prosił, bym sporządził kopie jego rękopisów. Dlatego polecił przynieść tego człowieka, którego nazywamy „człowiekiem z lodów”. Uważał, że nie był on buddystą, lecz szintoistą, i że powinniśmy go zobaczyć.

Zastanawiałem się, czy to możliwe, że mistrz Fujima mówi o klasztorze, w którym przebywał Ono Kashiguri i gdzie doznał *satori*.

- Tak - powiedział mistrz Fujima, jakby odgadując moje myśli. - To tam znaleziony został człowiek z lodowca. Obawiam się, że pojawił się teraz, żeby nas nawiedzać jak *tengu*.

Zdałem Shimonowi relację z tego, czego się ostatnio dowiedziałem. Potem oznajmiłem mu, że chcę wrócić do Izraela.

- Czy sądzisz, że mistrz Fujima ma coś wspólnego z zabójstwem Nakagashiego?

- Nie wiem. To całkiem możliwe. Poza wszystkim musiał czuć niechęć do Nakagashiego z tego powodu, że był on przyjacielem jego córki. Z drugiej strony nie wydaje mi się, żeby mistrz Fujima uprawiał sztukę walki, jest na to za stary. W każdym razie nie ma mowy, żebym jechał do Tybetu. Chcę wracać, jutro kupuję bilet do Izraela.

Milczeliśmy przez chwilę.

- A co z Jane? Dzięki twoim informacjom wiemy, że przywódca sekty, Ono Kashiguri, wyjechał do Tybetu, do klasztoru przy granicy z Chinami.

- Czy ona z nim jest?

- Chyba tak.

- Trzeba jak najprędzej przerwać to śledztwo. To błąd. Jane wiedziała, co robi, gdy zerwała kontakt. To może być dla niej bardzo niebezpieczne. Ale ja nie mam już ochoty jej szukać.

- Właśnie tam musisz się udać, jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś więcej o człowieku z lodowca - powiedział Shimon, nie zwracając uwagi na moje słowa. - Ale uważaj, bo w Tybecie, w Xinjiang, rządzą twardą ręką Chińczycy. Pod karą więzienia tubylcy nie mogą kontaktować się z cudzoziemcami. Szczególnie surowo są przez Chińczyków traktowani

mnisi tybetańscy, uważani za separatystów. Najczęściej skazywani są na reedukację przez pracę w ponurych obozach.

- Nie, nie pojedę tam - odrzekłem, myśląc, że nawet nie umiałbym wskazać tego kraju na mapie. - Po co miałbym tam jechać? Nie wiem nic o Tybecie ani o jego konflikcie z Chinami. Ta sprawa mnie nie interesuje.

- No tak - westchnął Shimon. - Więc wszystko ci wyjaśnię. Kraj ten w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku został zajęty przez wojska chińskie. W pięćdziesiątym dziewiątym roku w stolicy Tybetu Lhasie wybuchło powstanie. Uważając, że zagrożone jest życie dalajlamy, Tybetańczycy zgromadzili się licznie wokół jego pałacu. Dalajlama, pragnąc zapobiec przelewowi krwi, postanowił udać się na wygnanie do Indii, a razem z nim wyruszyły setki tysięcy uchodźców. W marcu tamtego roku żołnierze chińscy zamordowali osiemdziesiąt siedem tysięcy mieszkańców Lhasy. Zastosowali wszelkie środki, żeby zdusić w zarodku opór narodu tybetańskiego. Podobno co dziesiąty Tybetańczyk spędził dziesięć lat w więzieniu lub w obozie pracy. W czasie chińskiej okupacji zginęło przynajmniej milion dwieście tysięcy Tybetańczyków. Tak więc, Ary, musisz być ostrożny...

Spojrzałem na kamień, który dał mi Fujima. Leżał na nocnym stoliku, na woreczku, w którym był przechowywany. Kiedy tak mu się przyglądałem, niespodzianie przyszła mi do głowy pewna myśl.

- ...bo jeśli trafisz do chińskiego więzienia, nikt cię z niego nie wyciągnie - mówił Shimon. - Słyszysz mnie, Ary? - spytał zaniepokojony.

Otworzyłem torbę podróżną, z której wyjąłem ostrożnie owinięty w bieliznę plastron, część stroju kapłana. Na plastronie znajdowało się jedenaście kamieni jedenastu pokoleń. Włożyłem diament w puste miejsce pokolenia Zabulona.

Pasował doskonale.

- Ary?

- O mój Boże...

- Co się dzieje, Ary?

- Ten kamień - powiedziałem, drżąc - to brakujący w plastronie kamień. Mój Boże...

Ten człowiek...

- Jaki człowiek?

- Człowiek z lodowca! To Cohen!

- Jak to? - wykrzykiwał Shimon. - Co ty mówisz? Ary, jesteś pewien, że z tobą wszystko w porządku?



Patrzyłem na diament - nie ulegało wątpliwości, że pasuje idealnie, co do milimetra. Tu nie mogło być mowy o zbiegu okoliczności. Zresztą tylko arcykapłani mogli posiadać takie kamienie. Ale co się działo z tym diamentem? Dlaczego wyjęto go z plastronu? Wyglądało na to, że skoro człowiek z lodów wziął ten diament, to musiał pochodzić z plemienia Zabulona. Może wziął go, bo chciał to udowodnić...

- Podobno w Japonii zdarza się, że ludzie wariują - powiedział Shimon. - Bywają wypadki, że...

- To musiał być arcykapłan! Możliwe, że ten człowiek jest moim przodkiem.

## V

### *Zwój góry*

*Spocznie on na łożu smutku i pozostanie w miejscu westchnień. Będzie żył samotnie z dala od wszelkich niebezpieczeństw. Będą do niego przemawiać z odległości dwunastu łokci, będzie żył z dala od czystości na północny zachód od ziem zamieszkanymi.*

Zwoje z Qumran

*Zwój czystości rytualnej*

Poleciałem samolotem do Katmandu. Tam wsiadłem w autobus jadący autostradą Syczuan-Tybet do Bayi, skąd pojechałem innym autobusem do klasztoru, który był celem mojej podróży. Wąska droga wiodła brązowożółtymi pagórkami. Przejechaliśmy pierwszy łańcuch gór pokrytych bujnym kwieciem i różnorodną roślinnością, zostawiliśmy za sobą wąwóz, aż wreszcie znaleźliśmy się na ogromnym płaskowyżu, który wyłonił się nagle z chmur.

Droga zaczęła piąć się pod górę. Trochę się przestraszyłem, gdy autobus wjechał rozpędzony na zielono-żółty most zawieszony nad rzeką. Za ostrym zakrętem pojawiła się pierwsza stupa w kształcie odwróconego dzwonu. Byliśmy w Krainie Śniegów.

Droga biegła zboczem góry. Dachy i maszty z wiszącymi na nich flagami były zapowiedzią wioski tybetańskich. Ścieżkami szły jaki, w dolinach pasły się barany. Jechaliśmy coraz wyżej, a okolica stawała się coraz bardziej wyludniona, coraz piękniejsza, pełna spokoju. Potem autobus znalazł się w kamienistym wąwozie, a na koniec otworzyła się przed nami szara, sucha równina.

Nagle drogę zagrodziły nam dwie wojskowe ciężarówki. Zatrzymaliśmy się przy posterunku kontrolnym. Do autobusu wszedł chiński policjant i zaczął sprawdzać paszporty. Wśród pasażerów, głównie Tybetańczyków, wyczuwało się napięcie. Po kontroli trwającej dobre pół godziny policjant opuścił pojazd, taksując jeszcze wszystkich ostatnim spojrzeniem.

Dojechaliśmy do wioski, minęliśmy dzielnicę chińską, w której chłopcy mieszkali w glinianych domach z drzwiami udekorowanymi kolorowymi kamieniami. Kobiety nosiły stroje z grubej satyny w kolorze ciemnozielonym lub czarnym, twarze miały osłonięte chustami. Mężczyźni nosili na głowach białe czapki, starcy zaś mieli długie białe brody. Zobaczyłem parę starszych ludzi. Kobieta była bardzo chuda, z zapadniętymi oczami w twarzy pomarszczonej jak pergamin.

Na skraju drogi siedzieli młynarze z wielkimi workami mąki. Widziałem także mężczyzn jadących na osłach objuczonych różnymi przedmiotami i jedzeniem. Wszyscy oni robili wrażenie ponadczasowych, jakby wyłonili się nagle z przeszłości, z bardzo odległych, niemal mitycznych czasów.

W końcu, po przejechaniu przez most, ujrzałem wysoko na górze klasztor. Prowadziła do niego stroma droga. Na dnie doliny otoczonej ośnieżonymi górami płynęła rzeka. W zboczach widać było naturalne grotty. Znajdowaliśmy się na wysokości ponad trzech tysięcy metrów.

Wokół widać było doliny i rozległe pastwiska, gdzie pasły się owce strzeżone przez pasterzy.

Wjechaliśmy w obręb czerwonych murów otaczających klasztor. Na dziedzińcu przechadzali się mnisi z ogolonymi głowami, wszyscy jednakowo ubrani w jaskrawopomarańczowe szaty.

Wszedłem do olbrzymiej budowli z czerwonego drewna i w holu podałem swoje nazwisko. Siedzieli tam dwaj mnisi, których zadaniem było przyjmowanie nowo przybyłych. Jeden z nich przedstawił się jako mistrz śpiewu w klasztorze. Potem dowiedziałem się, że ma za sobą ponad piętnaście lat ciężkich robót i że dopiero od kilku lat może nosić mnisie szaty.

Toshio, jak zawsze skrupulatny, przygotował wszystko na moje przybycie. Oficjalnie przyjechałem z rekomendacji mistrza Fujimy po to, żeby odpocząć przez kilka dni. Przydzielono mi wołokową jurkę, umocowaną na zewnątrz palikami. W suficie pośrodku był otwór, przez który wydobywał się dym palącego się dzień i noc *kiziaku* - wysuszonego nawozu jaków.

Moja jurta stała na placu naprzeciwko głównego budynku, pośród wielu innych do niej podobnych. Wokół nich wybudowano małe domki z drewna i ziemi, w których również mieszkali mnisi. Centralne miejsce zajmował klasztor i wielka sala, w której się modlono.

Zostawiłem rzeczy w jurcie i skierowałem się do klasztoru. Po obu stronach drogi pasły się konie mnichów, najwyraźniej stanowiące tu jedyny środek lokomocji. Przed wejściem stali młodzi Tybetańczycy, opatuleni w baranie skóry.

Wewnątrz głównego budynku unosił się dym pachnący jałowcem. Zobaczyłem mnichów uderzających rytmicznie w skórzane bębny. Oni także ubrani byli w baranie skóry. Pokrótkie objaśniono mi, że odbywają się właśnie uroczystości dla uczczenia wielkiego mistrza Padmasambawy, który w VIII wieku umocnił buddyzm w Tybecie.

Młody mnich, ubrany w pomarańczową szatę, tańczył wokół niskiego murku z płaskich kamieni z umocowanymi na nich chorągiewkami. Przyglądałem mu się przez

dłuższą chwilę, nie mogąc oderwać od niego oczu.

Nagle zrobiło się jakieś zamieszanie, po czym dano znak, aby wszyscy przeszli do wielkiej sali, gdzie zaraz pokaże się lama.

W sali z arkadami i kolumnami zgromadzili się wszyscy mnisi. Cztery ściany pokryte były freskami ilustrującymi historię buddyzmu w Tybecie. Oglądając je, dowiedziałem się, że Tybetańczycy wywodzą się z plemienia Siang Siung, pasterskiego ludu koczowniczego żyjącego na stepach północno-zachodnich Chin. Dopiero w połowie VI wieku naszej ery Sontsen Gambo, syn Namriego, został pierwszym królem Tybetu, jednocześnie wprowadzając buddyzm. Był znany jako „wódz stu tysięcy wojowników”. Po nim rządili kolejno liczni królowie, którzy albo przyczyniali się do rozprzestrzenienia się buddyzmu w Tybecie poprzez teksty i nauki mędrców, albo przeciwnie - walczyli z nim, stosując krwawe represje. Jeden z nich, Langdaram, zaciekły wróg buddyzmu, zlikwidował całkowicie religijne ośrodki założone przez jego poprzedników. Jednak trzej mnisi, którzy zdołali uciec, przenieśli najważniejsze teksty buddyjskie do rejonów zachodnich i północnych. Udało im się przeciągnąć na swoją stronę Gongpo Rabsala, słynnego mnicha, który w X wieku wraz z Atiśą przyczynił się do powrotu buddyzmu do Tybetu.

W 978 roku grupa dziesięciu mnichów, uczniów buddyjskich mistrzów, wróciła do Lhasy. Ich przywódca odbudował w rejonie miasta klasztor, wśród nich najświetniejszą świątynię tybetańską, Dżo-k'ang. Od tego momentu buddyzm przeżywał w Tybecie tak ogromny rozkwit, że Mongołowie uznali go i ustanawiali lamów wicekrólami. Taka sytuacja trwała do chwili pojawienia się mongolskiego wodza Guszri-chana. Gdy umarł w 1655 roku, dalajlamowie stali się w Tybecie faktycznymi przywódcami politycznymi, nie tylko duchowymi. Fresk zamykający ekspozycję przedstawiał ostatniego dalajlamę, uciekającego ze swojej siedziby w Lhasie.

Lama rozgościł się w sali obok, gdzie przyjmował tych, którzy zebrali się pod drzwiami. Udzielał im rad, duchowych wskazówek, nauk i błogosławieństwa. Przybywali do niego najróżniejsi ludzie: chłopci, pielgrzymi tybetańscy i cudzoziemcy, oraz tacy, którzy przynosili mu wieści od innych lamów.

Od stojącego obok mnie mnicha dowiedziałem się, że lama cieszy się w całym kraju ogromnym szacunkiem. Nawet po całym dniu zajęć przyjmuje ludzi do późna w nocy. Podczas krótkiej przerwy w południe je posiłek, a każdą wolną chwilę wykorzystuje na medytację.

Podszedłem do wejścia. Nie dostrzegłem lamy, ponieważ stała przede mną grupa ludzi, ale go usłyszałem. Mówił spokojnie, bez emfazy, nie robiąc przerw, bez wahania, jakby czytał niewidzialną książkę otwartą w jego pamięci.

Wróciłem do sali, gdzie mnisi czekali na przybycie swojego mistrza. Siedzieli w milczeniu, ze skrzyżowanymi nogami. Ciszy nie przerywał żaden szmer, żaden oddech, choć w oświetlonej świecami sali było ponad sto osób. Wchodzący natychmiast siadali na ziemi. Reszta wydawała się pogrążona w głębokiej medytacji.

Lama pojawił się po upływie godziny. Był niewysoki, krępy, wywierał jednak ogromne wrażenie, spotęgowane dodatkowo jego głosem, który budził lęk i szacunek. Trzymał głowę w taki sposób, iż wydawał się bardzo duży, a nieruchoma miła twarz przywodziła na myśl kamienne posągi Buddy. Za to jego bystre spojrzenie było głębokie niczym otchłań. Nosił, podobnie jak inni mnisi, długą pomarańczową szatę i wysoką żółtą czapkę na długich prostych włosach. Wyczuwało się w nim wewnętrzną siłę, dzięki której pociągał za sobą zwolenników i uczniów.

Usiadł w milczeniu. Mnisi natychmiast zakrzętnęli się koło niego, przynosząc mu czarkę gorącej herbaty i miseczkę tsampy\*. Każdy z obecnych także otrzymał porcję tsampy i wymieszawszy ją z gorącą herbatą, zjadał, oblizując palce.

Niedaleko lamy jakiś mnich tworzył obraz z piasku w różnych kolorach. Kiedy skończył, pokazał go wszystkim, a gdy już go obejrzeli, bez wahania zniszczył swe piękne dzieło. Piasek wsypano do urny i uroczyście wyniesiono z sali. Sąsiad, którego zapytałem o znaczenie tego rytuału, wyjaśnił mi, że jest to mandala - geometryczny diagram symbolizujący kosmos. Ta mandala - zrobiona z piasku, a zaraz potem zniszczona - miała ukazywać nietrwałość rzeczy.

Następnie mnisi uformowali koło i zaczęli tańczyć z nieprawdopodobną zręcznością, aby okazać swą radość z obecności lamy. Taniec, któremu towarzyszyły mocne uderzenia w gong, trwał dość długo. Przypominało to żywy, kolorowy, wesoły obraz. Niektórzy z mnichów założyli maski zwierząt, inni mieli twarze niczym niezakryte, a wszystkich taniec pochłaniał bez reszty. Od czasu do czasu któryś z mnichów coś improwizował, wywołując gromki śmiech obecnych.

A kiedy wreszcie zapadła cisza, lama przemówił głosem miłym i łagodnym. Chociaż nic nie rozumiałem, odczuwałem taki sam szacunek jak jego uczniowie.

---

\* Tsampa - gruboziarnista mąka z prażonego jęczmienia będąca podstawowym pożywieniem Tybetańczyków.

Słuchałem muzyki jego głosu, spokojnego, głębokiego, wolnego od trudów tego życia, od niekończących się cierpień błędnego koła ludzkiej egzystencji. W jego głosie pobrzmiwał jakby ton smutku i rozczarowania, a jednocześnie wielkiej szczerości. W jego wzroku można było znaleźć współczucie, zrozumienie, zatroskanie, jakich nie spotkałem wcześniej u nikogo.

Obejmował spojrzeniem wszystkich wpatrzonych w niego mnichów, jakby zwracał się do każdego z osobna. Sprawiał także wrażenie, jakby zauważał każdy ich gest, każdą minę, i nie żałował czasu, by im odpowiedzieć, jakby znajdował się w każdym z nich, dostrzegał ich doskonałość i pierwotną czystość. A w każdej zwróconej ku niemu skupionej twarzy dostrzegał pragnienie, aby z wypowiedzianych przez niego słów wyłowić dla siebie choć troszkę jego mądrości, jakby każdy chciał zapłacić własną pustką niewiedzy, ignorancji. Przywodzili na myśl żebraków, którym rozdawano tysiące złotych i srebrnych monet, tak nimi olśnionych, że nie wierzyli własnym oczom. Przywodzili na myśl ślepców, którzy nagle ujrzeli słońce, świecące przecież cały czas, ale nie dla nich. Byli jak przychodzące na świat dzieci.

Po przemówieniu lamy mnisi złożyli ofiary. Zapadł zmrok. Każdy z obecnych trzymał zapaloną lampę, a wszyscy połączeni ze sobą białymi szalami tworzyli całość, która miała być ziemskim symbolem duchowego związku. Potem mnisi zaczęli śpiewać pieśń na jednym tonie, powolną, melodyjną, która sprowadziła na mnie słodki sen.

Następnego dnia poprosiłem o spotkanie z lamą i bez trudu uzyskałem na nie zgodę. Udałem się do pomieszczenia obok głównej sali klasztoru, gdzie znajdowało się już kilkanaście osób - mężczyzn i kobiet. Usiadłem obok, czekając na swoją kolej.

Po chwili mnich dał mi znak, że mogę wejść. Lama znów wywarł na mnie wielkie wrażenie, podobnie jak stało się to poprzedniego dnia, gdy słuchałem jego głosu.

- Witaj, Ary Cohenie - odezwał się po angielsku. - Mistrz Fujima uprzedził mnie o twoim przybyciu. Wiem, że nie przyjechałeś tu, by odpoczywać.

- To prawda, szukam człowieka, który był tutaj mnichem i który niedawno przyjechał znowu, żeby się z mistrzem zobaczyć.

- Jak się nazywa?

- Ono Kashiguri.

- Tak, był tutaj zaledwie kilka dni temu.

- A gdzie jest teraz?

- Tego nie mogę powiedzieć. Nie zadajemy nikomu żadnych pytań. Ludzie przybywają i odchodzą, a my nie wiemy, skąd przyszli i dokąd się udają.

- Naszym zdaniem to zły człowiek. Musimy go odnaleźć.

- Zły? Dlaczego tak uważacie? Czy nie wiesz, że świat ma naturę Buddy, nawet jeśli zmieniają go złe uczynki? Ten człowiek tu medytował i osiągnął oświecenie. Pokonał swoją karmę.

- Nie rozumiem.

- Jeśli naprawdę pragniesz to zrozumieć, musisz zrozumieć, czym jest ego. Zmienia się ono z każdą chwilą. Jest jednością z kosmosem. Jest nie tylko ciałem, duszą, ale jest także Bogiem, Buddą, siłą kosmiczną. Gdy człowiek medytuje, pozbywa się „małego” ja, staje się Buddą.

- Czy mistrz sądzi, że Ono Kashiguri stał się Buddą?

- Wiem, że tu był, wierzę, że wszystko porzucił, uwolnił się od swego „ja”.

- Po powrocie do siebie ogłosił, że jest Bogiem.

- To, że ktoś głosi, iż jest Bogiem, nie oznacza, że nim jest.

- Co mistrz rozumie przez określenie: „pokonał swoją karmę”?

- Karma oznacza działanie, istnieje karma mowy, ciała i umysłu. Jeśli zabijesz człowieka, to gdybyś nawet uniknął sądu, czyn ten z pewnością któregoś dnia będzie miał wpływ na twoje życie i twoich potomków. Tak działa prawo przyczyny i skutku.

- I dlatego musimy go odnaleźć.

Lama patrzył na mnie przez moment smutnym wzrokiem, jakby szukał właściwego słowa. Bo on i ja nie mówiliśmy tym samym językiem. Mną nadal powodowała pragmatyczna chęć zdobycia informacji, po które tu przyjechałem, a on przebywał w zupełnie innym świecie, który zresztą wcale nie był mi obcy.

- Spójrz - powiedział, kładąc lewą dłoń na prawej - to najlepsza pozycja, żeby się skoncentrować i zapobiec rozproszaniu energii. Podczas drzemki kciuki opadają, a kiedy jest się zdenerwowanym, kciuki podnoszą się do góry. W ten sposób można się kontrolować i panować nad sobą. Obserwując twoje palce, mogę określić, w jakim stanie ducha jesteś. Patrząc na twoje palce, poznałem twoją karmę, twoje przeznaczenie.

- I co mistrz takiego zobaczył?

- Zabiłeś człowieka.

- To prawda - przyznałem ze zdumieniem, bo przecież nikt tu o tym nie wiedział.

- Popatrz - mówił dalej lama, jednocześnie bardzo uważnie mi się przyglądając. - Kontrolując swoje ręce, sposób, w jaki łączysz kciuki, uda ci się zwolnić napięcie ramion i je opuścić. Z tego powodu jogini medytują z palcami ułożonymi w kształt koła. Patrz uważnie: kciuki muszą stykać się ze sobą. Ale nie należy za mocno naciskać. Ręce powinny być



prostopadle do centrum, wtedy odzwierciedlają stan świadomości.

- To trudne - zauważyłem, starając się śledzić jego słowa.

- Bardzo ważny jest również wzrok. Należy skierować oczy metr przed sobą i nimi nie poruszać. Niektórzy zamykają oczy i zasypiają. Odetchnij.

Wzięłem głęboki wdech, a potem długo wypuszczałem powietrze, jakby wychodziło z brzucha.

- Właśnie tak, trzeba starannie wydychać powietrze. Dopiero potem można znowu trochę go nabrać. Teraz oprzyj się o podłogę dużym palcem u nogi, kciuk trzymając w lewej dłoni. Czy czujesz energię w całym ciele?

Zamknąłem oczy i zmusiłem się do tego, żeby o niczym nie myśleć. Staralem się zapomnieć o wszystkim: o jedzeniu, wilgoci, klimacie, gorącu, ranku, południu i wieczorze, o wszystkim, co mogło wywierać na mnie jakiś wpływ. Siedziałem nieruchomo jak posąg Buddy.

- A teraz - rzekł lama - pomyśl o wszystkim, co posiadasz, o wszystkich przedmiotach, których używasz, nawet o własnym ciele, i spróbuj wyobrazić sobie, że zamierzasz to wszystko oddać.

- Nie mam nic, co by należało do mnie. Moje rzeczy, płaszcz, książki, łóżko już nie są moje. Wszystko oddałem i jestem teraz sam.

- Widzę u ciebie jeszcze jedną rzecz.

- Co takiego? - zapytałem zaniepokojony.

Lama przechylił lekko głowę i z drwiącym uśmiechem odpowiedział:

- Widzę, że za moment zadasz mi kolejne pytanie.

- Chciałbym się dowiedzieć, kto odnalazł zamarzniętego człowieka.

- Na to pytanie mogę udzielić odpowiedzi, Ary Cohenie. Znaleźli go wieśniacy, którzy mieszkają w pobliżu klasztoru. Nazywają się Siang Min.

- Czy to ci sami Siangowie, którzy żyli w Tybecie już dwieście lat przed naszą erą?

- Tak, ci sami. Zawsze żyli w górach, z dala od innych ludzi. Znaleźli tego zamarzniętego człowieka w wiecznych śniegach.

Gdy wyszedłem od lamy, przedstawiono mi mojego nauczyciela, który czekał na mnie w sali nauki. Był to mężczyzna w średnim wieku, wysoki, dość tęgi, o pasującym do niego imieniu Yukio. W przeciwieństwie do innych mnichów z ogolonymi głowami miał długie włosy. Oznajmił, że będzie uczył mnie sztuki walki, która polega na obalaniu fałszywych pojęć, odróżnianiu prawdy od fałszu, na rozpraszaniu niejasności na temat znaczenia

przedstawianego problemu.

Pouczył mnie, jakie są główne kolory: czerwień ognia, żółć ziemi, zieleń wody, błękit nieba, biel metalu. Poznałem tajemnice mandali. A więc koło to symbol nieba i czasu. Kwadrat - symbol ziemi - uosabia stabilność. Trójkąt symbolizuje harmonię, a gwiazda jest światłem, które od zawsze prowadzi człowieka. Czerwień to radość, zdrowie; kolor pomarańczowy pobudza zmysły, wywołuje dobre samopoczucie i radość, zdrowie i dobry nastrój. Żółty symbolizuje światło, zielony - spełnienie i odnowę duszy; błękit - wycisza, jak wiecznie płynąca woda. Czerń to symbol urodzaju. Dowiedziałem się, że centrum ziemi poprzedza wszystko, co istnieje, że biel to jedność i czystość.

Przyglądałem się uczniom rysującym mandale o wielu detalach. Przystępując do medytacji, najpierw identyfikowali się z tymi rysunkami, po czym je ścierali.

Jeden z nich narysował mandalę, która przedstawiała pałac z czterema filarami ozdobionymi płatkami lotosu, skierowanymi do środka. W centrum na kwiecie lotosu siedziało główne bóstwo, a wokół niego znajdowały się jego emanacje, które określa się mianem „otoczenie”. W korytarzach i na pałacowych podwórcach umieszczone były wszelkiego rodzaju bóstwa drugorzędne, tworzące jego świtę. Przed bramami pałacu stali strażnicy strzegący go od zła. Każda z części pałacu była w innym kolorze, który odpowiadał jednemu elementowi i jego symbolicznemu przeznaczeniu. Środkowa część była biała jak przestrzeń - metal; kierunek południowy wyznaczał kolor żółty niczym ziemia, na zachodzie światło było czerwone jak ogień, kierunek północny symbolizujący powietrze - zielony. Wschodni kierunek miał kolor niebieski jak woda. Pałac był chroniony podwójnie: przez święty niezniszczalny mur oraz krąg płomieni w barwach pięciu mądrości.

Było to coś absolutnie niezwykłego, jedno z najpiękniejszych dzieł, jakie widziałem w życiu, cudowne, emanujące spokojem i zarazem taką siłą, że powinno przetrwać wieczność. Mandala ta wzbudziła we mnie pragnienie jej posiadania, przedziwne uczucie, że należy do mnie, bo tylko ja umiem na nią patrzeć. Zastanawiałem się w duchu, czy nie jest to obraz idealnej Świątyni.

Jednak mnich zniszczył swoje dzieło, gdy tylko je ukończył. Wstrząsnął mną dreszcz, gdyż pojąłem sens pustki i nietrwałości rzeczy. Pomyślałem, że wszystko ulega zmianie, zepsuciu, że ciało znika, że ten klasztor za jakieś dziesięć tysięcy lat przestanie istnieć, a wraz z nim okoliczne wioski.

Wpatrzony w płomienie długo o tym wszystkim rozmyślałem. Było to trudne doświadczenie, widziałem tyle rzeczy. I było jeszcze tyle innych, które już dla mnie nie istniały.

Nazajutrz rano udałem się do wioski w pobliżu klasztoru, gdzie mieszkali Siang Mingowie. Na uliczkach zobaczyłem młodych ludzi, z którymi próbowałem rozmawiać, ale wyglądało na to, że mnie nie rozumieją. Zaprowadzili mnie do człowieka, który mówił po angielsku. On także był młody, miał ciemną skórę, ale jego oczy nie były tak skośne jak u Japończyków i Chińczyków. Zapytałem, czy wie, kto znalazł tego zamrożonego człowieka, gdzie to dokładnie było i kto go przeniósł do klasztoru.

- Znaleźliśmy go w górach - odrzekł. - Do klasztoru zabrał go mnich Nakagashi, który wtedy studiował w klasztorze. Uznał, że to dla niego ważna sprawa. Jednak dla nas, ponieważ nie wiemy, kim jest ten człowiek, nie ma to znaczenia.

- Jesteście buddystami?

- Nie, my wierzymy w jednego boga, który nazywa się Abachi, co znaczy ojciec Niebios, albo Mabichu - duch niebios, albo Tian - niebo. Ten wszechpotężny bóg panuje nad całym światem, jest dobrotliwym sędzią, który daje uczciwym według ich zasług, a biednym sprawiedliwie wymierza kary.

Zauważyłem, że w pasie przewiązany jest sznurem, a w lewym ręku trzyma kij w kształcie węża.

- Jakie jest pochodzenie tego kija? - zapytałem, gdyż przypominał mi laskę Mojżesza.

- To rytualna laska. Otrzymałem ją od mego ojca, a on dostał ją od swojego.

- Ilu ludzi liczy wasze plemię?

- Około dwustu pięćdziesięciu tysięcy kobiet i mężczyzn.

- Pochodzicie z Chin?

- Według tradycji pochodzimy od odległego przodka, który miał dwunastu synów.

- Czy macie jakieś księgi, pisma mówiące o waszej wierze?

- W przeszłości mieliśmy księgi i pergaminy, ale wszystko przepadło dawno temu podczas wojen z buddystami. Pozostał nam tylko przekaz ustny.

Gdy wychodziłem z jego domku, na płótnie zasłaniającym wejście dostrzegłem czerwoną plamę.

- Plamimy te płótna krwią zwierząt dla ochrony domu przed nieszczęściem - wyjaśnił młody Siang Min.

- Składacie ofiary ze zwierząt?

- Dlaczego o to pytasz? - Na twarzy młodzieńca malowała się nieufność.

- Chciałbym dowiedzieć się o was więcej, bo mój lud składał ofiary ze zwierząt.

Pomyślałem, że zapewne boi się, że jestem buddystą i potępiam takie praktyki.

- Tak, robimy tak od niepamiętnych czasów. Nie spożywamy nieczystego pokarmu.

Gromadzimy się wszyscy razem, składamy ofiary i przestrzegamy zwyczaju rozlewania krwi. Po modlitwie część wnętrzności zwierząt jest pieczona na ogniu, potem kapłan otrzymuje łopatkę, pierś i nogi, a skóra i mięso są rozdzielane między członków plemienia. Postępujemy w ten sposób od wielu tysięcy lat.

Przed samym odejściem zapytałem:

- Czy mógłbyś pokazać mi miejsce, gdzie znaleziono tego zamrożonego człowieka? Zapłacę, jeśli mnie tam zaprowadzisz.

Młodzieniec odmówił przyjęcia jakiegokolwiek wynagrodzenia, ale zgodził się być moim przewodnikiem. Powiedział, że ma na imię Elija. Umówiliśmy się na następnego dnia o świcie, gdyż wyprawa aż do granicy z Chinami mogła zająć sporo czasu.

Elija miał torbę, do której zapakował bułki, herbatę z masłem i koc. Wkrótce za horyzontem zniknęły dachy w kształcie pagód. Nie wiem dlaczego, ale na ten widok serce moje ścisnęło się z żalu.

Jak okiem sięgnąć na zboczach rozłożyły się tarasami pola ryżowe. Spod skały wypływał górski potok. Na nogach miałem buty, które pożyczyłem od jednego z mnichów, czego teraz gorzko żałowałem, bo nie byłem przyzwyczajony do chodzenia w obuwiu na płaskiej podeszwie. Bardzo szybko moje opuchnięte, pokaleczone stopy zaczęły krwawić.

Znajdowałem się daleko od znanych miejsc, ale wciąż pod tym samym, niemającym granic niebem. Za mną była pustka, przede mną ostateczna prawda. Czułem się samotny w tej przestrzeni, na tym górskim zboczu zalanym słonecznym światłem. Szedłem dalej, coraz dalej, nie wiedząc, dokąd zmierzam.

Ulotne wrażenia... Małwy na granicy ziemi i nieba, suche, niekończące się równiny, lasy, dzikie orchidee. Podążałem coraz dalej krętymi ścieżkami, wąskimi mostkami, spękanyymi lodowcami. Góry ciągnęły się bez końca, upajały mnie wysokością.

Pierwszą noc spędziliśmy pod osłoną stosu czerwonych kamieni, u wejścia do wąwozu, z którego wypływał potok. Następnego dnia, kiedy szliśmy wydeptaną przez kozy ścieżką i byliśmy już prawie na szczycie, upadłem i potoczyłem się po stoku, ale nauczyłem się od mistrza Shōjū Rōjina, jak należy padać, choć nie przypuszczałem, że ta umiejętność przyda mi się w górach.

Drugiego dnia przeszliśmy przez dolinę i znaleźliśmy się na ścieżce między wysokimi drzewami o przenikliwym zapachu. Chciało mi się pić i jeść. Gdy dotarliśmy do małej wioski, jej mieszkańcy, ludzie z plemienia Siang Min, zdziwieni i wzruszeni naszym

widokiem, poczęstowali nas herbatą z masłem.

Drugiej nocy coś mnie obudziło. Wpatrywało się we mnie dwoje żółtych jak płomienie oczu. Był to lampart. Potężny, wspaniały, z błyszczącą sierścią. Spokojnie mi się przyglądał, jakby zastanawiając się, kim jestem. Nie wiedziałem, co robić, leżałem bez ruchu, sparaliżowany strachem, nie śmiałem odezwać się słowem ani budzić przewodnika. Trwałem tak, nie oddychając, aż w końcu odszedł, jakby w ogóle nic się nie stało.

Czy to była moja imaginacja, która kazała mi zapęłnić żywymi istotami tę rozległą pustą krainę? A może rzeczywistość? Czulem, że pośród tych obrośniętych darnią stoków i niebieskawych gór jestem śledzony, szpiegowany przez jakichś tajemniczych ludzi. Czulem za sobą czyjąś obecność, zagrożenie.

Każdej nocy i każdego dnia natykałem się na coś nowego w tej fantastycznej krainie z wąskimi drózkami, ścieżkami wydeptanymi przez kozy, szerokimi górskimi tarasami, na których pasły się jaki.

Cały czas pięliśmy się do góry. Na nogach miałem pęcherze i odmrozenia, płuca z trudem łąpały powietrze, bo im wyżej się wspinaliśmy, tym dotkliwiej odczuwałem brak tlenu. Przede mną otwierała się przestrzeń bez granic, między słońcem i lodowcem, nad którą zalegała kosmiczna cisza, a ja szedłem wciąż do góry, ku szczytom, gdzie traci się kontakt ze światem.

Wędrowaliśmy tak wiele godzin, aż niebo pociemniało. Skierowaliśmy się do domów, które dojrzeliliśmy w oddali. Zamierzaliśmy zatrzymać się tam na noc, ale one wciąż były daleko niczym zjawy. Wciąż migały przed nami drzewa i słyszałem dochodzący z ciemności śpiew ptaków.

Trzeciego dnia z powodu nieprzerwanego marszu i zmęczenia dostałem gorączki. Było mi gorąco od wewnątrz i jednocześnie przenikało mnie zimno. Wiele razy musiałem się zatrzymać, bo nie byłem w stanie iść dalej. Miałem wrażenie, że zamarzam w tej lodowej przestrzeni. Mój przewodnik, ciepło ubrany, szedł spokojnie z zarumienionymi od mrozu policzkami. Rzadko się do siebie odzywaliśmy, skoncentrowani na wysiłku, jakiego wymagał marsz.

Marzyłem o tym, by znaleźć miejsce, gdzie nie dosięgłaby mnie śmierć. Jednak nie było takiego miejsca, nie było kamiennego zamku ani okrętu na morzu, ani domu w lesie. Wokół nas była tylko pustka.

Lama mówił, że istnieje sposób, aby powstrzymać śmierć. Czy ma w tym pomóc medycyna, a może święte pieśni? Nie, bo żaden lekarz nie wynalazł jeszcze leku na powstrzymanie śmierci, żaden kapłan nie znalazł słów, by jej nie dopuścić.

Jak można przedłużyć swoje życie?

Z tyłu za lodowcami księżyc otoczony chmurami przybrał fantastyczny kształt. Rzucił jaskrawe światło na wzgórze. Zniknęła ziemia i zielone pastwiska. W blasku księżyca lśniły liście drzew. Przeczynałem, że niedługo coś się wydarzy, i czekałem na to.

Czwartego dnia weszliśmy w sam środek oślepiającego światła. Dokoła roztaczała się nieskalana biel Krainy Śniegów. Nagle przestałem istnieć, nie było już świata zewnętrznego, dobra ani zła, prawdy ani fałszu, świętości ani świeckości, względności ani absolutu, nie było mnie ani mojego ego. Zostało tylko ciało, które podążało w góry, które szło, nie wiedząc już, gdzie jest. Otulony obłokiem, czułem gorąco ognia, niezmiernego uniesienia, niewypowiedzianej radości, której towarzyszyło olśnienie, miałem wrażenie, że w tym momencie osiągnąłem życie wieczne.

Wciągałem głęboko powietrze, a przy wydechu zmieszało się ono z tchnieniem bezdennej otchłani, jaką jest kosmos. Przestałem istnieć. Czułem się maleńką drobiną. Wokół mnie wszystko się zacierało, znikało.

Pozostała jedynie pustka. Moje ciało, płynne, lekkie, przezroczyste, było tylko dymkiem, przesuwanym się cieniem, obłokiem. Bez trudu i lęku unosiłem się do góry.

Szedłem z szeroko otwartymi oczami. Moja ręka nie przypominała już ręki ludzkiej. Moja twarz była filtrem, przez który przechodziły smugi powietrza, rozkładając się na nieskończoną liczbę kolorów. Każdy z nich tańczył, żył, łączył się z innymi i je opuszczał. Między drzewa, w najciemniejsze zakątki, wciskało się jaskrawe, ogarniające wszystko światło. Powoli zapalały się od niego fragmenty cienia, wypełniając się żywym ciepłem. Cień stawał się istotą, która oddychała, wołała własnym głosem.

Poza tym oślepiającym, niedającym blasku światłem, nie było już nic, na czym mogłoby spocząć oko. Wokół mnie - przede mną, za mną, nade mną, pode mną - wszystko było światłem.

Rozpoznałem język kolorów. Żółty - kolor słońca i złota, kolor światła, pustyni, suszy. Niebieski - kolor nieba, symbol wzniesienia do Boga, symbol nieskończoności, nieśmiertelności. Czerwony - kolor intensywny, potężny, przywołujący namiętność, żar. Zielony - kolor roślinności, wilgoci, chłodu, wiosny. Pomarańczowy - kolor jedności. Fioletowy - kolor tajemnicy i duchowości. Biały - synteza wszystkich kolorów, kolor światła.

Ta wizja trwała kilka sekund, a potem rozplynęła się, ale wspomnienie o niej, jej realny sens, pozostały we mnie przez wiele dni. Od tej chwili już nie szedłem, lecz podskakiwałem z radości. Nie wątpiłem, że była to prawdziwa wizja. Doszedłem do takiego

punktu, że nie mogło być inaczej.

Miałem wrażenie, że rozerwała się przede mną jakaś zasłona. Domyślałem się, że jestem już blisko tego człowieka, który dotarł tu dawno temu. Chociaż nie zamieniliśmy słowa, czułem że jestem mu bliski. Świat wokół mnie był dotykalny, realny i jednocześnie eteryczny. Byłem nim przepełniony, zniewolony. Czułem się szczęśliwy, choć pozbawiony uczuć, byłem szczęśliwy niczym słoneczny dzień.

- To tutaj - powiedział mój przewodnik, pokazując kij wbity w śnieg. - Tutaj został znaleziony ten zamarznęty człowiek. Zauważył go jeden z mieszkańców wioski, który przyszedł ze swoim psem z tamtej strony granicy. Pies zaczął nagle drapać ziemię i tak znaleziono tego człowieka. Nie wiedzieliśmy, kim był. Nasz lud składa ofiary ze zwierząt, nie wolno nam czcić posągów ani obcych bogów. Każdego czeka za to kara śmierci. Początkowo myśleliśmy, że może to jakiś obcy bóg. Ale zimno i śnieg zachowały kości tego człowieka, a także jego ubranie. Szaty z białego płótna, jakie i my wkładamy na czas składania ofiar. Miał także na głowie białą czapeczkę, podobną do tych, które my nosimy.

Elija wyjął dwie łopatki i zaczęliśmy kopać najpierw w śniegu, potem w stwardniałej ziemi. Po jakichś dwóch godzinach byliśmy złani potem. Wykopaliśmy spory dół wokół kija, ale niczego nie znaleźliśmy.

- Ruszajmy! - powiedział przewodnik. - Zejście będzie o wiele łatwiejsze niż wejście, ale mamy przed sobą długą drogę.

- Zgoda - odrzekłem, wpatrując się w dół.

Nagle z prawej strony dostrzegłem coś wystającego z ziemi. Nachyliłem się. Był to kawałek pergaminu. Wziąłem go ostrożnie do ręki, żeby się nie rozpadł, ale był twardy i dobrze się trzymał, w przeciwieństwie do mnie, gdyż moje nogi drżały coraz bardziej, w miarę jak wczytywałem się w aramejskie pismo, badałem strukturę pergaminu, tusz, kształt liter. O, gdybyście mogli sobie wyobrazić, przyjaciele, co wtedy czułem! Poczulem ogromne zmęczenie, które gromadziło się przez te wszystkie minione godziny, dni, noc. Zachwiałem się i zemdlałem, upadłem na ziemię, twarzą w śnieg.

Był to manuskrypt z Qumran.

Wieczorem przy świetle latarki odczytałem tekst. Litery skupiły się przed moimi oczami, by wskrzesić odległy i zarazem bliski głos przybyły z głębi wieków, odradzając się w ciszy niczym zjawa. Byłem wstrząśnięty, nie wiedziałem, co mam o tym myśleć. To nie miało sensu, było nierealne. Ogarnęło mnie silne wzruszenie, które głosem mego serca mówiło, że

to prawda, podczas gdy umysł temu zaprzeczał. Tak, wiedziałem, że jest w tym sens, musi być. Byłem szczęśliwy, czułem ulgę, ale jednocześnie strach.

Ten głos mówił:

*Hebrajczycy śpiewali i tańczyli wokół Arki Przymierza.*

*Arka Przymierza miała dwa złote posągi cherubinów, aniołów ze skrzydłami jak u ptaków.*

*Król Dawid i cały lud Izraela śpiewali i tańczyli przed Arką przy dźwiękach instrumentów, na których wygrywały one przedziwną melodię.*

*Kapłani i Lewici przybyli nad rzekę Jordan i przeszli ją, aby przypomnieć wyjście z Egiptu. Potem każdemu, kobiecie i mężczyźnie, dano bochen chleba, kawałek mięsa i ciasto z rodzynkami.*

*Arcykapłan, ubrany w białą lnianą szatę, miał na sobie plastron Dawida.*

*Kapłani izraelscy mieli gałązkę, którą poświęcali ludzi. Kapłan mówił: „Wylej na mnie hyzop i będę czysty”.*

*Przed świątynią izraelską stały dwa filary będące bramą.*

*Nazywano je „Taraa”. Były pomalowane na czerwono, dla upamiętnienia krwi baranka złożonego w ofierze w noc poprzedzającą wyjście z Egiptu.*

*Najświętszy przybytek - Święte Świętych - znajdował się w zachodniej części Świątyni. W Świątyni Salomona był drugi poziom nad pozostałymi salami.*

*Był także taki obyczaj w Izraelu: w Świątyni Boga w Izraelu i Świątyni Salomona były dwa posągi lwów.*

*Składano przed nimi ukłon, co miało oznaczać: dotrzymuję obietnicy.*

Bez wątpienia te słowa pochodziły z Biblii. Ale jaki był sens tych dokładnych opisów? Wyglądało to na instrukcje, przypomnienia, zalecenia. Ale jaki był tego cel? Dla kogo były przeznaczone? Dlaczego znalazły się tutaj, w Tybecie, tak daleko od Qumran? Czy Shimon, wysyłając mnie tutaj, wiedział, że znajdę manuskrypty znad Morza Martwego? Czy był to przypadek?

Pokonany zmęczeniem, wzruszeniem, pragnieniem i głodem zapadłem w tak głęboki sen, że nawet moje senne marzenia były ciemne jak noc.



## VI

### *Zwój zacisza*

*Dziękuję ci Panie, że umieściłeś mnie przy źródle rzek, które zraszają suchy ląd, przy zdroju wód w ziemi wyschniętej i przy potokach zraszających ogród w pustyni {...}, aby założyć uprawę cyprysów, wiązów i cedrów na Twoją chwałę, drzew życia przy tajemniczym źródle, ukrytych pośród wszystkich drzew rosnących przy wodzie, które były po to, by latorośl rozrosła się w wieczną uprawę zapuszczającą korzenie przed kwitnięciem. Będzie ona wyciągać swe pędy do strumienia i otworzy się ku wodzie życia, pień jej stanie się wiecznym zdrojem. Na jej odroślach będą paść się wszystkie zwierzęta leśne, a podnóże jej pnia stanie się miejscem postoju dla wszystkich przechodzących drogą, konary zaś służyć będą za schronienie wszelkiemu ptactwu. Wszystkie drzewa przy wodzie będą się wywyższać ponad nią, gdyż rozrosną się z jej odrośli i wyciągać będą swe korzenie do strumienia. Lecz ten, który sprawia, że ścięta latorośl wyrasta w szczep Prawdy, ukrywa się, nie będąc zauważonym i pieczętuje jej tajemnicę, nie będąc poznanym.*

Zwoje z Qumran

Księga hymnów\*

---

\* Rękopisy z Qumran nad Morzem Martwym, op. cit.

Po powrocie do klasztoru poprosiłem, by przyjął mnie lama, miałem bowiem nadzieję, że udzieli mi jakichś wskazówek dotyczących człowieka z lodu i że wyjaśni, skąd się wziął w tak odległej krainie, jeśli rzeczywiście przybył z Qumran i pochodził z rodu Cohenów. Jednak lama patrzył na mnie z poważnym wyrazem twarzy, nie zdradzając ochoty, by odpowiedzieć na moje pytania.

- Czy nie zna mistrz odpowiedzi? - zapytałem.

- Odpowiedź na twoje wątpliwości przyjdzie w swoim czasie - odrzekł lama.

- A kiedy przyjdzie ten czas?

- To będzie twój czas.

Zrozumiałem, że wie więcej, ale muszę zdobyć jego zaufanie, żeby zechciał coś mi powiedzieć. Wróciłem więc do sprawy człowieka, którego szukałem.

- Gdzie przebywa teraz Ono Kashiguri?

- Tutaj.

- Tutaj? W klasztorze?

Lama skinął głową.

- Gdzie?

Znowu pokiwał głową bez słowa. Byłem tym raczej przygnębiony niż zdenerwowany. Pomyślałem, że muszę przebyć długą drogę, zanim uzyskam od niego odpowiedzi na moje pytania. Gdzie znajduje się Ono Kashiguri? Co robi w klasztorze? Gdzie się ukrywa? Gdy zwróciłem się z tym do mnichów, odrzekli, że nic na ten temat nie wiedzą. Kiedy zaś zapytałem, czy widzieli tu kobietę, usłyszałem, że kobiety nie mają prawa wstępu na teren klasztoru. Zrozumiałem wtedy, że powinienem tu zostać, wtopić się w ich życie.

Inaczej mówiąc, musiałem poznać życie klasztoru od wewnątrz, i choć mogło się to wydawać dziwne, a także niebezpieczne, jeśli chciałem zdobyć więcej informacji, nie

pozostawało mi nic innego, jak tylko zostać buddyjskim mnichem.

Podczas kolejnych spotkań z lamą poznawałem go coraz lepiej. Zawsze byłem pod wrażeniem siły jego wzroku, gdy odpowiadał na pytania uczniów. Był ich przewodnikiem, wskazywał im kierunek i uprzedzał o czyhających na drodze zasadzkach. Prowadził ich nieznaną drogą. Towarzyszył im w niebezpiecznych miejscach, zmuszał, by przekraczali szerokie rzeki. Myślał, mówił i działał zgodnie ze swoją nauką. Pokazywał, co należy robić, by iść dalej obraną drogą, wiedział, jakie będą na niej przeszkody. Czułem, że dzięki niemu zyskałem nowe spojrzenie na to, czego doznawałem w trakcie samotnych lub grupowych medytacji.

W dzień pracowałem, studiowałem, medytowałem wraz z mnichami, a nocą zaglądałem do wszystkich jurt, do wszystkich miejsc, gdzie mógłby się schować Ono Kashiguri. Zaczajony w jakimś kącie miałem nadzieję, że się pojawi. Krążyłem w ciemnościach niczym lampart, ale nigdzie tego człowieka nie znalazłem.

Dwa razy dziennie po lekcji z moim nauczycielem stawiałem się przed mistrzem. Gdy rozległ się dźwięk dzwonka, szedłem wraz z innymi mnichami do sali obok izby lamy i siadałem na podłodze, czekając na swoją kolej.

Na dany znak pierwszy z szeregu wstawał, kłaniał się, podchodził do drzwi i kłaniał się po raz drugi. Trzeci ukłon oddawał, gdy znalazł się bezpośrednio przed mistrzem. Każdy z nas, patrząc na niego, odnosił wrażenie, że widzi intensywne światło. A on stale powtarzał, że jego rolą jest odkrycie w nas absolutu, którego my szukamy w nim.

Zajmowałem miejsce między mnichami, siadałem prawidłowo, zgodnie ze wskazówkami, oddychałem głęboko, we właściwym rytmie. Mój mózg przypominał otwarte okno, przez które wieje wiatr. A kiedy zaczynała się medytacja, wiatr ustawał, w sali znowu panował spokój.

Kierowałem wzrok na linię horyzontu, zachowując cały czas właściwą postawę, aby nic nie przeszkodziło koncentracji. Tym sposobem osiągałem drugi stopień medytacji, polegający na tym, że moje myśli płynęły swobodnie, ale w momencie kiedy uświadamiałem sobie, że za bardzo się na nich zatrzymuję, odrywałem się od nich.

Trzeci i zdaniem Yukio, mojego nauczyciela, najtrudniejszy stopień, polegał na poznaniu swej natury, odrzuceniu dwoistości. Nie wiedziałem jeszcze, co to znaczy, ale nie ulegało wątpliwości, że nie osiągnie się przebudzenia, jeśli nie zrozumie się tego pojęcia. Ten najwyższy etap określa się słowem „nirwana” - wyzwolenie z cyklu narodzin i śmierci.

Żeby osiągnąć nirwanę, trzeba uwolnić się od złej karmy, od przywiązania do

przedmiotów świata zewnętrznego, od żądz i chciwości. Bo każde działanie jest realizacją przeszłej karmy i rodzi karmę przyszłą, bo wpływ na nas ma nawet karma naszych przodków.

Yukio tłumaczył mi, że nie znam siebie, ponieważ rzeczywistość przesłania mi jakąś zasłona. I dlatego potrzebuję przewodnika, który pokaże mi, jak pozbyć się iluzji i oczyścić umysł.

Żeby wyzwolić się z *samsary* - cyklu kolejnych wcieleń - i osiągnąć przebudzenie, trzeba oprzeć się na mistrzu, który potrafi pokazać, co należy robić, aby móc iść dalej Ścieżką Buddy, unikając przeszkód, które mogą się na niej pojawić. Zrozumiałem, że lama zamierza poprowadzić mnie ku przebudzeniu, to znaczy ku najwyższej rzeczywistości. Lama miał mnie wyleczyć z mojej choroby - iluzji, przesądów, błędnych przekonań wynikających z pychy. Miał mi pomóc zrozumieć, jak bardzo są szkodliwe przywiązanie i nienawiść.

Był zwierciadłem, w którym odbijał się mój prawdziwy obraz. Pomagał mi, bym nie dał się ponieść autosugestii, jego cicha obecność uspokajała mnie, stawałem się lepszy. Wydawało mi się, że zmieniam się z każdym dniem. Każdego dnia byłem coraz dalszy od mojego poprzedniego sposobu życia.

Miałem na sobie szatę w intensywnie żółtym kolorze, jaką nosili kiedyś buddyjscy mistrzowie. Mój nauczyciel ogolił mi głowę i dał mi małą książeczkę z listą wszystkich mistrzów od czasów Buddy do aktualnego mistrza. Taki dokument, napisany atramentem z cynobru, nazywa się *shisho*. Młody mnich, jakim się stałem poniekąd mimo woli, miał stanowić kolejne ogniwo w łańcuchu linii przekazu nauki.

Czułem się wolny, samodzielny, ukształtowany. I byłem taki, ponieważ uczestniczyłem w ćwiczeniach wspólnoty. Oprócz medytacji mieliśmy liczne zajęcia praktyczne. Znowu zająłem się kaligrafią. Byłem doradcą artystycznym mnichów, którzy pokazywali mi swoje prace, wydawałem nawet opinie o mandalach.

Nauczyłem się kuchni mnichów. Wszyscy mnisi po kolei przygotowywali posiłki. Robiłem *momo* z warzywami - najpierw topiłem masło na średnim ogniu w metalowym garnku do smażenia lub na patelni, potem wsypywałem imbir, czosnek, paprykę, czarny pieprz, sól oraz sos sojowy i wszystko to razem smażyłem. Dodawałem warzywa i tofu, zdejmowałem z ognia, przekładałem do miski i czekałem, aż ostygnie. Tak przyrządzonym farszem nadziewałem potem pierożki - *momo* - które następnie układałem w garnku do gotowania na parze.

*Kopan masala* to smakowity sos na bazie kolendry, kminku, siekanego kardamonu czarnego i zielonego, goździków, cynamonu, czarnego pieprzu, gałki muszkatołowej. Wszystkie te składniki trzeba było rozkruszyć w moździerzu, a następnie wymieszać z

czterema filiżankami mąki, łyżeczką drożdży, dwiema filiżankami wody i solą.

Podczas posiłków używałem tylko prawej ręki. Przy stole nikt się nie odzywał. Telewizja, radio, gazety były zakazane. Codziennie rano maczałem chleb w gorącej, tłustej herbacie. Po godzinnym odpoczynku spotykałem się z nauczycielem, który objaśniał mi sens tekstu. Posiłek południowy przebiegał według ustalonego rytuału: najpierw spożywali go starsi mnisi, potem młodzi i na koniec ci, którzy odbywali nowicjat, a więc nie mieli nic do powiedzenia i siedzieli z opuszczonymi głowami. W pewnym sensie przypominało mi to Qumran.

Jadłem kielki bambusa i ryż. Wyjmowałem zawartość miseczki lewą ręką, potem prawą ugniatałem i wkładałem do ust. Szybko zrezygnowałem z łyżki, odmawiałem sobie wielu rzeczy, by pozbyć się negatywnego działania ciała, żeby się wyzwolić, przeniknąć znaczenie tekstów, osiągnąć całkowite zjednoczenie ciała i umysłu. Czytałem po to, żeby osiągnąć przebudzenie, co z kolei pozwalało dojść do stanu wyrzeczenia, odrazy do *samsary*.

Nie patrzyłem dalej niż półtora metra przed sobą, a gdy gdzieś szedłem, pochylałem głowę możliwie jak najniżej. Cokolwiek robiłem, pamiętałem o tym, żeby być uważnym i czujnym, żeby panować nad umysłem. Obserwowałem mnichów, nieustannie szukając Ono Kashiguriego.

Po południu oddawałem się lekturze, studiowałem filozofię. Po obiedzie brałem udział w dyskusjach odbywających się na wielkim dziedzińcu oraz we współzawodnictwie w dialektyce. Żeby zapamiętać przeczytane teksty, musiałem każdego wieczoru przed zaśnięciem przeczytać jeszcze raz tekst z dnia poprzedniego, a potem nauczyć się tekstu z lektury porannej. Na początku dwa razy przy tym zasnąłem. Potem jednak, dzięki codziennym ćwiczeniom, mój umysł wprawił się i pamięć się polepszyła.

Codziennie chodziłem do lamy i zadawałem mu to samo pytanie: gdzie jest Ono Kashiguri, w jakim celu tu przyjechał? A lama niezmiennie odpowiadał:

- Jeśli ktoś do ciebie przybywa, to go przyjmij. Gdy odjeżdża, odprowadź. Jeśli ktoś ci się sprzeciwi, zachowaj się ugodowo.

Mówił także i takie słowa:

- Jeden i dziewięć daje dziesięć. Dwa i osiem daje dziesięć. Pięć i pięć daje dziesięć. Oto sposób na to, jak być ugodowym. Nie ma na świecie niczego nie do pogodzenia. Trzeba umieć odróżniać to, co realne, od tego, co nierealne.

Albo mówił tak:

- Trzeba umieć zauważyć wszystko, co ukrywa cień. Gdy chodzi o rzeczy wielkie,

przenikaj kosmos. Gdy chodzi o rzeczy małe, wchodź w drobinki pyłu. Zmieniaj się w zależności od chwili. Gdy zdarzy ci się sukces, traktuj go jak marzenie, iluzję. Gdy napotykasz na problemy, nie zniechęcaj się. Wzbudź w sobie współczucie dla innych, żeby zło nie miało do ciebie dostępu. Pamiętaj, że myśli, nawet bardzo uporczywe, są przecież tylko myślami i w końcu się rozproszą. Dlatego należy wytworzyć w umyśle pustkę, a zmartwienia odejdą same. Nie będą cię już dręczyć pożądanie i nienawiść. Przesną cię niepokoić takie emocje jak gniew, który rodzi się z pomyłki. - I dodawał: - Niech twój umysł podchodzi do wszystkiego ze spokojem.

- Odkąd tu przybyłem, nie otrzymałem odpowiedzi na moje pytania - powiedziałem do lamy.

- Odkąd przybyłeś, nie przestaję pokazywać ci, w jaki sposób możesz znaleźć na nie odpowiedź.

- O jakim sposobie mówisz, mistrzu?

- Gdy przynosiłeś mi filiżankę herbaty, brałem ją od ciebie. Gdy przynosiłeś mi jedzenie, także je brałem. Gdy mi się kłaniałeś, pozdrawiałem cię ukłonem.

- To prawda - przyznałem. - Ale jak miało mi to pomóc?

- Gdy osiągniesz stan Buddy, długość twego życia przestanie być ograniczona. Będziesz wiódł życie w ustawicznej wędrówce. Podobnie jak kryształ przybiera barwę podstawy, na której go ustawiono, czy jest ona biała, czerwona, czy czarna, tak też kierunek, w jakim toczy się twoje życie, zależy od tego, z czym się stykasz. Jeśli pragniesz podążać swoją drogą, musisz uwolnić się od *samsary* i dojść do przebudzenia.

- Ale ja ćwiczę! Od wczesnego ranka, niemal od świtu, do południa. Potem od wczesnych godzin popołudniowych do późnej nocy. W południe czytam na głos książki, żeby nauczyć się ich na pamięć.

- Sądzisz, że to wystarczy? Spędziłem siedem lat w grocie i cztery lata w szałasie, w gęstym lesie, w górach pokrytych śniegiem, ale to nie wystarczyło.

- Ja także żyłem w grocie. I wcale nie miałem ochoty jej opuszczać. Czy mam złą karmę?

- Nie, ponieważ miałeś wizje i dzięki nim odkryłeś skarb. Prawda, Ary Cohenie? Potrafiłeś odkryć wielkie skarby i być użytecznym dla innych. Sens życia pojawił się w twoim umyśle, a ty go zapisałeś niczym mandalę, żebyśmy mogli lepiej postrzegać świat.

- Ale ja muszę wiedzieć, gdzie jest Ono Kashiguri. Nie ma ani chwili do stracenia, ponieważ ludziom grozi niebezpieczeństwo.

- Trzeba zachować opanowanie we wszystkich okolicznościach. Widzę jednak, że twój umysł nadal błądzi z powodu żądy, gniewu, a zwłaszcza ignorancji. Twój umysł wciąż popełnia pomyłki. Gdy dojdzie do niespodziewanego spotkania z nieprzyjacielem, wezmą w tobie górę ukryte żądze i gniew. Zakorzenia się w tobie, zostawiając bolesne ślady, będą cię prześladować w przyszłości z pokolenia na pokolenie! Jesteś zanadto przywiązany do tego, co uważasz za realne. Dlatego pozwalasz, aby dręczyła cię nienawiść, rozkosz lub cierpienie, zyski lub straty, sława lub hańba, pochlebstwo lub krytyka, a twój umysł się usztywnia. Tymczasem musisz pamiętać, że wszystko, co cię spotyka, nie jest namacalne. Prawdziwą naturą tego, co realne, jest pustka, nawet jeśli wydaje się inaczej, a ty powinieneś pozbyć się iluzji.

- Co mam jeszcze robić?

- Jeśli nauczysz się sprawiać, żeby twoje myśli rozprasały się chwilę po tym, jak się pojawiają, przelecą one przez twój umysł jak ptaki po niebie, nie zostawiając śladu.

Któregoś dnia, gdy znowu zadałem to samo pytanie, lama dał mi sybillińską odpowiedź:

- Już ci mówiłem, że jest tutaj.

- To znaczy gdzie?

- Jak mam ci odpowiedzieć na tak źle postawione pytanie?

- To jak powinno ono brzmieć?

- Wciąż mnie pytasz, gdzie jest Ono Kashiguri, a ja odpowiadam, że jest tutaj.

Dlaczego nie zapytasz, czy wiem, kto to jest Ono Kashiguri?

Długi czas rozmyślałem nad tym, co powiedział mi lama. Byłem przekonany, że znajdę odpowiedź w pytaniu, bo jak pouczał mnie mój nauczyciel, dobrze postawione pytanie zawiera w sobie część odpowiedzi. Natomiast pytanie sformułowane źle jest jak zasłona, którą narzucono na rozwiązanie problemu.

Medytowałem, przyjąwszy właściwą pozycję - z wnętrzem dłoni i podeszwami stóp skierowanymi ku niebu. Czubki dużych palców u nóg nie dotykały ud, żeby nie doszło do utraty energii. Medytacja oczyszcza zmysły i duszę każdego przedmiotu. Dzięki niej dochodziłem do pojęcia długowieczności. A przede wszystkim dzięki niej odkrywałem czas. Czas, który uczy, który jest realny, z którym można robić doświadczenia, a nie ten, któremu się poddajemy. Przedtem miałem tyle pragnień, że traktowałem czas jak przedmiot, towar. Po wyjściu z wieku dziecięcego, poddawany ciągłym stresom, zwracałem uwagę tylko na granice

czasu, na to, ile go miałem. Będąc w ustawicznym ruchu, przeżywając uciezki, straty, niemożność powrotu, oddaliłem się od czasu, przeżywając go w sposób fałszywy, niedobry, na poziomie pragnień, skazując się na to, że nigdy nie będę umiał właściwie go spożytkować. Nauczyłem się zapominać o czasie, którego nie miałem, i odkryłem ten, który miałem. Poznałem, czym jest ten szczególny czas, który mija, także ten, który nagle utrwala się w jakimś momencie wieczności.

Uciekałem daleko od czasu pożytecznego. Oddalenie od przeszłości było moim lustrem, w którym codziennie się przeglądałem. Zapominałem o czasie poranków, o czasie wielkich budowli, piramid i katedr. Przenikałem wewnętrzny sens świata, sens jego zmiennych rytmów, jego nieuchwytnych transformacji. Czas, mój nauczyciel, nauczył mnie, że nic nie jest dane raz na zawsze, że rodząc się dla jednej prawdy, umieramy dla innej. Pozwolił mi także odkryć, iż terażniejszość jest w stałej relacji z wiecznością. Zrozumiałem, że czasu nie da się zmierzyć. Czasem chwila może być całkiem długa. A kiedy indziej bardzo krótka.

Przebywałem gdzieś w terażniejszości, między przeszłością i przyszłością.

Jak to wyrazić słowami? Ze sposobu, w jaki lama sformułował pytanie - „Kto to jest Ono Kashiguri?” - zrozumiałem, że znajduje się on między nami i, co jeszcze dziwniejsze, że wiem, jak wygląda, choć nigdy przedtem go nie spotkałem.

Lama naprowadził mnie na właściwą drogę, nie sprzeniewierzając się przy tym zasadzie, by nie ujawniać imion swoich uczniów wbrew ich życzeniu.

Następnego dnia obudziłem się gwałtownie, gdy o piątej rano rozległ się głośny dźwięk gongu zapowiadającego pierwsze recytacje.

W tym momencie zdałem sobie sprawę, że już nie cierpię. Nie cierpię z miłości do Jane. Wspomnienie udreki rozeszło się po moim ciele i rozproszyło we wszechświecie.

Miałem ogoloną głowę, nosiłem strój mnicha. Moja skóra pociemniała, pomarszczyła się od zimna i słońca. Mój głos stał się łagodniejszy, bardziej stonowany. Wtedy przywołał mnie do siebie lama.

Siedząc w fotelu w pozycji lotosu, dał mi znak, żebym się zbliżył. Towarzyszyli nam młodzi mnisi. Zgodnie z rytuałem oddałem trzy niskie pokłony.

Jeden z mnichów narzucił na moje ramiona żółtą pelerynę. Wówczas lama pokropił mi głowę wodą, żeby odegnąć szkodliwe wpływy. Następnie dał mi znak, bym do niego



podszedł. Jednym ruchem pozłaczanych nożyczek ściał mi ostatni kosmyk włosów i odłożył go na tacę trzymaną przez stojącego obok mnicha. Okręcił trzy razy dymiącą kadzielnice wokół mojej głowy i znowu pokropił ją wodą.

- Od dziś nosisz imię Jhampa. - Wziął do ręki sito, które kazał mi przytrzymać z drugiej strony. - Jest powiedziane, że idąc po wodę, będziesz nalewał ją przez to sito. W ten sposób nie uśmiercisz nawet najdrobniejszych żyjących w niej stworzeń. - Odstawił sito i podniósł miskę pełną ziaren ryżu. - Budda powiedział, że ci, którzy podążą za jego naukami, nigdy nie umrą z głodu. - Podał mi kawałek żółtej tkaniny. - Jakikolwiek wybierzesz miejsce, żeby pograć się w medytacjach, usiądziesz na tym kawałku materiału. - Uchwycił moją tunikę w pasie. - Ta szata zapewnia, że jego ciało nie zazna zimna. Żeby otworzyć się na poznanie wiedzy, nowicjuszowi nie wolno zabijać, kraść, kłamać, szkalować innych, mieć stosunków seksualnych. W ten sposób odejdziesz od źródła cierpień - *samsary*. Z nowym imieniem opuścisz rodzinę i cały świat zewnętrzny. - Nachyliwszy się nade mną, zapytał: - Czy znasz złe strony *samsary*?

- Tak, widzę je.

- Czy będziesz od dziś przestrzegał ślubów?

- Tak, będę ich przestrzegał.

Wtedy lama poczęstował mnie ryżem ze smażonymi na maśle rodzynekami i herbatą z masłem.

Do sali weszli starzy mędrcy. Przyglądałem im się uważnie, podczas gdy młodzi mnisi podawali wszystkim słoną herbatę z masłem. Zadawałem sobie w duchu pytanie, który z nich to Ono Kashiguri. Nie mógł znajdować się wśród młodych, których była w sali większość. Inni z kolei byli za starzy.

Godzinę później nadal siedzieliśmy w pozycji lotosu. Zaczynały mi drętwieć nogi. Po dwóch godzinach zacząłem majaczyć.

Wcale nie byłem zdziwiony, że znajduję się w tym miejscu, z ogoloną głową, pomiędzy tymi ludźmi ubranymi w czerwone i żółte szaty, w sali oświetlonej maślanymi lampami, przepełnionej ciężkim zapachem kadzidlanych dymów, przy wtórze szmeru cichych modlitw.

Pomyślałem o ojcu przebywającym gdzieś daleko wśród wzgórz Jerozolimy, o esseńczykach żyjących na płaskowyżu Qumran, pomyślałem o Jane i od tych myśli poczułem ucisk w sercu.

Uświadomiłem sobie, że moje myśli zatrzymały się, że ta medytacja prowadziła mnie

do Jane. Znowu poczułem niepokój, jakby zbliżało się jakieś niebezpieczeństwo.

Nagle znalazłem się nad jeziorem, u stóp zaśnieżonych szczytów, i ujrzałem go wyraźnie na powierzchni wody. Ono Kashiguri. Czyż nie znał on sztuki walki? Czy nie ma daru udawania kogoś innego? Dwa razy widziałem tego człowieka w domu gejsz i za każdym razem kobiety, z którymi tam byłem, najwyraźniej się go bały. Kulał, sprawiał wrażenie pijanego, miał zasłonięte jedno oko.

Wyszedłem z sali, wziąłem naostrzony bambusowy patyczek, atrament zrobiony z sadzy, dokładnie zmielonej i wymieszanej z wodą i klejem. Przypomniałem sobie, co mówił nauczyciel: „Całe szczęście świata pochodzi ze współczucia, a całe nieszczęście z dążenia do własnej korzyści”.

W ciszy zastanawiałem się nad tym zdaniem. Po co tyle słów? *Głupiec jest przywiązany do własnego dobra, a Budda poświęcił się dla dobra innych.*

Narysowałem mężczyznę, którego widziałem w domu gejsz, usiłując przypomnieć sobie jego rysy. Przyjrzałem się swojemu rysunkowi. Przybliżałem go, oddalałem, wprawiałem w ruch cienie.

Poszedłem do lamy i pokazałem mu rysunek. Obejrzał go i zapytał:

- Widziałeś już tego człowieka?

- W Kioto.

Lama popatrzył na mnie uważnie. Nigdy nie zauważyłem na jego twarzy najmniejszych oznak jakichkolwiek emocji. Tym razem jednak, ku mojemu ogromnemu zaskoczeniu, dostrzegłem w jego ciemnych oczach radość.

- Tak więc, Jhampo - powiedział - wreszcie wykazujesz zdolność postrzegania. Teraz już wiesz, kto to jest Ono Kashiguri. Skoro umiesz interpretować znaki, jesteś gotowy, by zrozumieć to, co zamierzam ci powiedzieć.

- Tak, mistrzu.

- Czy znasz opowieść o jeziorze? To historia naszego pochodzenia.

Wstał z fotela i usiadł obok mnie ze skrzyżowanymi nogami, podobnie jak ja. Wbił we mnie spojrzenie głębokie jak milczące morze, a i ja nie spuszczałem z niego oczu.

- Powiadają, że na początku było jezioro o czystych wodach, w którym żyły czarodziejskie węże *naga*, strażnicy wód. Niespodziewanie na środku jeziora pojawił się pęd lotosu o tysiącu płatków. Wszyscy bogowie i wszystkie boginie zeszli się, by oddać hołd lotosowi, a ziemia zadrżała w posadach. Żył tam heros o imieniu Słodka Chwała, w sanskrycie - Mandżuśri. Gdy ujrzał to jezioro i kwiat lotosu, wpadł w ekstazę.

Jeziro znajdowało się na górskiej przełęczy, gdzie przebywał żółw. Mandżuśri wyciął mieczem w skale otwór, przez który wyciekły wody jeziora. Dziś to miejsce nazywa się przełęcz Chobhar. Żółw bardzo się z tego powodu rozgniewał. Nie uspokoił się, dopóki Mandżuśri nie podarował mu świątyni poświęconej Wielkiemu Współczuciu. Mandżuśri chciał osuszyć jezioro, ale sprzeciwił się temu demon Chepu. Mandżuśri zabił go więc mieczem i krew Chepu zamieniła się w skały i kamienie. Prawdziwymi władcami jeziora byli królowie Nagów, mający postać pół gadów, pół ludzi. Mandżuśri rozkazał im, aby pozostali w dolinie i dbali o jej żyzność.

Ponieważ jednak nie było tam już wody, ani miejsca, gdzie mogliby żyć, królowie Nagów zamieszkali w pobliżu źródła dzisiejszej rzeki Wisznumati. Reszta braci pozostała w dolinie, by pilnować żyzności ziemi, pomyślności istot, które tam przebywają i regularności deszczów zapewniających wilgoć.

Mandżuśri ofiarował im staw i podmorski pałac - w wodach Taudaha, na południowy zachód od Chobhar.

Dolina była żyzna. Pewnego dnia ze stawu wynurzyła się ziemia i powstało wzniesienie, które nazwano „wzgórze Wadzra”. Wadzra jest orężem, berłem i symbolem niezniszczalności. Dziś to wzgórze nosi nazwę Swajambhunath, co znaczy: „Spontanicznie powstały mędrzec”.

Mandżuśri, zadowolony ze stworzonego przez siebie świata, schronił się za wzgórzem Wadzra, by kontemplować Samopowstałą Doskonałość Rzeczywistości w lotosie o ośmiu płatkach. Gdy tak medytował, wokół niego powstała spontanicznie świątynia.

- Rozumiem więc, co przydarzyło mi się podczas medytacji - powiedziałem.
- Teraz, Jhampo, powiedz mi, co pragniesz wiedzieć, a ja ci to wyjaśnię.
- Chciałbym wiedzieć, dlaczego przyjęliście do waszego klasztoru Ono Kashiguriego.
- Wszystko zaczęło się wtedy, kiedy pasterz z plemienia Siang Min znalazł człowieka z lodu. Naczelnicy wioski przyszli do nas, aby powiedzieć o nim i o znalezionym przy nim manuskrypcie, którego nie potrafili odczytać. Z wielką ostrożnością zwłoki tego mężczyzny oraz manuskrypt zostały przewiezione do Japonii, czym zajął się mnich Nakagashi, który wtedy u nas przebywał.

- Co było w tym manuskrypcie?
- Nie wiemy, bo my również nie znamy tego pisma. Właśnie dlatego przekazaliśmy zwłoki i manuskrypt mistrzowi Fujimie, który jest kaligrafem i zna wszystkie starożytne pisma.

- A co powiedział o tym mistrz Fujima?

- Człowiek z lodu pochodził z ich ludu, nie z naszego...

- Skąd to wiedział?

- Był ubrany jak kapłan szintoistyczny, a ponadto miał znak sanktuarium Ise w Japonii.

- Jaki znak?

Lama wyjął z fałdów szerokiej szaty medalion, małą gwiazdę z miedzi, która wyglądała na bardzo starą, podobną do tych, jakie można oglądać w muzeach Izraela.

- Gwiazda sześcioramienna, składająca z dwóch nałożonych na siebie trójkątów. Znak sanktuarium Ise.

- Dlaczego ten człowiek został znaleziony tutaj, skoro był kapłanem szintoistycznym?

- Tego nie wiemy. Może odbywał rytualną pielgrzymkę.

- Może... - odrzekłem, zdumiony widokiem gwiazdy Dawida, którą on nazwał znakiem sanktuarium Ise. - Jaki to ma związek z Ono Kashigurim?

- Przede wszystkim muszę cię poinformować, że dziś rano wyruszył on do Lhasy, do klasztoru Dżokang.

- Jak to? Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej, mistrzu?

- Nie mogłem, Jhampo. I tobie nie wolno mówić o tym nikomu, bo sprowadzisz na siebie i na nas straszliwą karę. Mszcząc się za twoją niedyskrecję, bóstwa mogą skierować przeciw tobie swoje złe moce, a inne, bardzo rozczarowane, mogłyby nas opuścić.

- Z jakiego powodu Ono Kashiguri tutaj wrócił? Dlaczego zgodził się mistrz, żeby został moim nauczycielem?

- Przyjechał, żeby dostać to. - Lama pokazał medalion. - Ale ja mu go nie oddałem. To ja zdecydowałem, że zostanie twoim nauczycielem.

- Ale dlaczego?

- Przecież takie było twoje życzenie. Czy nie mówiłeś, że chcesz go zobaczyć?

- No tak - przyznałem, zrozumiałwszy wreszcie, jak bardzo okazałem się niedomyślny.

- Jhampo - podjął lama - powiedziałem ci wszystko, co chciałeś wiedzieć, a teraz ty zdradź mi swój sekret.

- Jaki sekret?

- Pochyl się.

Nachyliłem się do jego ucha. Patrzył na mnie swymi dobrotliwymi oczami, a ja zauważyłem na jego czole znaki, głębokie zmarszczki pochodzące ze świata światła.

- Musisz wiedzieć, Jhampo, że my, mnisi, mamy zniknąć, że grozi nam całkowite unicestwienie. W czasie najazdu Chińczyków na Tybet w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym

szóstym roku ponad milion mężczyzn i kobiet, szosta część ludności, zginęła wskutek chińskich prześladowań lub z głodu. Sześć tysięcy klasztorów zostało zburzonych, nasze księgi spalono lub wrzucono do rzek, nasze posągi przetopiono na armaty i karabiny. Zakazano nauczania buddyzmu. Zamykano i torturowano mnichów i mniszki. Nasze świątynie zamieniono na magazyny ryżu, straciliśmy nasz kraj i naszych nauczycieli. Ponad sto tysięcy Tybetańczyków na czele z naszym ziemskim i duchowym przywódcą, czternastym Dalajlamą, uciekło do Indii lub sąsiednich krajów, takich jak Nepal i Bhutan. Po śmierci Mao Tse-tunga wyglądało na to, że sytuacja się poprawiła. Naród odzyskał nadzieję. Odbudowano klasztory, mnisi i mniszki podjęli studia. Szybko jednak zorientowaliśmy się, że było to tylko złudzenie. Chińczycy uciekli się do innych metod. Zamiast zabijać Tybetańczyków i robić z nich męczenników, uznali, że lepiej będzie, jeśli zaleją ich masy Chińczyków i staniemy się mniejszością we własnym kraju. Obecnie wygląda na to, że tam, gdzie zawiodły prześladowania, tę rolę doskonale spełnił napływ ludności chińskiej. Dziś w Lhasie jest więcej Chińczyków niż Tybetańczyków.

- A więc to tak... - szepnąłem.

- Podobnie jest z tobą, prawda?

- Ze mną? - zapytałem zaskoczony.

- Należysz do narodu żydowskiego. Dlatego pragnę poznać twój sekret.

- Jaki sekret, mistrzu?

- Sekret duchowego oporu żydów na wygnaniu. Patrzyłem na niego całkowicie zbity z tropu pytaniem, którego w ogóle się nie spodziewałem.

- Cóż mam powiedzieć? Chyba to, że żydzi podlegają sześciuset trzynastu prawom.

- Jednak religie pozostają tym, czym są. U podłoża każdej religii leży medytacja.

- Nie sądzę, żeby medytacja była dla jakiegoś narodu wystarczającym sposobem na przeżycie.

- Nie dotyczy to tylko problemów duchowych. Podobnie jak wy, uważamy, że duch i ciało są tą samą rzeczą, jak dwie strony tej samej kartki papieru. Praktykujemy medytację. Uważasz, że to nie wystarczy?

- Nie, nie wystarczy.

- Aha... - Lama westchnął, jakby ważył słowa, które zamierzał wypowiedzieć; najwyraźniej nad czymś się zastanawiał.

- Kabalistyczna księga *Bereszit* - powiedziałem - czyli *Księga Rodzaju*, powiada, że na początku stworzony został nie jeden, ale cztery światy, które odpowiadały czterem literom boskiego tetragramury: *yod*, *he*, *waw*, *he*, symbolizującym ducha, rozum, serce, ciało, albo

inaczej - emanację, tworzenie, kształtowanie, funkcjonowanie, albo jeszcze inaczej - intuicję, wiedzę, uczucie, działanie.

- Tutaj kształtujemy intuicję, wiedzę i uczucie. Czy to nie wystarczy? - spytał mistrz.

- Naśladować Stwórcę można tylko poprzez działanie.

- My uważamy, że twórcze słowo, tchnienie, zależne jest od człowieka.

- Od tego, jak człowiek przyjmuje Słowo Boże, zależy egzystencja każdej istoty.

- Mamy przewodników, którzy wskazują nam drogę. Czy to nie dość?

- Nauczanie jest mapą, a przewodnik tym, który umie ją czytać i ma doświadczenie w podróżowaniu. Bez przewodnika ślepy nie odnajdzie drogi. Jednak i to jeszcze nie wystarcza.

- Budda postanowił oderwać się od świata, opuścić ludzi i zamknąć się w twierdzy, dopóki nie rozwiąże dręczącej go zagadki, nie znajdzie odpowiedzi na swoje pytania. Tak jak i ty przebywał na północy Indii, w grocie, która znajdowała się w zboczu góry, dominującej nad doliną. Była to niska jaskinia, do której można się było dostać tylko czołgając się. Poddawał się temu ascetycznemu doświadczeniu aż do momentu, kiedy dotykając brzucha, wymacał swój kręgosłup. Kiedy Budda pojął, że zbliża się jego koniec, wyczołgał się z grotu, by umrzeć w zalanej światłem dnia dolinie. Usiadł pod drzewem, między jego korzeniami. Zdarzyło się, że przechodził tamtędy nauczyciel muzyki w towarzystwie kilku uczniów. Gdy usiedli, by odpocząć, nauczyciel powiedział: „Popatrzcie na struny lutni - jeśli są za słabo napięte, wydany przez nie dźwięk będzie zbyt niski, a gdy napnie się je za mocno, zabrzmiały zbyt wysoko. Tak więc instrument musi mieć struny napięte właściwie, aby mógł wydawać dobre tony”. W tym momencie Budda zrozumiał. Pomyślał: „To samo dotyczy mojej osoby. Kiedy moje życie było wesołe i łatwe, byłem bezużyteczny i próżny. Żeby mogła zaistnieć harmonia, trzeba znaleźć równowagę między nadmiarem i niedostatkiem, między tym, co niezbędne, a przesytem”. W ten sposób Budda poznał ducha mądrości. Uznał, że cały świat jest jednością, bo nic na ziemi ani w niebie nie jest w stanie zmienić biegu rzeczy. I doszedł do nieśmiertelności. - Lama uśmiechnął się smutno. - Czy wiesz, w jakim sensie życie przypomina starego, siedemdziesięcioletniego człowieka?

- Nie, nie wiem.

- Wyobraź sobie długie marzenie senne, długie jak całe życie wypełnione często przyjemnymi doświadczeniami, a niekiedy chwilami dojmującego cierpienia. I wyobraź sobie moment przebudzenia. Jak widzi swój sen ten, kto się obudził?

- Jako moment wielkiej prawdy.

- Kiedy dobiegałem czterdziestki, znenawidziłem towarzystwo ludzi. Moje posiłki ograniczały się do kleiku zbożowego. Ciało wystawiłem na działanie wiatru i deszczu.

Zachorowałem, lekarze nie potrafili mi pomóc, aż jeden z nich polecił mi jeść mięso. Posłuchałem go i wyzdrowiałem. Doświadczylem tych wszystkich nieszczęść, Jhampo, bo moja karma była zła, bardzo zła. W odległym życiu popełniłem karygodny straszny czyn, który prześladowuje mnie do dziś. Dlatego właśnie poświęciłem życie medytacji i pokucie.

- Jaki to zły czyn mistrz popełnił? I skąd mistrz o tym wie?

- Kiedy moja matka nosiła mnie w łonie, rodzice odwiedzili słynnego lamę, który żył w pustelni, godzinę drogi od naszego domu. Lama zapytał, czy matka jest w ciąży, a gdy to potwierdziła, rzekł: „Będzie to syn, a kiedy się narodzi, muszę o tym wiedzieć natychmiast”. Dał matce sznurek, tak zwanego strażnika, który miał mnie ochronić w chwili narodzin. Kiedy nadszedł ten dzień, zanim jeszcze wypilem choćby kroplę matczyngo mleka, miejscowy lama nakreślił na moim języku sylabę *dh* z mantry Mandżuśriego. Miała mnie uratować od złej karmy. Po kilku dniach rodzice zanieśli mnie do tamtego słynnego lamy, który zapowiedział, że będę niezwykłym dzieckiem i że muszę odkupić moją złą karmę. „Ten chłopiec kogoś mi przypomina. Chcę zobaczyć linie na jego rączce”. Przyjrzał się moim dłoniom w świetle dnia i szepnął: „Ten chłopiec powinien poświęcić życie na odkupienie swojej karmy”. Dał mi piękną perłę, którą nosił na szyi. Skręcił również sznurek z jedwabiu i utkał długi biały szal. Chciał bowiem, żeby ten niepokalany szal zapewnił oczyszczenie karmy. Powiedział mojemu ojcu, że należy oddać mnie do klasztoru, abym mógł wypełnić moją misję. Ojciec nie chciał, żebym został mnichem. Mieliśmy wielkie posiadłości i pragnął, żebym je po nim odziedziczył. Pewnego dnia bawiłem się przy ogniu i poparzyłem się. Przez wiele miesięcy leżałem ciężko chory w łóżku. Wtedy zmartwiony tym ojciec zapytał mnie: „Co trzeba zrobić, żebyś wyzdrowiał?”. Odpowiedziałem mu: „Muszę zostać mnichem”. Ojciec kazał uszyć dla mnie mniszą szatę. Nazajutrz włożyłem ją, ogolono mi głowę. Miałem wtedy dziesięć lat. Pojechałem uczyć się do klasztoru. Tam poznałem lamę, tego samego, który widział mnie po moim narodzeniu i nie opuszczał nigdy pustelni. Po jego śmierci przybyłem tutaj, do doliny. Nie mogłem zostać w tamtym klasztorze. Musiałem wyjechać gdzieś daleko. Przez siedem lat żyłem w grotach.

- Ale dlaczego, mistrzu? Za co musisz odpokutować?

Milczał, jakby ta prawda była za trudna do wypowiedzenia i za ciężka do zniesienia.

- Co robiłeś przez te siedem lat odosobnienia?

- Myślałem o miłości, współczuciu, o tym, że pragnąłbym doprowadzić wszystkie istoty do wyzwolenia. Rozmyślałem od świtu do południa. Czytałem na głos święte teksty, ucząc się ich na pamięć. Od czasu do czasu odwiedzali mnie rodzice. Miałem szesnaście lat, kiedy brat orzekł, że niedługo oszaleję. Towarzystwa dotrzymywały mi ptaki, myszy, kruki.

Przez trzy lata nie wymówiłem ani jednego słowa. Po śniadaniu kładłem się na krótko, a potem studiowałem księgi. Do mojej groty schodziło się po drabinie. Często przychodziły do mnie małe niedźwiadki. W lesie były lisy i przeróżne gatunki ptaków. No i oczywiście lamparty. Pewnego dnia zabiły małego pieska, który był moim towarzyszem. Cierpiałem z tego powodu tak bardzo, że przez następne trzy lata znowu nie odezwałem się ani słowem. Dzień i noc siedziałem, mimo lodowatego zimna, na niedźwiedziej skórze, mając na sobie tylko biały szal i szatę z surowego jedwabiu. Na zewnątrz panował mróz, ale w grocie było ciepło. Na noc nie kładłem się, spałem na siedząco. Wieczorem, gdy zjadłem, pograżałem się w medytacji. A wszystko z powodu złej karmy, za którą teraz odpokutowuję na tym świecie.

Odbywał swoją pokutę, to prawda, ale czy my wszyscy nie robimy tego samego?

- Nie chciałem opuścić groty - ciągnął - tylko od czasu do czasu wychodziłem, by rozprostować nogi. Pragnąłem być jak Szabkar, jogin z dziewiętnastego wieku, który miał zwyczaj śpiewać pieśni podczas medytacji. Nie chciałem się żenić ani mieć dzieci. Potem przyszli Chińczycy i musiałem uciekać wraz z innymi mnichami, ukrywając się w dzień, wędrując nocami. Chińczycy strzelali do każdego, kogo zobaczyli. Nocą było bardzo zimno, ale nie można było rozpałcić ognia, żeby zrobić herbatę, bo dym by nas zdradził. Uciekliśmy do Nepalu, gdzie zamieszkaliśmy w górach. Wieśniacy przynosili nam w bambusowych koszykach ryż i suszone warzywa. Nawiedziły mnie wizje, widziałem znaki. Kiedy tylko stało się to możliwe, wróciłem do mojego klasztoru, bo wiedziałem, że tylko tutaj zdołam oczyścić złą karmę.

Przyglądałem się jego zasmuconej twarzy i drżącym lekko powiekom. Wyciągnął rękę, jakby chciał mnie dotknąć.

- Wróciłem, Jhampo, bo musiałem spotkać się z tobą. Teraz - dodał po chwili milczenia - możesz odejść, jeśli chcesz. Wyrzucisz z pamięci swoje nowe imię, ale dla mnie na zawsze pozostaniesz Jhampą.

- Powiedz mi, mistrzu, co to za czyn, za który musisz odbywać pokutę przez całe życie? Proszę cię, powiedz. - Bardzo chciałem się tego dowiedzieć.

- Gdy uda ci się dojść do czystego poznania, poznasz na nowo swoją zapomnianą naturę i naturę wszystkich innych ludzi. Będziesz się wówczas czuł tak, jakbyś na nowo ujrzał słońce, które przecież nigdy nie przestało świecić, chyba że przesłaniały je przygnane wiatrem chmury.

Odszedł, pozostawiając mnie nieruchomego, zatopionego w myślach.

Wróciłem do jurty z bijącym mocno sercem, bo wiedziałem, że wkrótce stąd wyjadę,



by odszukać Jane, jeśli nadal jest z Ono Kashigurim. Robiłem sobie wyrzuty, że nie rozpoznałem tego człowieka, choć widywałem go codziennie, choć był tak blisko, na odległość oddechu. Dałem się zwieść słowu. Powiedziano mi, że mój nauczyciel ma na imię Yukio, co wystarczyło, żeby mnie zmylić. Ufałem imionom. Ale dlaczego imiona miałyby być znakami prawdy? Właśnie to lama próbował mi cały czas wytłumaczyć, ale ja tego nie rozumiałem. Żeby widzieć wszystko jasno, należy we wszystko wątpić, we wszystkie pewniki, przesady. Ono Kashiguri był moim nauczycielem, był najbliżej mnie i pewnie dlatego go nie widziałem. Czy popełniłem jeszcze inne błędy, czy wziąłem za rzeczywistość jeszcze inne iluzje? Z pewnością tak było i może potrzeba całego życia spędzonego w grotach, żeby opadła z naszych oczu zasłona.

Zasnąłem i miałem koszmarne sen. Znajdowałem się w jakimś domu, była noc. Powinienem wyjść do lasu, ale działy się tam dziwne rzeczy, groziło mi wielkie niebezpieczeństwo. Ktoś chciał mnie unicestwić. Bałem się, ale w końcu wyszedłem.

W tym domu był mężczyzna o bardzo niepokojącym wyglądzie, ponury, z szalonym spojrzeniem. Przypuszczałem, że chce mnie zabić, że coś przeciwko mnie knuje.

Wróciłem do mojej izby. Była spalona, straciłem wszystkie swoje rzeczy, łóżko, szafę, książki, pergaminy. Nie miałem już nic. Wtedy znów wyszedłem do lasu, by samotnie stawić czoło niebezpieczeństwu.

## VII

### *Zwój demonów*

*Błagam was w imię Boga, który uwalnia od zła i występku, do was zwracam się, demony, które wchodzić w ciała ludzi, demonie gorączki, demonie choroby, demonie kaszlu, nie psujcie dni, nie dręczcie po nocach koszmarnymi snami. Błagam was, inkuby, błagam was, sukuby, błagam was, demony, które przenikacie przez mury, do was zwracam się, demony na ziemi i w niebie.*

Zwoje z Qumran

*Egzorcyzmy*

W pościgu za Ono Kashigurim zapędziłem się na błękitne lodowce, znajdujące się na drodze do Lhasy.

Stawiałem sobie tysiące pytań, na które nie znajdowałem odpowiedzi.

Dlaczego Ono Kashiguri interesował się człowiekiem z lodów? Czy to on zabił mnicha Nakagashiego? Z jakiego powodu? Co było złą karmą lamy? Czy ma to jakiś związek z Ono Kashigurim? A jeśli tak, to jaki? Czy człowiek z lodów pochodził z Qumran? Co robił w tym odległym kraju? W jakim celu tu przybył?

W ulewnym deszczu przesłaniającym słońce wsiadłem do autobusu do Katmandu. Stamtąd miałem pojechać mikrobusem do Lhasy. Ten niewielki pojazd, w którym nie było zbyt wygodnie, wiózł nas krętymi drogami nad Bagmati, nad rzeką Katmandu, gdzie palono zwłoki zmarłych. Stosy płonęły tu w dzień i w nocy.

Potem, gdy zostały za nami uprawne tarasy, droga wiodła przez doliny o stromych zboczach. Po kilku godzinach wjechaliśmy na ziemię niczyją, strzeżoną przez chińską milicję.

Lhasa położona jest na wysokości trzech tysięcy pięciuset metrów nad poziomem morza. Z daleka miasto robiło wrażenie nierealnego, zniszczonego, ponurego. Z bliska okazało się zupełnie inne.

W drodze do Lhasy mijaliśmy Potalę, górującą nad całym miastem rezydencję dalajlamów, siedzibę rządu tybetańskiego. Ta trzynastopiętrowa budowla miała tysiące pokoi, sanktuariów i posągów. W skład Potali wchodził Biały Pałac, gdzie znajdowały się apartamenty dalajlamy, i Czerwony Pałac, gdzie skupiało się życie religijne. Jednak wszystko to dotyczyło czasów przed inwazji chińskiej. Obecnie ta wspaniała starożytna budowla nosiła wyraźne ślady zniszczeń.

Nagle pojawiły się wielkie budynki i galerie handlowe. Była to Lhasa ze wspaniałym bulwarem, ulicą Pekińską, prowadzącą do ogromnego placu pośród betonowych budowli. Miasto nowoczesne, całkowicie chińskie, z chińskimi firmami i chińskimi napisami nad napisami tybetańskimi. Była to dawna Lhasa, a zarazem całkiem inna.

Kilku pasażerów wysiadło w centrum, po czym mikrobus pojechał do zachodniej części miasta, gdzie znajdowała się dzielnica tybetańska. Jakże różniła się od nowego centrum ta stara kamienna dzielnica z tybetańskim bazarem, ze straganami, na których sprzedawano mięso jaków. Minęliśmy Barkor, ośrodek pielgrzymów, który należało obejść w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara. Przybyło wielu pielgrzymów tybetańskich, by modlić się w tym świętym miejscu. Znajdował się tu targ z luksusowymi towarami i nawet coś w rodzaju giełdy. Sprzedawano także chorągiewki modlitewne, deski ze świętymi napisami, biżuterię, buty ze skóry jaka.

W końcu stanęliśmy w samym sercu dzielnicy tybetańskiej, przed świątynią Dżokhang, jednym z najświętszych sanktuariów Tybetu.

Świątynia, zbudowana w VII wieku, ma cztery kaplice. Natychmiast skierowałem się do czwartej, bo do niej kazał mi się udać lama. Ze zdumieniem odczytałem nazwę kaplicy: Jhampa. Stał tu imponujący posąg Jhampa Truze. Według legendy miał to być posąg Buddy Przyszłości.

Przyglądałem mu się przez dłuższą chwilę, nie mogąc oderwać od niego oczu. Dlaczego lama nadał mi imię Jhampa? Przyjąłem to do wiadomości i nawet nie zapytałem o znaczenie tego imienia, ale teraz byłem pewien, że wybrał je nieprzypadkowo, chciał za jego pośrednictwem coś mi przekazać.

Miałem przy sobie list od lamy, dzięki czemu dano mi w klasztorze pokój z jedwabnymi zasłonami, z konwią wody do mycia, baraniami skórą na podłodze, z umieszczonymi wszędzie posążkami Buddy i jego obrazami, z naczyniami, miseczkami na herbatę lub ziołowe napary. W kadzielnicy paliło się kadzidło. Odwykłem już od takiego komfortu i nie mogłem uwierzyć własnym oczom.

Rano, gdy tylko usłyszałem pierwszy dźwięk gongu, dołączyłem do mnichów, mając nadzieję, że zobaczę Ono Kashiguriego i być może Jane. Wszyscy mnisi mieli ogolone głowy i szare szaty. Jeden z nich wylewał wodę na kamienie przed frontem świątyni. Zapaliłem kadzidło i zauważyłem, że przygląda mi się jeden z mnichów. Mimo mojej ogolonej głowy domyślił się, że jestem obcy.

Podszedłem do niego, powiedziałem, że przyjechałem od lamy i zapytałem, czy w

klasztorze jest Ono Kashiguri.

Odpowiedział po angielsku, niezbyt pewnie się nim posługując, że Ono Kashiguri wyjechał do Indii, by wziąć udział w wielkim święcie, i że inni szykują się, by podążyć za nim.

Kilka dni potem wraz z pięcioma mnichami z klasztoru znalazłem się w zatłoczonym pociągu jadącym do Indii. Moi towarzysze podróży recytowali mantry, w zamian za co dostawali niekiedy coś do jedzenia.

Warunki podróży były trudne. Ludzie, przygotowani do wielodniowej jazdy, gotowali posiłki w przedziałach. Pociąg nie przekraczał szybkości czterdziestu kilometrów na godzinę. Zatrzymywał się na zatłoczonych stacjach, gdzie wsiadali kolejni pasażerowie i jakimś cudem znajdowało się dla nich miejsce.

Zmierzaliśmy do Bodgaja, najważniejszego i tłumnie odwiedzanego świętego miejsca w południowych Indiach, ze świątynią Mahabhodi, mającą kształt piramidy wysokości pięćdziesięciu metrów, u której podnóża stoją cztery małe wieże. W tej świątyni znajduje się ogromny posąg Buddy, z ręką w geście dotykania ziemi.

Podczas tej długiej podróży widziałem wiele posągów Buddy na skraju dróg, w miasteczkach, przed świątyniami. W końcu zapytałem jednego z mnichów, kim tak naprawdę był Budda, bo nie słyszałem o nim nic poza tym, co powiedział mi lama.

- Jesteś uczniem lamy i nie znasz historii Buddy?

- Jestem nowicjuszem. A ty jesteś uczniem Buddy?

- Jestem uczniem Ono Kashiguriego - odrzekł młody mnich. - To do niego się udaję.

- Ale jesteś też uczniem Buddy, prawda?

- Oczywiście. Opowiem ci jego dzieje - rzekł młody mnich, jakby litując się nade mną, że jestem takim ignorantem. - Dzieje księcia Siddharthy...

Kołysany stukotem kół pociągu, słuchałem dla zabicia czasu tej historii, nie podejrzewając nawet, jak bardzo zaważy ona na moim życiu.

- Historia ta ma swój początek - zaczął młody mnich - dawno temu, około pięćsetnego roku przed naszą erą. Piękna młoda królowa oczekiwała narodzin dziecka. W tym samym czasie w niebie przebywał człowiek błogosławiony, który rozmyślał o swoim ostatnim pojawieniu się na ziemi, o swojej kolejnej reinkarnacji. Miał już za sobą wiele wcieleń, ale szukał reinkarnacji najdoskonalszej, która pozwoliłaby mu osiągnąć najwyższy stopień wyzwolenia prowadzący do nirwany. Gdy zobaczył, ile było piękna i mądrości w pałacu w

Kapilawastu, postanowił wybrać ród Śiakja, by pojawić się wśród ludzi po raz ostatni. W chwili gdy podjął tę decyzję, na tarasach pałacu ujrzano setki ptaków, drzewa okryły się kwiatami, w sadzawkach zakwitły błękitne lotosy. Widząc to, królowa wycofała się do swojej komnaty, gdzie pogрузzyła się w długiej medytacji.

A kiedy nadszedł moment porodu, udała się do przepięknych ogrodów, znajdujących się przy bramach miasta. Urodziła dziecko na stojąco, trzymając się prawą ręką gałęzi drzewa. Wtedy niebo się rozdarło i ukazali się dwaj królowie Naga z królestwa węży oraz źródło zimnej wody, w którym można było zgodnie z rytuałem obmyć noworodka. Dano mu imię Siddhartha.

Starzec Aśita, asceta przybyły z Himalajów, przepowiedział mu wspaniałą przyszłość. To on pierwszy dostrzegł w nim przyszłego Buddę. Zniesiono dziecko do świątyni, gdzie znajdowały się posągi bóstw wedyjskich.

Gdy chłopiec dorósł, zachwycał nauczycieli swoją mądrością, wiedział bowiem o wiele więcej niż starzy ludzie. Pewnego dnia księżę był na polu i ujrzał zerwane ziele, a w jego liściach jajeczka owadów, które skazane były na śmierć. Głęboko tym poruszony, przekonany, iż jest świadkiem straszliwej niesprawiedliwości, usiadł w cieniu różowej jabłoni. Po raz pierwszy pogрузzył się w rozmyślaniach nad powszechnym cierpieniem. Słońce dawno już zaszło, ale on nie kładł się spać.

Kiedy Siddhartha wyrósł na młodzieńca, postanowiono znaleźć mu żonę. Zebrano wszystkie młode dziewczęta z całego kraju. Była wśród nich dziewczyna z rodu Gopa, jednak jej ojciec zażądał, aby Siddhartha udowodnił odwagą i siłą, że na nią zasługuje. Zorganizowano więc turniej, podczas którego Siddhartha jako jedyny zdołał napiąć łuk swego bohaterskiego przodka.

Siddhartha poślubił dziewczynę z rodu Gopa i odkrył uroki miłości. Nie przestawał jednak myśleć o nieszczęściach trapiących świat. Ojciec, który widział jego cierpienie, wydał rozkaz, aby wszelkie objawy ludzkiej niedoli usuwano sprzed oczu wrażliwego księcia.

Pomimo tych środków ostrożności Siddhartha spotkał cztery istoty, które miały odmienić jego życie. Byli to starzec, chory, zmarły i asceta. Po spotkaniu z tym ostatnim, którego łagodność i spokój zrobiły na nim ogromne wrażenie, sam postanowił zostać ascetą. Nie uległ ojcu, który próbował mu to wyperswadować, nie zmienił zdania. Ani muzycy, ani ogrody pełne kobiet nie zdołały sprowadzić go z tej drogi. Pewnej nocy wyszedł z pałacu i przywołał swego koniuszego. A ten zapytał: „Dokąd chcesz jechać, panie o długich rzęsach i oczach pięknych jak płatki lotosu?”. Na co Siddhartha odparł: „Jadę tam, dokąd powinienem jechać”. I pogalopował w noc, daleko od królestwa i ogrodów rozkoszy.

Miał wówczas dwadzieścia dziewięć lat i był to dzień jego urodzin.

Wjechał w las, ściął swoje długie włosy i rzucił je w niebo, gdzie przyjęli je bogowie. Zdjął wykwintne książęce szaty i zamienił je na ubogi strój napotkanego myśliwego. Żył odtąd w lesie, nie był już Siddharthą, ale mnichem Gautamą, ascetą z rodu Śiakja. Spotykał mistrzów bramińskich, odwiedzał różne miasta. Wtedy właśnie zaczął wędrować po różnych krajach, głosząc nowinę, przyjmowany życzliwie przez tych, którzy zechcieli udzielić mu gościny. Spotkał władcę królestwa Magadha, który zaproponował, że odda mu połowę swego państwa. Siddhartha jednak nie uległ tej pokusie.

Żeby żyć, zebrał. Aby stać się mędrce i oderwać się od świata ziemskiego, medytował w pozycji lotosu. Pościł i umartwiał się. Przez sześć lat Siddhartha wiódł życie ascety. Codziennie wykonywał bardzo trudne ćwiczenia oddechowe, zamykał usta, zaciskał zęby, tak mocno przyciskał język do podniebienia, że oblewał się potem. Wstrzymywał oddech tak długo, że omal nie popękały mu bębenki. Pościł aż do skrajnego wyczerpania, żeby stać się panem swego ciała i myśli. Wraz z nim uczyło się i medytowało pięciu uczniów. Pewnego dnia, gdy był już bardzo osłabiony, spadło z niego postrzępione ubranie. Wówczas wziął całun jakiegoś zmarłego, uprał go w sadzawce i owinał się nim niczym szatą mnicha. Postanowił odstąpić od ascezy. Wyruszył na poszukiwanie jedzenia. Pięciu jego uczniów, uznając tę rezygnację z postu za niewybaczalny objaw słabości, opuściło go i udało się do Benares.

Tak więc Siddhartha zjadł ryż i wypił mleko, które ofiarowała mu młoda dziewczyna z wioski, potem wykapał się w rzece, a następnie wyruszył do Bodgaja, gdzie znajdowało się drzewo wiedzy i mądrości, święty figowiec *bodhi*. Usiadł u jego stóp i pogrążył się w medytacji. Znowu zaczął myśleć o złu i o bólu.

I wtedy doznał iluminacji. Odkrył, że wszyscy zbyt koncentrują się na sobie, na świecie materialnym. Doszedł do wniosku, że jeśli zapanuje się nad chęcią istnienia, wykluczy się ból. W taki to sposób przez odkrycie doskonałej mądrości Siddhartha doszedł do stanu Buddy.

Po tym duchowym wysiłku przyszedł czas na siedmiodniowy odpoczynek, w trakcie którego Siddhartha cieszył się słodyczą wyzwolenia. Potem wstał, udał się do Benares i wprawił w ruch Koło Prawa, czyli zaczął nauczać. Gdy dotarł do tego miasta, poszedł do Jeleniego Parku i odnalazł tam pięciu uczniów, którzy go wcześniej opuścili. Nawrócił ich. Dokonał tego, wygłaszając kazanie nazwane później *kazaniem z Benares*. Mówił im, że należy unikać dwóch skrajności - nadmiernego oddawania się przyjemnościom, bo jest to niskie, przyziemne, sprzeczne z istotą ducha, oraz skrajnego umartwiania się, bo jest smutne,

czcze. Mówił im, że doskonałość jest daleka od tych skrajności. Odkrył drogę, która biegnie pośrodku, prowadząc do wiedzy, oświecenia, nirwany.

Potem na nowo podjął wędrowne życie. Chodził od miasteczka do miasteczka, głosząc swoją naukę i czyniąc cuda. Przybył do Srawasti w królestwie Kosala, osiadł tam i dokonał Wielkiego Cudu. Podczas zorganizowanego przez króla tego kraju turnieju cudów, gdzie rywalizowali ze sobą asceci, widziano Buddę, jak unosił się nad ziemią, a jego ciało emanowało przeróżnymi kolorami. Niedługo potem dostrzeżono go siedzącego na lotosie stworzonym przez królów Naga. Po jego prawej stronie znajdował się Brahma, po lewej Indra, niebo wypełniło się lotosami, a w każdym był cudowny Budda.

Czynił dobro i głosił nauki przez ponad czterdzieści lat. Po jakimś czasie przyjął dość niechętnie do swego grona kilka kobiet. Od wielu już lat nie widział swej żony.

Budda miał siedemdziesiąt dziewięć lat i nadal nauczał, a jedzenie zdobywał, żebrząc. Pewnego dnia powiedział do swego ukochanego kuzyna i ucznia, Anandy, że chciałby przedłużyć swój pobyt w tym miejscu, ale ten trzykrotnie zapominał o tym, żeby prosić go, by dalej żył. Budda wybrał wówczas drogę Całkowitego Unicestwienia. Gdy Ananda zgromadził wszystkich mnichów, ich błaganie sprawiło, że pozostał na ziemi nieco dłużej.

Gdy Budda był już bardzo stary i czuł zbliżającą się śmierć, wyruszył na północ kraju, by zobaczyć klasztory, które założył. Do Anandy, jedynego ucznia, któremu pozwolił sobie towarzyszyć, powiedział: „Jestem starcem, który dotarł do końca swej drogi. Bądźcie więc sami sobie światłem. Bądźcie sami sobie schronieniem. Trzymajcie się światła prawdy”. Kazał przygotować sobie łoże śmierci na brzegu rzeki, między dwoma bliźniaczymi drzewami, które wkrótce okryły się kwiatami. I znowu powiedział do uczniów: „Pamiętajcie, że wszystko, co zostało złożone, musi się rozpaść. Nie ustawajcie w swoim dążeniu”.

Wyprawiono mu pogrzeb należny królewskiemu synowi. Przez siedem dni odbywały się tańce i grała muzyka, a potem ciało spalono. Umarł, nie pozostawiając następcy.

Po raz pierwszy człowiek został ogłoszony nauczycielem bogów.

Po trzech dniach wyczerpującej podróży dotarliśmy wreszcie do Bodhgaja, miasta w kolorze pyłu, jak ziemia, na której stało, miasta na krańcach świata, w stanie tak rozpaczliwym, jakiego nigdy wcześniej nie widziałem. Pod starymi murami leżeli w kurzu, z obłędem w oczach, żebracy i kaleki. Chciałem zatrzymać się przed każdym, ale był ich nieprzebrany tłum. *Tak, jesteś pozbawiony wszystkiego. Nie mów jednak, że ponieważ jesteś biedny, nie możesz odnaleźć prawdziwej wiedzy. Ale jak szukać mądrości, gdy ma się pusty brzuch?*



Poszliśmy aż do świętej rzeki, która nazywa się Nairanjana. Następnie dotarliśmy do stóp figowca, drzewa, pod którym Budda po siedmiu tygodniach medytacji osiągnął oświecenie. Wszyscy pielgrzymi przeżywali w tym miejscu ogromną radość, niektórzy nawet płakali ze szczęścia.

Mnisi tłoczyli się wokół głównej budowli, której dwanaście rzeźbionych kondygnacji zdawało się sięgać nieba. Zbity tłum otaczał posąg Ganesza, boga z tułowiem człowieka i głową słonia, przynoszącego do domów pomyślność.

Skierowano nas do klasztoru tybetańskiego, gdzie stał wysoki budynek otoczony licznymi namiotami.

Ujrzelśmy tam nieprzebrany tłum. Do tego miejsca przybywali pielgrzymi z bardzo daleka. Tybetańczycy, ludzie z Zachodu i Azji... Niektórzy robili wrażenie zamożnych, inni całkiem ubogich. Wśród nich kręcili się tacy, którzy rozglądali się na wszystkie strony, jakby śledząc całe to zbiegowisko. Pewnie stanowili coś w rodzaju policji.

Na wysokości głowy Buddy zobaczyłem Ono Kashiguriego. Nie słyszałem, co mówił, więc zacząłem przeciskać się przez zbity tłum.

Wreszcie znalazłem się blisko niego. Stojąc na podium, górował nad wszystkimi. Nie miał opaski na oku, nie był pijany, jak wtedy, gdy widziałem go w domu gejsz. Był taki, jakim go poznałem w klasztorze - to był mój nauczyciel, wesoły, z życzliwym wyrazem twarzy.

- Przyjaciele moi - mówił po angielsku - wiek dwudziesty pierwszy będzie wiekiem japońskim, o ile zdołamy przeciwstawić się naszym wrogom, którzy pragną zapanować nad całym światem, kolonizują Europę i Amerykę, a także Bliski Wschód. Czy Żydzi mają opanować Japonię tak, jak opanowali Europę i Amerykę? W prowincji Yamato wokół Kioto znajdują się dwa starożytne miasta - Goshen i Menashe. W mieście Usumasa, w miejscu należącym do rodu Chada, tysiąc pięćset lat temu wyryto na kamieniu nazwę „Izrael”. Oni są tutaj, potajemnie, między nami, potężni jak dawniej! Tak, chociaż o tym nie wiecie, Żydzi opanowali Japonię, a my musimy ich stąd wypędzić! Tak, przyjaciele, oni opanowali nawet pałac cesarski!

W tym momencie odwróciłem się i zobaczyłem ją.

Jane. Ubrana w kimono, stała nieco z tyłu. Nie zdawała sobie sprawy, że na nią patrzę. Miała twarz pomalowaną na biało, tak jak w domu gejsz. Jednak to nie makijaż czynił ją inną, lecz oczy, które wydawały się zagubione w pustce, w obojętności. Jakby patrzyły i nie widziały.

- Nie ufajcie Żydom - przemawiał dalej Ono Kashiguri, zwracając się do swoich

wyznawców. - Wszystko, co powiedzą, jest fałszywe. Zbudowali w Kioto szkołę. Nosi nazwę Bejt Szalom. Twierdzą, że „Kioto” znaczy „stolica pokoju”, a Tokio w języku hebrajskim to stolica Wschodu. Ale to nieprawda. Mają miecz o siedmiu ramionach, miecz o złowieszczej mocy, któremu nadali nazwę *menom*. A my wkraczamy w tysiąclecie przepowiedziane w Objawieniu. Wkraczamy w epokę Antychrysta, ale on zostanie pokonany w bitwie, gdy nastanie Armagedon. Tak, Antychryst jest wśród nas!

Zobaczyłem, że jakiś mnich szepcze coś do ucha Ono, pokazując mnie palcem. W moją stronę biegli jacyś ludzie, ale wmieszałem się w tłum. Ponieważ byłem ubrany jak inni i miałem ogoloną głowę, jak wielu słuchaczy, wymknąłem się, nie zwracając niczyjej uwagi, zastanawiając się nad tym, co usłyszałem.

Wieczorem wśliznąłem się do obozowiska. Dotarłem bezszelestnie do miejsca, gdzie przemawiał Ono Kashiguri. Tuż obok zobaczyłem małą jurtę.

Ponieważ w pobliżu nikogo nie było, zajrzałem do środka i ujrzałem Jane leżącą na posłaniu. Czy spała? Leżała bez ruchu, ale oczy miała szeroko otwarte, podkrążone. Duże sińce odcinały się wyraźnie na jej pięknej twarzy.

W półcieniu dostrzegłem nieruchomą sylwetkę człowieka, od którego biło dziwne światło, przywodzące na myśl zjawę z fosforyzującymi oczami.

Przypomniałem sobie słowa mistrza:

„Nie poruszaj się ani za szybko, ani za wolno, każdy ruch powinien być pewny i naturalny. Zajmij pozycję nie za daleko, ale też nie za blisko - zastosuj właściwy środek. Jeśli działasz za szybko, świadczy to o twoim zbytym ożywieniu; jeśli za wolno - zdradzasz swą nieśmiałość, wręcz strach”.

Całkowicie opanowany, wsunąłem się do wnętrza jurty. Mimowolnie zamrugałem, gdy coś musnęło moje powieki.

Nie drgnąłem, gdy przytknął nóż do mojej twarzy, pochyliłem się tylko - w ten sposób pokazałem, że panuję nad sobą.

Mój umysł zachował absolutny spokój. Dostrzegłem drugi ruch wroga w moim kierunku. Jego czas reakcji był dłuższy, niż się spodziewałem, zareagowałem więc natychmiast.

Zastosowałem technikę bez użycia miecza, dzięki której można uniknąć śmierci, gdy jest się bezbronnym. Zachowując się tak, jakbym nie widział jego broni, walczyłem, wykorzystując okoliczności. Wykonałem ruch, jakiego nauczyłem się na treningach krav maga, jednocześnie stosując strategię zalecaną przez mistrza Shôjû Rôjina.

Robiłem uniki przed jego atakami, pozwalając, by się zmęczył. W ten sposób wykonywał niepotrzebne ruchy, a ja nawet nie próbowałem mu się przeciwstawiać. Starłem się odgadnąć najmniejszy jego zamiar, uchwycić rytm mojego przeciwnika, w miarę jak tracił energię. Wiedziałem, że jeśli przegapię właściwy moment, kontratak nastąpi natychmiast.

Po kilku minutach przeciwnik zaczął ciężko dyszeć. Wiedziałem, że najważniejsze to wykorzystać najmniejszy objaw jego osłabienia, nie stracić okazji.

W tym celu zastosowałem technikę polegającą na ruchach cieni. Udałem, że szykuję się do gwałtownego ataku, żeby przekonać się, co on zamyślał, po czym zatrzymałem się, wiedząc, że ma zamiar mnie uderzyć. Znieruchomiałem dokładnie w tym momencie, gdy w jego głowie zakiełkowała myśl: „Pokażę mu, że to ja kontroluję się lepiej od niego”. Ogarnęło go wielkie podniecenie, wyglądało na to, że za sekundę się na mnie rzuci. W tej samej chwili przyjąłem postawę nonszalancką, rozluźnioną, jakbym wcale się tym nie przejmował. Dał się zwieść do tego stopnia, że sam się rozluźnił. Wtedy znienacka zaatakowałem go, a on upadł na ziemię.

Nadbiegli jego towarzysze. Ze sztyletami w rękach szykowali się, by mnie zaatakować.

Byłem gotów na odparowanie ciosu, gdy tylko go wyczuję, bez zbędnego zastanawiania się.

Należało wytrącić napastnikom sztylety z rąk. Nie mogłem jednak koncentrować myśli na atakujących, na ich broni, na odległości między nami, bo wówczas moje działanie będzie nieudane. Wiedziałem, że mój umysł nie powinien skupiać się ani na przeciwnikach, ani na mnie samym.

„Wszelkie twoje działania stracą skuteczność, jeśli będzie im towarzyszyć twoja myśl i jeśli przystąpisz do nich zbyt skoncentrowany”.

Moje ciało, nogi i ręce działały bez najmniejszej interwencji myśli. Tym sposobem dziewięć razy na dziesięć osiągałem swój cel. Kiedy jednak uświadamiałem sobie, co robię, trafiony przez przeciwnika, padałem na ziemię. Podnosiłem się szybko i zręcznie, ponieważ nie bałem się upadku i umiałem padać. Od momentu kiedy wyłączyłem świadomość, wygrywałem wszystkie starcia. Myśli stanowiły blokadę, starałem się więc być skoncentrowany tylko na samej walce. Miałem siłę i umiejętności, w moich ruchach nie było ani napięcia, ani zbyt luźnego rozluźnienia. Rozbroiłem jednym zdecydowanym ruchem pierwszego napastnika, potem drugiego i stanąłem naprzeciwko nich z dwoma sztyletami.

Atakowali mnie na zmianę. Odparowywałem cios i natychmiast o tym zapominałem, szykując się do odparcia kolejnego.

Panowałem doskonale nad wszystkim: nad oddechem, energią wewnętrzną, uwagą i umysłem. Intuicyjnie odgadywałem zamiary przeciwników i dlatego uprzedzałem ich ruchy, tak że nie byli w stanie mnie dosięgnąć. Wyczuwałem ich agresję skierowaną przeciwko mnie, ale nie wolno mi było poddać się strachowi.

Musiałem zwyciężyć jak woda, która nie przeciwstawia się nikomu i której nikt nie może się przeciwstawić, która ustępuje przed nożem, ale nie daje się rozciąć, której nie można zranić, choć się nie opiera. Musiałem zwyciężyć jak wiatr, którego nic nie zatrzyma, jak burza, jak rozszalałe morze, jak niezdobyta góra, musiałem zwyciężyć jak siedmiuset rycerzy szykujących się w dniu zemsty do walki o chwałę i sprawiedliwość, musiałem zwyciężyć, mając serce zdecydowane na wszystko, musiałem zwyciężyć tych, których kolana drżą, musiałem zwyciężyć i być niepokonanym.

Wbijałem w nich po kolei wzrok, aby wytrącić ich z równowagi.

Udało mi się ich osłabić, zasiać niepewność w sercach. Czyniąc ich w ten sposób bezbronnymi, atakowałem tam, gdzie się nie spodziewali. Byłem przebiegły, niemal niewidzialny. Byłem tajemniczy, niesłyszalny.

Na koniec wydałem z siebie *kiai* - krzyk wewnętrznej energii. W tej samej sekundzie jednym ciosem powaliłem na ziemię pierwszego, potem drugiego napastnika. Trzeci zdążył uciec.

Wziąłem Jane na ręce. Wyniosłem ją czym prędzej poza obozowisko.

Niosłem ją na plecach i oddalając się jak mogłem najszybciej od tego miejsca, zmierzałem do małego hoteliku, który wcześniej zauważyłem na skraju miasta. Przed drzwiami spali żebracy. Pomyślałem, że tej nocy będą moimi strażnikami.

Położyłem Jane na łóżku. Spała głębokim niezmaconym snem.

Przyglądałem jej się przez chwilę. Wyglądała jak anioł, jej oddech był spokojny, skóra, bielsza niż zazwyczaj, robiła wrażenie nieskalanej. Była tak piękna jak pierwszego dnia.

Zadzwoiłem do Shimona, żeby go powiadomić, iż odnalazłem Jane.

- Jak ona się czuje? - zapytał.
- Śpi. Robi wrażenie wyczerpanej.
- Czy brała narkotyki?
- Narkotyki? Nie wiem. Może...
- No tak... Musisz ją teraz przefiltrować.

- Nie rozumiem. O czym ty mówisz?

- Ary, musisz wiedzieć, że podstawą indoktrynacji w sektach jest manipulowanie psychiką lub formowanie fizyczne. Jane sama zdecydowała się wkręcić do tej sekty. Jednak w tym celu musiała poddać się wpływowi swego guru. Niewielu ludzi jest w stanie oprzeć się intensywnej manipulacji psychologicznej stosowanej w sektach. Człowiek staje się robotem, maszyną z zaprogramowanymi nowymi ideami i nowymi procesami myślowymi.

- Myślisz, że została gejszą, ulegając wpływom sekty?

- Często zdarza się, że członek sekty pozbawiony jest własnego osądu. Związany uczuciowo z innymi członkami sekty, jest skłonny zrobić wszystko, czego chcą. Prowadzi to nawet do zbiorowych samobójstw. Możliwe, że ona nie zdaje sobie teraz sprawy, co się z nią dzieje, że w ogóle nie chce tego wiedzieć.

- Ale dlaczego? Dlaczego CIA wysłała ją samą na tak niebezpieczną misję?

- CIA interesuje się sektami azjatyckimi. Sun Myung Moon cieszył się poparciem CIA, która pomogła mu w lansowaniu działalności stworzonej w Korei sekty.

- W jakim celu?

- Miał to być bastion przeciw komunizmowi, organizujący sprzedaż i produkcję broni. Przypuszczam, że kiedy wysłali Jane z tą misją, nie zdawali sobie sprawy z rozmiarów zagrożenia.

- Czy uda się ją wyrwać spod ich wpływu?

- Zdaniem eksperta, z którym się konsultowałem, w fazie zwanej *deprogramming*, próbuje się pozbawić człowieka wszelkich myśli, a to może prowadzić do pojawienia się ogromnego wewnętrznego niepokoju, wynikłego z braku punktów odniesienia. To właśnie określa się słowem „przefiltrować”.

- A co potem?

- Następuje okres intensywnego zwątpienia, może wystąpić depresja. Stres, brak uczuć i zainteresowania światem zewnętrznym.

- A co potem?

- Potem? Nie wiem - przyznał Shimon.

Odłożyłem słuchawkę zupełnie zbity z tropu. Spojrzałem na Jane, która nadal spokojnie spała.

W tym momencie pojąłem sens słów mistrza Shōjū Rōjina: „Ego przeszkadza w widzeniu rzeczy takimi, jakimi są, jesteś ofiarą własnych uprzedzeń, twoim największym wrogiem nie jest ten, którego za takiego uważasz”. Moje ego, moja duma mnie oślepiły.

Mając żal do Jane, zostawiłem ją samą, podczas gdy ona potrzebowała mojej pomocy. Żeby to zrozumieć, musiałem przebyć długą drogę, której celem było pozbycie się ego, co pozwoliło mi odkryć prawdę, że Jane nie była prostytutką, że uległa wpływowi sekty. Przystąpiła do sekty, ponieważ była odważna, godna podziwu, zaryzykowała życie.

Przewróciła się z jednego boku na drugi. Twarz miała zlaną potem. Nagle przebudziła się, rozejrzała. Nie wiedziała, gdzie jest.

- Jane - odezwałem się - jesteś teraz ze mną. Już nie musisz się bać.

Patrzyła na mnie przerażona.

- Jane, co ci jest? Jak się czujesz?

- Co my tu robimy? Gdzie jesteśmy?

- W hotelu. Zabrałem cię z jurty, gdzie byłaś przetrzymywana. Przybyłem, żeby cię odnaleźć i zabrać daleko od nich.

- Ale jak się tu znalazłeś?

- Śledziłem cię.

- Dlaczego to zrobiłeś? Nie trzeba było...

- Już ci lepiej?

- Tak. Muszę tam wrócić.

- Wrócić?! - wykrzyknąłem. - Nawet o tym nie myśl. Byłaś ich więźniem, Jane.

Pilnowali cię.

- Nie - pokręciła głową. - To nieprawda. Muszę tam wrócić.

- Nie możesz, nie pozwolę ci na to. Rozumiesz?

- Nie mogę tu zostać. Tam dzieje się coś ważnego i powinnam tam być.

- Co takiego ważnego tam się dzieje?

- Coś... Nie pamiętam...

- Spróbuj sobie przypomnieć.

- Nie wiem... To tak jak w majakach sennych: zostaje ich wrażenie, ale nie pamięta się treści. Pamiętam tylko, że to ważne... jakiś spisek. Muszę się tego dowiedzieć!

- Nigdzie się stąd nie ruszysz. Nie pozwolę na to.

- To się okaże - powiedziała. Skoczyła do drzwi, ale zachwiała się i musiałem ją podtrzymać, żeby nie upadła.

- Nic mi nie jest, zaraz poczuję się lepiej.

- Myślę, że podano ci narkotyki lub zahipnotyzowano.

Spojrzała na mnie zdziwiona.

- Skąd ten pomysł?

- Bo nie zachowujesz się normalnie!

- A ty jesteś normalny? Co możesz wiedzieć o innych, o tym, co się tam dzieje? Co jest normalne, a co nienormalne?

Zmieniła się na twarzy, jej rysy stwardniały. Patrzyła na mnie niemal z nienawiścią. Nie poznawałem jej.

- Jane, kiedy zobaczyłem cię w domu gejsz, sama mówiłaś, że to sekta, niebezpieczna sekta, o ogromnych możliwościach!

- Teraz jest inaczej.

- Nie wierzysz już w to, co mi mówiłaś?

- A co takiego ci powiedziałam?

- Że Ono Kashiguri to guru, że kazał mordować ludzi, że ma ogromne środki, żeby czynić jeszcze więcej zła.

Patrzyła na mnie z powątpiewaniem.

- To nieprawda. Dlaczego zostawiłeś mnie bez jednego słowa? Wiedziałeś, że nie mogłam pojechać za tobą, bo nie miałam za co.

- Wiem, Jane. Byłaś sama, a ja cię opuściłem. Robię sobie z tego powodu ogromne wyrzuty.

- Wszyscy byli dla mnie bardzo mili. Odkryłam sporo rzeczy.

Położyła się na łóżku i zamknęła oczy, jakby chciała wszystko sobie przypomnieć.

- Odbywały się tam długie, bardzo długie seanse z mantrami...

- Mantrami?

- Trzeba było powtarzać jeden dźwięk, jedną sylabę lub zdanie w różnym rytmie. Takie powtarzanie wprawiało w stan bliski snu, ale nie był to sen, raczej trans. Czułam się potem bardzo dobrze, mogłam wszystko zrobić, wszystko powiedzieć. Kiedy zobaczyłam cię w domu gejsz, to był dopiero początek, nie mogłam ci o tym mówić, ale... Czułam się zupełnie pusta. A później - dodała, patrząc na mnie - poznałam miłość, prawdziwą miłość. Nie taką, która opuszcza, ale taką, która jest otwarta na wszystkich. Miłość zmieniającą wszystko, czego dotknie. Podążając w jej świetle, uczyliśmy się kochać i być kochanymi przez wszystkich. A on...

- Kto?

- Ono Kashiguri. Spotkanie z nim to chyba najważniejsza rzecz w moim życiu. Zmienił moje postrzeganie świata. Nauczył, jak mam podsycać swoją energię. Zrozumiałam, że mogę zmienić wszystko, co zechcę, zmieniając jednocześnie samą siebie. Nieustannie powtarzam sobie, że każda istota na tej planecie ma duszę. Przypominam sobie, kim jestem,

bo zapomniałam o tym z powodu nawału pracy i podróżowania po całym świecie. Ale po co? W jakim celu?

Mówiła wolno, jakby była zmęczona. Jakby pograżyła się we śnie. Potem zaczęła cichutko śpiewać, lekko się przy tym kołysząc.

- Opowiedz mi, co on ci mówił. Co się działo? Czy zdarzyło się coś, co wpłynęło na zmianę sytuacji?

- Pewnego wieczoru, po mantrach, miałam wizję. To było coś niezwykłego. Nie wyobrażasz sobie, co to znaczy, gdy się dosięga własnego ja.

- Jakie to były wizje?

- Jakby reminiscencje z poprzednich egzystencji, pojawiały się wolno, jedna po drugiej. Potem ich miejsce zajęła jakaś istota. Była potężna i życzliwa, spoglądała na mnie z ogromną miłością, z wyrozumiałością. Przyjęła mnie do siebie i powiedziała: „Jestem twoim prawdziwym ja”. Powiedziała mi wszystko, co od zawsze chciałam wiedzieć o sobie, o moim otoczeniu, mojej rodzinie, życiu zawodowym i o tobie, Ary. Po moich policzkach zaczęły płynąć łzy, choć wcale tego nie chciałam. Zmieniłam się, gdy pojęłam wewnętrzny porządek rzeczy.

- A co ze mną?

- Dla ciebie także jedyną nadzieją na przeżycie jest prawda.

- Jaka prawda?

- Taka, którą trudno zobaczyć od razu. Co ja zrobiłam ze swoim życiem? Przez wszystkie dni podejmowałam ryzyko, coraz bardziej się narażałam. A z czym walczyłam?

- Z sektami, Jane. Walczyłaś z propagatorami fałszywych idei. Na tym polega twoje życie, twoja praca, twoja ideologia.

- Myliłam się. Byłam zindoktrynowana przez CIA. Byłam manipulowana przez tych, którzy kazali mi wierzyć, że jestem im potrzebna. Uległam indoktrynacji i co mam z życia? Nic, czego nie mogłabym porzucić.

- Twój ojciec był pastorem. Przekazał ci wiarę chrześcijańską.

- Chrystus! Ary, czy wiesz, ile kłamstw głoszono o Chrystusie i w imię Chrystusa? Chrystus nie istnieje. Istniał Jezus, i wcale nie jest pewne, czy chciał być Chrystusem.

- A ja, czy już nic w twoim życiu nie znaczę?

- Gdy cię poznałam - powiedziała ze smutnym uśmiechem - rozpadło się wszystko, czego do tej pory byłam pewna. Całe życie cię szukałam, pragnęłam i kochałam, a ty byłeś gdzieś indziej, zawsze gdzieś indziej... A ja nie chciałam wiedzieć, gdzie jesteś. Wiesz dlaczego?



- Nie.

- Bo w głębi duszy to mi odpowiadało. Cała ta historia była absurdalna, ale stanowiła pewne urozmaicenie. Wypełniała pustkę mojego życia.

- A ja i ty?

Jane popatrzyła na mnie obojętnie.

- Wszyscy jesteśmy częstkami boskiej energii, dającej wszelkie życie.

- Chodź tu - powiedziałem - przytul się do mnie. Spojrzałem jej w oczy. Jej powieki drgały, wydawała się bardzo wzburzona. Wzięłem ją z rękę i szepnąłem gorąco:

*- Zaklinam was wszystkie demony, które wnিকacie w ciało, ciebie, demonie, który powodujesz zgubę mężczyzny, i ciebie, który powodujesz zgubę kobiety. Zaklinam was w imię Pana, który usuwa nieprawości, demonie gorączki, demonie dreszczy i ciebie, demonie chorób piersi. Nie macie prawa siać niepokoju w nocnych snach ani w dzień podczas drzemki. Zaklinam was, inkuby, sukuby, was, wszystkie demony, które przenikacie przez mury. Błagam cię, duchu, zaklinam na ziemię, na chmury...*

- Co ty mówisz, Ary? Oszalałeś? Zostaw mnie! - krzyknęła, wrywając się z moich objęć.

- Tak! Szaleję z rozpaczy, widząc cię w takim stanie, szaleję z bólu i ze smutku, że cię wtedy zostawiłem. Ale nie wiedziałem... nie wiedziałem...

Rozplakałem się. Szlochałem, nie mogąc powstrzymać łez.

- Przytul się do mnie - szepnęła Jane.

Objąłem ją.

- Wybacz mi.

- Przyjechałeś, żeby mnie odnaleźć, Ary?

- Tak, przyjechałem aż tutaj dla ciebie.

Jej oczy napelniły się łzami.

- Ary, ja... ja się boję.

- Czego?

- Tutaj... - Pokręciła głową, kładąc moją rękę na sercu. - Moje serce jest puste...

Długo płakała z głową na moim ramieniu, a jej łzy były niczym potok spadający z górskiego zbocza. Wyrażały bezbrzeżny smutek, którego przyczyn bałem się poznać. Straciła wszystko, nawet samą siebie. Straciła wszystko, także miłość do mnie.

Zasnęła, a ja patrzyłem na nią, siedząc przy niej bez ruchu przez całą noc. Wpatrywałem się w nią, a moje oczy wypełniał jej obraz.

## VIII

### *Zwój święt*

*Potoki Beliala wystąpiły ponad wszystkie strome brzegi jak ogień trawiący wszystko, co go podsycyca, niszczący wszelkie drzewo zielone i suche z jego odnogami, ogarniający wszystko językami płomieni, aż do wyczerpania tego, co go podsycyca. Pożera wszelkie pokłady asfaltu i połacie suchej ziemi. Podnóża gór stają się pastwą, a korzenie krzemienne są jako potoki smoły. On pożera wszystko aż do największej głębiny. Potoki Beliala wytrysnęły do przepaści, a głębokości otchłani wzburzyły się z hukiem fal usuwających błoto. Ziemia zaś podniesie lament z powodu zepsucia, jakie nastąpiło na świecie, i jęczeć będą wszystkie jej zakątki, bo okazali się szaleńcami wszyscy, którzy na niej przebywają...*

Zwoje z Qumran  
Księga hymnów\*.

---

\* *Rękopisy z Qumran nad Morzem Martwym*, op. cit.

Gdy następnego dnia rano Jane otworzyła oczy, poczułem niezwykle, trudne do opisanego wzruszenie. Nie była to już namiętność, lecz coś silniejszego, bardziej prawdziwego, głębszego.

Osaczyły mnie wszystkie wspomnienia, wszystkie obrazy z poprzedniego dnia. Jane wydawała mi się daleka i zarazem bliższa niż kiedykolwiek, nigdy nie kochałem jej tak mocno jak w tym momencie. Zalała mnie fala gorącego uczucia, dostała się do każdego zakamarka mego serca. Miałem wrażenie, że poznaję na nowo czas miniony, daleki, jakbym dokonał odkrycia, którego nie da się wyrazić słowami. Namiętność do niej nie umarła we mnie, lecz dojrzała tak, że zamieniła się we współczucie.

Patrzyłem, jak się budzi. Przeżyliśmy nadzwyczajne, cudowne doświadczenie, potem była ucieczka, rozstanie. Teraz opiekowałem się nią, próbowałem uwolnić od słabości, nie zaślepiała już mnie duma. Teraz istniała dla nas tylko miłość.

Jane otworzyła oczy, które napełniły się łzami. Była taka daleka, tak przestraszona, budząca litość. Objęła mnie i przytuliła lekko, bo brakło jej sił, a ja czułem się szczęśliwy, że znowu się odnaleźliśmy.

Przypatrywała mi się zdziwiona.

- Ary, dlaczego masz ogoloną głowę? - zapytała cichym głosem.

Przeciagnałem ręką po głowie. Włosy zaczęły mi dopiero odrastać po tym, jak mnie ogolono, abym wyglądał jak mnich.

Nagle spojrzała na mnie przerażona.

- Nie! Nie! - krzychała w panice. - Nie chcę! Zostawcie mnie!

Wziąłem ją w ramiona. Jane śmiała się, płacząc, i płakała przez śmiech. Jej ciałem wstrząsały dreszcze. Wydawało się, że nic nie widzi, że przed oczami ma zupełnie coś

innego. Nie pojmowałem, jak osoba tak inteligentna jak ona, mogła dać się omamić sekcje. Wpatrywała się we mnie tępym wzrokiem. Sprawiała wrażenie, jakby pozbawiono ją jej własnego ja, własnych pragnień, wszelkich myśli i emocji.

Nie należała teraz do siebie, jakby zamieszkał w niej demon.

- Jesteś ze mną, wszystko będzie dobrze - szeptałem.

- Boję się - powiedziała, rozglądając się. - Boję się, że nas ścigają.

- Nikt nas nie ściga.

- A skąd wiesz, że ich tu nie ma?

- Wiem. Dobrze się rozejrzałem. Nie mogą wiedzieć, gdzie jesteśmy.

- Chyba że... - Popatrzyła na mnie jeszcze bardziej przestraszona. - Chyba że ty im powiedziałeś.

- Ja? Dlaczego miałbym to zrobić? Przecież przyjechałem, żeby cię ratować!

Pokręciła głową.

- Nie... to niemożliwe...

Musiałem walczyć, uwalniać ją, uwalniać siebie samego, odchodzić bez oglądania się do tyłu, udawać, mylić czujność, prowokować, ryzykować. Musiałem zwyciężyć, ale przede wszystkim pokonać siebie samego, musiałem się zatracić, żeby ją ujrzeć, żeby ją odnaleźć, a teraz to ona musiała się zatracić, żeby wrócić do mnie.

I nagle przeszedł mnie dreszcz, poczułem zawrót głowy w obliczu pustki, teraz i mnie ogarnął lęk, że gdzieś daleko w górach pojawiła się ogromna przepaść, że w nią wpadnę, że zostanę sam na świecie.

Straszna jest taka pustka! Trzeba stąd uciekać!

Zabrałem ją, zaniósłem w ramionach do pociągu, byle znaleźć się jak najdalej od niebezpieczeństwa. Jane wciąż była słaba, ale z każdą godziną odzyskiwała siły.

W pociągu, który wiozł nas do Delhi, obejmując się, wyczerpani minionymi wydarzeniami, kołysani nierównym rytmem kół, czuliśmy się sami na świecie.

Jane zapadała w sen, który usuwał osłabienie spowodowane obecnością narkotyku w jej organizmie. Śpiąc, przytuleni jedno do drugiego, jechaliśmy na kraniec świata. Kiedy się budziła, mówiła do mnie: „Jak pięknie”. Podziwiała krajobraz i dodawała: „Pośpijmy jeszcze”. A ja obserwowałem ją, niecierpliwie czekając, aż się przebudzi, kochałem każdy jej gest. W jej twarzy i oczach widać było zmęczenie, miała bladą, niezdrową cerę, spierzchnięte usta, ale mimo to była piękna.

Po czasie pośpiechu - spokojny pejzaż, nasz cel, nasza trasa na szczytach wzgórz; po chłodzie, po strachu i walce - spokojne rozgwieżdżone noce. My, kochankowie godzin, które idą w zapomnienie, kochankowie dni, które mijają, zatrzymajmy czas, pozostańmy tu na chwilę, a ta niech trwa cały dzień dla nas, zwróconych twarzami ku sobie w tym pociągu wiozącym nas w nieznane.

Postanowiłem, że zawsze będę ją wiódł ku szerokim przestrzeniom, ku wolności. Uciekłem się do wszelkich możliwych sposobów, żeby znowu ją mieć i razem z nią podziwiać wielkie jeziora, słodko pachnące drzewa w zagajnikach i lasach, na skraju łąk, nad brzegami rzek.

Kiedy wjechaliśmy na dworzec w Delhi, zaproponowałem Jane, że zawiozę ją do szpitala, żeby ją przebadano i poddano jakiejś kuracji.

- Nie ma mowy - odrzekła tak zdecydowanym tonem, jakiego dawno u niej nie słyszałem. - Musimy jechać do Kioto.

- Dlaczego właśnie do Kioto?

- Bo tam wybierze się zapewne Ono Kashiguri. Widział się już z ludźmi ze Siang Min, musi więc teraz...

- Czy wiesz, w jakim celu Ono Kashiguri chciał widzieć się z ludźmi ze Siang Min?

- Ponieważ są oni potomkami dawnych Izraelitów, przybyłych kiedyś do Chin.

- Do Chin? Skąd? Kiedy?

- Kiedy? Na długo przed Chrystusem. Dlatego także noszą gwiazdę Dawida. Przybyli z ziemi swoich przodków.

- Kiedy byłem w ich wiosce, zauważyłem, że niektóre z ich obyczajów przypominają starożytną tradycję izraelską. Używany przez nich pług jest podobny do tych, jakich używali dawni Izraelici, ciągną go dwa woły, a nie wół i osioł. A to jest zgodne z Biblią: *Nie ustawicie razem w zaprzęgu wołu i osła*. Sposób składania przez nich ofiary także przypomina rytuał starożytnych Izraelitów.

- Co więcej, Siang Min wierzą w jednego Boga. Gdy spada na nich nieszczęście, wydają okrzyk: *Yaweh!* - Jane zastanawiała się przez chwilę, po czym w jej szeroko otwartych oczach pojawił się strach. - Tak, teraz wszystko sobie przypominam. Oni zamierzają dokonać zamachu podczas festiwalu Gion Matsuri\*.

---

\* Festiwal Gion Matsuri jest jednym z najważniejszych świąt szintoistycznych w Kioto; upamiętnia dzień w 869 roku, kiedy to przed świątynią we wsi Gion ustawiono 66 halabard mających odstraszyć złe moce ściągające zarazę.

- Festiwal Gion Matsuri?

- To największe święto szintoistyczne w Kioto.

- Może należy zawiadomić policję?

- Policję? Nie, nie... To niemożliwe.

- Dlaczego?

- Posłuchaj, Ary, czego się dowiedziałam: dwa miesiące temu zniknął pewien adwokat oraz jego żona i czternastomiesięczny synek. Adwokat ten reprezentował rodziny, które wniosły skargę przeciwko sekcje. Policja po kilku miesiącach zaprzestała poszukiwań. W ubiegłym roku w czerwcu, w Matsumoto, gdzie sekta miała ogromną posiadłość, wybuch gazu zabił siedem osób, a dwieście ranił. Tamtejsi mieszkańcy byli w konflikcie z sektą. Jest jeszcze śmierć aptekarza w domu gejsz. Poza tym sprawa pewnego notariusza, brata jednego ze zwolenników. Porwało go pięciu młodych mężczyzn. W tym miesiącu odnaleziono pięćdziesiąt osób zamkniętych w kaplicy, bliskich śmierci z głodu i pragnienia. We wszystkich tych sprawach śledztwa zostały umorzone.

- Przypuszczasz, że policja im sprzyja?

- Policja wykazuje daleko idącą bierność. Sądzę, że są w niej ludzie sekty.

- To by tłumaczyło, dlaczego nie pozwolili mi zobaczyć manuskryptu znalezionego przy człowieku z lodu. A przecież chciałem im pomóc.

- Oni szykują zamach, Ary. Jestem tego pewna. Trzeba im w tym przeszkodzić.

- Kiedy odbywa się ten festiwal?

- Zaczyna się szesnastego lipca. Przygotowali jeszcze coś... Nie wolno do tego dopuścić!

Pojechaliśmy na lotnisko, gdzie wsiedliśmy w pierwszy samolot lecący do Tokio, a stamtąd pociągiem do Kioto.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, odwoziłem Jane do hotelu, a sam niezwłocznie udałem się do mistrza Shôjû Rôjina, aby uprzedzić go o zamachu i zapytać, co należy zrobić.

Mistrza zastałem w sanktuarium, gdzie modlił się przed posągiem bóstwa, kiwając się w tył i w przód, z głową pochyloną, jak to czynią chasydzi.

- Przepraszam, że przerywam, mistrzu.

Podniósł głowę i spojrzał mi w oczy.

- Te drzwi, które widziałeś u wejścia do świątyni, nazywają się *torii* - są one symbolem drzwi bez drzwi, ponieważ zawsze są otwarte, latem i zimą, w nocy i w dzień. Nie przeszkadzasz mi, Ary Cohenie. Witaj wśród nas. Sądzę, że przybyłeś z daleka, a ja jestem

szczęśliwy, że cię widzę, bo się o ciebie niepokoiłem.

- Wracam z Tybetu i z Indii, gdzie dowiedziałem się, że wasz mnich Nakagashi odnalazł człowieka z lodów i manuskrypt u ludzi z plemienia Siang Min, wieśniaków, którzy żyją na granicy Tybetu i Chin i mają zwyczaje podobne do zwyczajów Hebrajczyków.

- Dlaczego więc przywieziono tego człowieka i manuskrypt tu, do Kioto? - zapytał mistrz po chwili namysłu.

- Wygląda na to, że to mistrz Fujima kazał go tutaj sprowadzić, żeby przebadać zwłoki i manuskrypt. Mnich Nakagashi był członkiem gminy Bejt Szalom, do której przystąpił z polecenia Ono Kashiguriego. Przypuszczam, że mistrz Fujima i gmina Bejt Szalom chcieli mieć u siebie człowieka z lodów, ponieważ z manuskryptu, który widziałem w miejscu, gdzie odnaleziono zwłoki, wynika, iż ten człowiek nie był szintoistą, lecz Żydem! Ponadto uważam, że człowiek z lodów pochodzi stąd, skąd ja pochodzę, z Qumran. Jestem przekonany, że grozi wam niebezpieczeństwo.

- Jakie niebezpieczeństwo? - zapytał mistrz spokojnie.

Odpowiedziałem na to pytaniem:

- Mistrzu, proszę mi powiedzieć, z jakiej okazji odbywa się festiwal Gion Matsuri?

- Podczas tego święta wracamy do mitologii japońskiej, według której rodzina cesarska i naród Yamato są potomkami Ninigi, przybysza z niebios. Ninigi jest przodkiem plemienia Yamato, czyli narodu japońskiego. Mit głosi, że to nie Ninigi miał przybyć z nieba, lecz ktoś inny. Podczas gdy tamten się przygotowywał, Ninigi właśnie się urodził i zajął jego miejsce.

- W naszej tradycji przodkiem Izraelitów miał zostać Ezaw, brat Jakuba, ale Bóg wybrał Jakuba.

- Kiedy Ninigi zszedł z nieba - mówił dalej Shôjû Rôjin - zakochał się w kobiecie o imieniu Konohana-sakuya-hime i zapragnął ją poślubić. Ojciec dziewczyny poprosił go, aby ożenił się z jej starszą siostrą. Ta jednak była brzydka i Ninigi oddał ją ojcu.

- To także przypomina mi historię Jakuba. Biblia opowiada, że Jakub kochał Rachele, ale jej ojciec, Laban, oznajmił, iż nie może dać mu młodszej siostry przed starszą. Tak więc Jakub poślubił Leę, która nie była piękna i której wcale nie kochał.

- Ninigi i Konohana-sakuya-hime - ciągnął mistrz - mieli syna o imieniu Yamasachi-hiko. Yamasachi-hiko został wypędzony przez brata i musiał uciekać z kraju. Tam, gdzie się osiedlił, zdobył ogromną władzę. A kiedy jego brat przybył do niego, bo w jego kraju nastał głód, Yamasachi-hiko pomógł mu i wybaczył jego występki.

- Gdy Józef, syn Jakuba i Racheli, został wypędzony przez braci, udał się do Egiptu.

Tam zdobył wielkie wpływy u króla i został mianowany pierwszym ministrem, a gdy bracia przybyli do Egiptu, bo nastał głód, Józef im pomógł i wybaczył ich występki.

- Yamasachi-hiko poślubił córkę boga morza i miał syna o imieniu Ugayafukiaezu, a ten z kolei miał czterech synów. Drugi i trzeci z jego synów opuścili kraj. Jeden z nich to cesarz Jinmu, który podbił ziemie Yamato i jest założycielem domu cesarskiego Japonii.

- Józef zaś poślubił córkę egipskiego kapłana i miał dwóch synów: Manassesa i Efraima. Efraim miał czterech synów, ale dwaj z nich zostali zabici. Potomkiem czwartego syna był Jozue, który podbił ziemie Kanaanu. W linii Efraima jest dom królewski dziesięciu plemion Izraela. Jakub ujrzał we śnie anioły Boga, wchodzące i schodzące, między niebem i ziemią. Była to obietnica, że jego potomkowie odziedziczą krainę Kanaan. Mistrzu, czy podczas święta Gion Matsuri kobiety pozostają na uboczu?

- W Japonii od najdawniejszych czasów kobiety, które mają menstruację, nie mogą uczestniczyć w obrzędach w świątyniach. Nie wolno im mieć wtedy stosunków seksualnych z mężczyznami, powinny przebywać w oddzielnym pomieszczeniu, zwanym po japońsku *gekkei-goya*, nie mogą brać udziału w zajęciach kolektywnych w wiosce jeszcze siedem dni po menstruacji. Potem kobieta musi umyć się w wodzie rzecznej lub morskiej. Jeśli takiej nie ma, może wykąpać się w wannie.

- To zupełnie jak u nas! W czasach starożytnych kobietom w trakcie menstruacji nie wolno było wchodzić do świątyni, musiały trzymać się z dala od swych mężów i przebywać w oddzielnym pomieszczeniu. Potem kobieta szła do mykwy, gdzie odbywała rytualną kąpiel. Woda w mykwie powinna była być deszczowa lub ze źródła.

- U nas - mówił mistrz - kobieta oczekująca dziecka jest przez pewien czas uważana za nieczystą. Według starej księgi szintoistycznej *Engishiki* przez siedem dni po urodzeniu dziecka kobieta nie mogła uczestniczyć w obrzędach w świątyni.

- To także przypomina zwyczaj ludu żydowskiego. Biblia powiada, że kobieta, która poczęła i urodziła dziecko płci męskiej, jest nieczysta przez siedem dni. Jeśli natomiast urodzi córkę, jest nieczysta przez dwa tygodnie.

- W Japonii, w epoce Meiji, kobieta, która urodziła dziecko, musiała przez trzydzieści dni po położeniu przebywać w swoim pokoju.

- Po okresie oczyszczenia młoda matka nie mogła wejść do świątyni ze swoim dzieckiem przez pierwszy miesiąc po jego narodzinach.

- Po tym okresie oczyszczenia taka matka nie mogła wejść do sanktuarium z dzieckiem na rękach. Musiał je trzymać ojciec. Czy pamiętasz, że prosiłem cię o wyjaśnienie, na czym polega bar micwa?



- Bar micwa to uroczyste wejście w świat dorosłych.

- W Japonii - rzekł na to mistrz - gdy chłopiec kończy trzynaste lat, udaje się do sanktuarium w towarzystwie rodziców, braci i sióstr. Bierze udział w uroczystości zwanej *Genpuku-shiki*, podczas której po raz pierwszy ma na sobie strój dorosłego, czasami zmienia także imię.

- Jaki jest sens tego wszystkiego? Dlaczego szintości tak bardzo są podobni do Hebrajczyków? Czy to tylko zwykły zbieg okoliczności?

- Ja również stawiałem sobie to pytanie. Dlatego chciałem dowiedzieć się od ciebie czegoś więcej. Teraz już wiem, że między nami i wami jest istotna różnica.

- Jaka?

- W sanktuariach szintoistycznych nie ma ołtarzy.

- Odpowiedź zapewne dałaby Księga Liczb, rozdział dwunasty. Mojżesz nakazał swemu ludowi, aby składali ofiary ze zwierząt tylko na ziemi.

- Ach tak? - Mistrz patrzył na mnie z uwagą. Wyraźnie się nad czymś zastanawiał. - Jest jeszcze wiele innych drobnych rzeczy, Ary Cohenie.

- Ale skąd tyle podobieństw? Co to znaczy? Czy ma to jakiś związek z zamachem?

- Jakim zamachem?

- Obawiam się, że Ono Kashiguri szykuje w Kioto jakąś akcję na dużą skalę, prawdopodobnie podczas święta Gion Matsuri.

- W takim razie należy natychmiast zawiadomić policję.

- Jesteś tego pewien, mistrzu?

- Nie możemy postąpić inaczej. Chodźmy tam, zanim będzie za późno.

Święto Gion Matsuri odbywało się w różnych punktach Kioto. Najważniejsze wydarzenie miało miejsce w szintoistycznej świątyni Yasaka-jinja. Zwróciłem uwagę, że trwało ono od 16 do 24 lipca. A w Biblii jest powiedziane, że arka Noego dopłynęła do góry Ararat 17 dnia siedemnastego miesiąca: *Miesiąca siódmego, siedemnastego dnia miesiąca arka osiadła na górach Araratu\**. Niewykluczone, że Hebrajczycy obchodzili w tym dniu święto dziękczynne. Czy to przypadek? W jaki sposób Japończycy mieliby poznać święta żydowskie? Wciąż nie mogłem tego pojąć.

Poza tym mistrz Shôjû Rôjin mówił mi, że święto Gion Matsuri w Kioto zaczyna się od prośby, aby lud nie ucierpiał od zarazy, co w zaskakujący sposób przypominało fragment

---

\* Księga Rodzaju 8,4, Biblia Tysiąclecia, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań - Warszawa, 1990.

Biblii odnoszący się do króla Salomona.

- Czy nie uważa pan, że słowo „Gion” przypomina słowo „Syjon”? - zapytałem mistrza Shôjû Rôjina, gdy szliśmy do świątyni Yasaka-jinja.

- Tak, zgadzam się z tym. Ponadto Kioto nazywało się kiedyś Heian-kyo, co znaczy „miasto pokoju”. Nazwa Jerozolimy znaczy również w języku hebrajskim „miasto pokoju”, prawda?

- Heian-kyo byłoby więc japońskim odpowiednikiem nazwy Jerozolima. To wyjaśniałoby, skąd w tym mieście tyle świątyń.

Tym razem ulice Kioto wyglądały zupełnie inaczej. Ozdobione były lampionami z papieru, a w dzielnicy willowej przed każdym tradycyjnym japońskim domem wystawione były skarby danej rodziny - puzderka, stare przedmioty, posążki i biżuteria. Setki tysięcy ludzi, w większości ubranych w letnie kimona, spacerowały ulicami, podziwiając te dzieła sztuki. Przy okazji tego właśnie święta sekta Ono postanowiła dokonać zamachu, ale nie wiedzieliśmy, w jakim momencie i w jaki sposób.

Przeszliśmy wieloma ulicami, gdzie mogliśmy zobaczyć odbywające się tam uroczystości. Widzieliśmy Toji - pięciopiętrową pagodę, świątynię usytuowaną we wschodniej części Kioto. Wchodziło się do niej przez dwunastowieczne drzwi, za którymi znajdował się inny świat, pełen przepięknych konstrukcji, wywierających ogromne wrażenie, a jednocześnie prostych, z białymi murami, czerwonymi kolumnami i dachami z płytek ceramicznych.

*Hebrajczycy śpiewali i tańczyli wokół Arki Przymierza.*

*Arka Przymierza miała dwa złote posągi cherubinów, aniołów ze skrzydłami jak u ptaków.*

*Król Dawid i cały lud Izraela śpiewali i tańczyli przed Arką przy dźwiękach instrumentów wygrywających przedziwną melodię.*

Z wnętrza świątyni dochodziła melodia o dziwnym brzmieniu, jakby z innych czasów, grana na antycznych instrumentach, melodia odurzająca, która trwa wiecznie. Potem mężczyźni ponieśli na ramionach w kierunku rzeki małe kapliczki - *omikoshi*.

Ubrani na biało pielgrzymi polewali się wodą na znak oddania.

*Kapłani i Lewici przybyli nad rzekę Jordan i przeszli ją, aby przypomnieć wyjście z*

Egiptu. Potem każdemu, kobiecie i mężczyźnie, dano bochen chleba, kawałek mięsa i ciasto z rodzynkami.

*Arcykapłan, ubrany w białą lnianą szatę, miał na sobie plastron Dawida.*

*Kapłani izraelscy gałązkami święcili ludzi. Kapłan mówił: Wylej na mnie hyzop i będę czysty”.*

Idąc za tłumem, ujrzeliśmy długi orszak ludzi ubranych w stroje z różnych okresów dziejów Kioto.

Porządek chronologiczny tego orszaku był odwrócony - zaczynał się od współczesności i wracał do czasów najdawniejszych. Pierwsza grupa przedstawiała patriotów z połowy XIX wieku, którzy obalili wojskowe rządy szogunatu i przywrócili władzę cesarzy. Każda grupa miała odpowiednie stroje, broń i muzykę. Na końcu tego długiego orszaku szli ludzie w strojach z VIII wieku, kiedy założone zostało Kioto. Działo się to, jak wyjaśnił mi Shôjû Rôjin, w epoce Nara, gdy wpływowi mnisi zaczęli głosić, że wszystkie bóstwa szintoistyczne to postacie Buddy. Buddyzm przybył do Japonii w 538 roku, gdy król koreański ofiarował cesarzowi Kimmei święte teksty buddyjskie i posągi. W ten sposób buddyzm, ze szkodą dla szintoizmu, po Tybecie, Mongolii, Chinach i Korei dotarł do Japonii.

Po przejściu tego orszaku podążyliśmy za tłumem, który zgromadził się wokół świątyni. Wtedy właśnie rozległy się pierwsze okrzyki, powtarzane następnie bez przerwy jak refren: *Saireiya, saityo* - największe święto.

Młodzieńcy z pochodniami w rękach śpiewali ten refren bardzo wysokimi głosami. Za nimi szły dzieci, każde z pochodnią odpowiadającą ich wzrostowi. Na koniec pojawili się mężczyźni niosący sosnowe szczapy. Z wyrazu ich twarzy można było się domyślić, że nie żalowali sobie sake. Krzyczeli: *saireiya sairyô*, a dźwięki muzyki docierały do kamiennych stopni świątyni. Na szczycie schodów pojawiła się grupa trzydziestu prawie nagich mężczyzn, ciągnących wóz boga świątyni - Yuki. Biegli zachęceni krzykami uczestników święta i tonami *gagaku* - tradycyjnej muzyki dworskiej, granej na piszczałkach i fletach.

Przechodzącej przed nami procesji towarzyszyli dyskretnie rozstawieni to tu, to tam policjanci. Co jakiś czas słyszeliśmy okrzyk: *En-yara-yah!* Gdy zapytałem Shôjû Rôjina, co to znaczy, odpowiedział, że Japończycy sami tego nie wiedzą.

Zbliżaliśmy się do miejsca, gdzie odbywała się główna ceremonia - do świątyni szintoistycznej, której otwarte drzwi pozwalały wszystkim widzieć, co się dzieje wewnątrz. Zobaczyliśmy zbliżającego się wolnym krokiem do ołtarza arcykapłana w białej lnianej szacie.

Nagle z jakiegoś samochodu wydobył się obłok, który szybko rozplynął się na wszystkie strony. Zewsząd rozległy się krzyki, zdenerwowani ludzie próbowali uciekać. Był to trujący gaz.

Jedni mdleli, innych trawiał ogarnięty paniką tłum. Kapłani, którzy nieśli kapliczki - zupełnie tak samo jak Dawid trzymający Arkę Przymierza w Jerozolimie, miotali się na wszystkie strony, zaplątując się w swoje długie lniane szaty, ale nie wypuszczali z rąk cennego ciężaru. Ci, którzy tańczyli i śpiewali przy dźwiękach instrumentów, przerwali występy i przerażeni rozpierzchli się w tłumie.

Korzystając z zamieszania, wśliznąłem się do świątyni. Ponieważ nadal byłem łysy, mogłem uchodzić za mnicha.

W świątyni znajdowali się kapłani szintoistyczni. Jedni mieli na sobie długie szaty z frędzlami ze sznurka, inni nałożyli na wierzch prostokątne płaszcze sięgające ud. Wszyscy nosili na głowach czapeczki, a na biodrach pasy.

Pośrodku stał arcykapłan. Biała szata okrywała całe ciało oprócz nagich stóp.

Poświęcał miejsce, wymachując gałązką. W drugiej ręce trzymał sól.

W dymie kadzidła rozległ się śpiew, podkreślony głośnymi uderzeniami gongu.

I w tym momencie go zobaczyłem - stał z długim mieczem w dłoni, w cieniu kolumny, tuż przed arcykapłanem.

W chwili gdy unosił broń, rzuciłem się na arcykapłana, przewracając go na ziemię, a ostrze miecza musnęło nasze głowy. Jednym skokiem zerwałem się na nogi, dopadłem przeciwnika, błyskawicznym ruchem wykręciłem mu rękę i odebrałem broń.

Patrzył na mnie przerażonym wzrokiem człowieka, który ma za sekundę umrzeć, podczas gdy dwaj mężczyźni mocno go trzymali, uniemożliwiając mu jakikolwiek ruch.

Napastnik był bardzo wysoki, z twarzą naznaczoną wielką blizną. Od razu go poznałem: to Jan Yurakachi, szef policji.

Arcykapłan oddalił się, odprowadzony przez dwóch mężczyzn.

Jeden z kapłanów podszedł do mnie i dał mi znak, abym odszedł z nim na bok.

- Kim pan jest? - zapytał szeptem.

- Nazywam się Ary Cohen.

- Wielkie dzięki, właśnie ocalił pan życie cesarzowi Japonii.

Kilka godzin później wróciłem do Bejt Szalom. Jane wciąż była senna. Spała przez cały dzień i zdziwiła się, że czas tak szybko przeleciał. Gdy zrelacjonowałem jej wydarzenia minionego dnia, uśmiechnęła się smutno.

- Brawo, Ary, świetnie się spisałeś.

- Dzięki tobie.

- Teraz chciałabym już wrócić do domu, wyjechać stąd. Jestem taka zmęczona.

Popatrzyłem na nią. Miała napięte rysy, bladą cerę, podkrążone oczy.

- Nie, Jane. Teraz zostaniesz tutaj.

- Nie mogę. Boję się...

- Boisz się? Ależ ty się nigdy niczego nie bałaś. Czy jeszcze nie wiesz, że jesteś przy mnie bezpieczna?

- Boję się... Przecież widziałeś, co się wydarzyło podczas święta Gion.

- Wypuszczono na ulicę gaz tylko po to, żeby podczas zamieszania zabić cesarza. Szef policji został aresztowany.

- Pewnie jest członkiem sekty Ono. Dowiedzą się, co się stało, i zaczną nas ścigać. Musimy wyjechać, Ary.

- Słuchaj - powiedziałem, siadając obok niej - to by znaczyło, że jesteśmy na właściwym tropie.

- Na właściwym tropie? A czy wiesz, dlaczego Ono Kashigun chce zamordować cesarza Japonii? Czy uświadamiasz sobie, jak bardzo poważna to sprawa? Czy wiesz przynajmniej, dlaczego zabił mnicha Nakagashiego? Dlaczego interesuje się plemieniem Siang Min z Tybetu?

- A ty wiesz?

Popatrzyła na mnie z powagą.

- Wszystko zaczęło się wtedy, kiedy mnich Nakagashi wkręcił się do Bejt Szalom dzięki poparciu gejszy Yoko Shi Guya, czyli Isate Fujimy, córki mistrza Fujimy, który kieruje Bejt Szalom. Tam dowiedział się, że ludzie z Siang Min - dawni Izraelici przybyli z Chin - znaleźli jakiegoś zamarzniętego człowieka. Na prośbę mistrza Fujimy został on przewieziony do Japonii. Ono Kashiguri chciał dostać te zwłoki, ale ukryto je w świątyni mistrza Shôjû Rôjina.

- Dlaczego ukryto je właśnie tam?

- Żeby je ochronić.

- Przed czym?

- Przed Ono i jego sektą. Shôjû Rôjin słusznie zauważył, że mnich Nakagashi jest bystry. Zorientował się szybko, że został wykorzystany przez Ono Kashiguriego, i chciał ukryć ciało. Gdzie mógł znaleźć lepsze miejsce niż w niewielkiej świątyni swojego mistrza?

- A Ono Kashiguri, gdy stwierdził, że Nakagashi go zdradził, kazał zabić jego i jego

kochankę.

- Gdyby nas tam nie było, z pewnością udałoby mu się wykraść zwłoki. Teraz trzeba się dowiedzieć, kto jest najbliższym celem Kashiguriego. Musimy się przekonać, jaki jest związek między człowiekiem z lodów i cesarzem Japonii. Dlaczego działalność sekty Ono wymierzona jest właśnie przeciwko nim.

Niedługo potem, gdy rozglądałem się za mistrzem Fujimą, powiedziano mi, że jest przy studni Isurai.

Złapałem taksówkę, która zawiozła mnie do świątyni, gdzie znajdowała się studnia. Zastałem tam kaligrafa, siedzącego pod drzewem przy blasku księżyca. Zajęty był pisaniem czegoś na ryżowym papierze.

- A, to pan, Ary *san!* - powiedział. - Jak miło pana widzieć.

Ubrany był tak samo nienagannie jak przy poprzednim spotkaniu, z muchą pod zagiętym kołnierzykiem koszuli, w eleganckim beżowym garniturze, który dodawał mu powagi. W świetle księżyca jego twarz wydawała się kanciasta. Przywodził na myśl postać z baśni.

- Dzień dobry, mistrzu. Przyszedłem, żeby zdać relację z postępów prowadzonego przeze mnie śledztwa. Sądzę, że pańska córka i mnich Nakagashi zostali zamordowani przez ludzi Ono Kashiguriego. Nakagashi nie ma nic wspólnego ze śmiercią Isate, chociaż pan tak uważał.

- Co skłoniło pana do takiego wniosku?

- To pańska córka wprowadziła mnicha Nakagashiego do Bejt Szalom. Tam usłyszał, że w górach został znaleziony zamrożony człowiek. Czy wie pan, że ten człowiek z lodów był Hebrajczykiem, że pochodził z Qumran i był arcykapłanem z rodu Cohenów, tak jak ja?

Wyjąłem z plecaka plastron z jedenastoma kamieniami. Udowodniłem mu, że diament, który mi ofiarował, doskonale pasuje do pustego miejsca odpowiadającego plemieniu Zabulona. Diament połyskiwał białym oślepiającym blaskiem.

Mistrz Fujima wskazał tekst, który właśnie skończył kaligrafować.

- Tu jest napisane: *daberu*, co po japońsku znaczy „rozmawiać”.

- Hebrajskie słowo *daber* znaczy „mówić”.

- Napisałem tu: *gaijeen*, co znaczy „nie-Japończyk”.

- A po hebrajsku *goj* znaczy „lud”.

- Jestem pewien, że starożytni Japończycy mówili po hebrajsku - rzekł mistrz Fujima.

- Nie mam na to dowodów, ale jest zbyt wiele podobieństw, żeby mogły być tylko kwestią

przypadku. Nawet litery hebrajskie podobne są do liter japońskich.

- I co z tego wynika?

Mistrz Fujima przyglądał mi się przez chwilę, zanim odpowiedział:

- Podczas lektury Tory, Ary *san*, przeżyłem ogromne zaskoczenie, czytając o ceremoniach religijnych starożytnego Izraela. Święta, świątynia, przywiązywanie znaczenia do czystości, wszystko to jest identyczne jak w szintoizmie. Z tego powodu zainteresowałem się judaizmem. Uważam, że Bóg z Biblii jest także Ojcem narodu japońskiego. A święta japońskie tak bardzo podobne do świąt starożytnego Izraela.

- Skoro doszedł pan do tego wniosku, to dlaczego nie miałby pan uwierzyć w Boga z Biblii?

- Zastanawiałem się nad tym w jakimś momencie - w rzeczywistości szukałem prawdziwej religii szintoistycznej.

- Szintoizm jak litera *szin...* Ale wróćmy do tematu. Jaki jest sens tego wszystkiego? Jaki ma to związek z Ono Kashigurim?

- Tego nie wiem, Ary. Ono i jego sekta z pewnością zrobią wszystko, żeby nikt się o tym nie dowiedział.

- Czy dlatego chciał mieć u siebie zwłoki człowieka z lodów? Dlatego że wiedział, skąd on pochodził?

- Przypuszczał, że mógł być Izraelitą.

- Zawikłana sprawa. Pozostaje jednak istotna różnica między wami i nami, różnica zasadnicza.

- Jaka?

- Japończycy nie są obrzezani!

Mistrz Fujima patrzył na mnie z powagą, po czym odpowiedział z uśmiechem:

- Plotka mówi, że obrzezanie jest praktykowane w japońskiej rodzinie cesarskiej.

- Czy miałyby to znaczyć, że rodzina cesarska ma hebrajskie pochodzenie?

- Jest taka legenda, według której imię boga Izraela jest jakoby wyryte na jakimś przedmiocie w szintoistycznej świątyni w Ise. Tylko cesarz ma prawo do niej wchodzić. Powiadają, że ma on boskie pochodzenie i że raz w roku spotyka się tam z Bogiem.

Kiedy wróciłem późno w nocy, Jane spała.

Przyglądając się jej, odniosłem wrażenie, że już do mnie nie należy. W duchu zadawałem sobie pytanie, kiedy będę mógł znowu wziąć ją w ramiona. Kiedy tak naprawdę do mnie wróci? Tak bardzo do niej tęskniłem.

Położyłem się obok niej i przyśniło mi się, że z okazji jakiegoś święta poszedłem do synagogi, ale okazało się, że nie zdążyłem przed szabatem.



# IX

## *Zwój z Ise*

*Sluchajcie, mędrzy!*  
*Rozwijajcie wiedzę.*  
*I wy sprawiedliwi!*  
*Postawcie tamę niesprawiedliwości.*  
*I wy nieskazitelni!*  
*Podtrzymujcie słabych,*  
*Bądźcie dla nich wyrozumiali,*  
*Nie lekceważcie słów sprawiedliwych*  
*I czynów w imię prawdy,*  
*Aby szerzyć mądrość, badać tajemnice,*  
*Zgłębiać prawdę i nie bać się wyroczeni.*

*Zwoje z Qumran,*  
*Mędrzec dzieciom świtu*

Następnego ranka odwiedził mnie Toshio, którego nie widziałem od powrotu z Tybetu. Był czymś poruszony, rzucał mi spojrzenia pełne szacunku i wydawało się, że nie ma odwagi wyjawiać powodu swojej wizyty.

Wreszcie, gdy go naciskałem, powiedział, że cesarz jest mi bardzo wdzięczny za to, że ocaliłem mu życie podczas święta Gion, pragnie okazać mi łaskę i pyta, co chciałbym od niego otrzymać.

- Proszę przekazać cesarzowi, panie Toshio, że bardzo chciałbym udać się do świątyni w Ise.

- Do świątyni w Ise?! - wykrzyknął Toshio, nie kryjąc zaskoczenia. - Przecież każdy może tam się udać!

- Oczywiście, panie Toshio, ale ja pragnąłbym wejść do wnętrza sanktuarium.

Słyszając te słowa, Toshio spojrzał na mnie przerażony, jakbym dopuścił się świętokradztwa.

- To wykluczone - wyjąkał. - To jest zakazane. Do sanktuarium może wejść tylko cesarz, i to raz w roku.

- Proszę przekazać, że taka jest właśnie moja prośba.

Kilka godzin później byłem już w drodze do sanktuarium w Ise. Zostawiłem Jane w Bejt Szalom, prosząc, by nie wychodziła stamtąd pod żadnym pozorem.

Pociąg jechał przez las to w górę, to w dół, zagłębiając się między gigantyczne drzewa, żeby wjechać na rozległą równinę u stóp góry Kamiki i góry Shimakki, gdzie znajduje się prefektura okręgu Mie. Miałem wrażenie, że wjeżdżam w świat z marzeń lub w świat z czasów dzieciństwa.

Po dwóch godzinach pociąg zatrzymał się w mieście Ise. Do świątyni szło się wąskimi

uliczkami, wzdłuż których ciągnęły się sklepiki w dawnym japońskim stylu.

Po rzeźbionych stopniach dotarłem do drzwi *torii*, których dwa filary zrobione są z sosnowego drewna i pomalowane na pomarańczowo. Wszedłem przez zawsze otwarte drzwi, prowadzące do świątyni. Jej dziedziniec i mały pałac wyglądały jak miniatura Świątyni Salomona, takiej, jak opisywały ją nasze księgi.

Przy świątyni znajdował się ogród wysypany piaskiem, z kilkoma tylko drzewami, kępami krzewów i kwiatów. W panującej tu uroczystej ciszy szemrał płynący meandrami potok z kilkoma wysepkami i mostkami.

Z wody sterczały bambusy rosnące tu od wieków. Skały, stuletnie drzewa i małe kamyki wydawały się czekać na gości. Wzdłuż alei wiodącej do świątyni stały lampy. Gdy podszedłem do jednej z nich, zauważyłem wygrawerowaną na niej gwiazdę Dawida.

Co robi gwiazda Dawida w świątyni poświęconej bogini słońca, Amaterasu, czczonej jako ta, od której wywodzi się rodzina cesarska?

Od najdawniejszych czasów świątynia bogini Amaterasu zawsze znajdowała się w Ise, odbudowywana co dwadzieścia lat z jak najdokładniejszym zachowaniem dawnego stylu. Dzięki temu jej starożytna architektura mogła przetrwać do naszych czasów w nietkniętej formie. Tak samo świątynia wyglądała przed dwoma tysiącami lat.

Przed świątynią stały dwa filary pełniące rolę bram. Nazywano je *Taraa*. Były pomalowane na czerwono, dla upamiętnienia baranka złożonego w ofierze w noc poprzedzającą wyjście z Egiptu.

Najświętszy przybytek - Święte Świętych - znajdował się w zachodniej części Świątyni. W Świątyni Salomona był drugi poziom nad innymi pomieszczeniami. Świątyni Salomona strzegły dwa posągi lwów.

W Ise były dwa sanktuaria, Naiku i Geku, znajdujące się w odległości sześciu kilometrów od siebie. Mnie interesowało to drugie, poświęcone bogini słońca, Amaterasu, podczas gdy pierwsze było poświęcone bogini zbóż.

Wszedłem do ogrodu z olbrzymimi cyprysami i kamforowcami. Pod moimi stopami chrzęścił żwir. Sanktuarium chroniła bambusowa palisada. Żadnemu ze zwiedzających nie wolno było jej przekroczyć.

Zobaczyłem mistrza Shôjû Rôjina.

Sklonił się ze złączonymi na wysokości twarzy dłońmi.

W starożytnym Izraelu gest ten oznaczał - „dotrzymuję obietnicy”. W pismach można natrafić na słowo, które jest tłumaczone jako „obietnica”. Pierwotnie słowo to znaczyło „klaskać w ręce”. Starożytni Izraelici klaskali w dłonie, gdy mówili coś bardzo ważnego.

Jakub kłaniał się, gdy podchodził do Ezawa.

- Wreszcie do nas przybyłeś - rzekł mistrz Shôjû Rôjin.

- Do was?

- Jesteśmy strażnikami świątyni. Ja jestem pełniącym tu służbę arcykapłanem z rozkazu cesarza, który zezwolił ci wejść do świątyni w Ise.

Podprowadził mnie do dużej drewnianej pagody i oddalił się bez słowa.

Wnętrze sanktuarium było słabo oświetlone kilkoma świecami, a w gęstym dymie kadzidła zacierały się kontury przedmiotów. Bez trudu jednak dostrzegłem *omikoshi* - małe kapliczki, jakie widziałem podczas święta Gion Matsuri.

Na dwóch ścianach wycięto gwiazdy Dawida. Układ budowli był identyczny z tabernakulum w starożytnym Izraelu, podzielonym na dwie części: pierwsza z nich to Święty Przybytek, a druga - Święte Świątých. To japońskie sanktuarium również podzielone było na dwie części.

W głębi sali stał przepiękny drewniany stół, na którym rozłożono produkty żywnościowe. Od mistrza Shôjû Rôjina dowiedziałem się, że pielgrzymi przybywający do świątyni przynoszą *mochi*\*, sake, ziarna zbóż, warzywa i owoce, a także wodę i sól, które zostawiają jako ofiarę dla bogini.

Ofiary zjadano po zakończeniu pielgrzymki - traktowano to jak posiłek spożywany z Bogiem.

Przypomniało mi to drewniany stół w tabernakulum Hebrajczyków, na którym składano chleb, ziarna zbóż, wino i kadzidło.

Dwa posągi lwów strzegły pomieszczenia, gdzie znajdowało się Święte Świątých. Mistrz objaśnił mi również, że w dawnej Japonii nie było lwów.

Do Świętego Świątých nie miał prawa wejść żaden zwiedzający. Kapłani szintoistyczni mogli wejść do Świętego Przybytku tylko podczas świąt. Święte Świątých było miejscem, do którego wolno było wejść tylko cesarzowi.

Święte Świątých znajdowało się na północny zachód od sanktuarium, na wyższym

---

\* *Mochi* (jap.) - przekąska ze smażonego brązowego ryżu.

poziomie niż Święty Przybytek. Żeby się tam dostać, trzeba było wejść po kilku stopniach.

W fontannie na uboczu, z której tryskała czysta woda, umyłem ręce i przepłukałem usta.

Podszedłem do ciężkich drewnianych drzwi między lwami.

- Serdecznie cię witam, Ary.

Mistrz Shôjû Rôjin ponownie skłonił się przede mną. Oddałem mu ukłon, ale nic nie powiedziałem, tak byłem zaskoczony jego obecnością w tym miejscu.

- Jestem ci winien wyjaśnienie, Ary Cohenie, prawda?

- Byłbym bardzo zobowiązany.

- Nie mogłem powiedzieć ci, kim jestem, podobnie jak nie mogłem zdradzić niczego, co dotyczy cesarza, bo to musi pozostać tajemnicą, pod karą śmierci, jak wiesz. Właśnie dlatego uczyłem cię sztuki walki, aby dać ci oręż, który pozwoli ci powstrzymać naszych wrogów z sekty Ono. I muszę przyznać, że jesteśmy bardzo zadowoleni z tego, czego dokonałeś. Dlatego zgodziliśmy się przyjąć cię tutaj.

- Chciałbym wejść do tajemnego pomieszczenia świątyni.

Mistrz pokręcił z uśmiechem głową. Zdażyłem się już przyzwyczaić do jego mimiki.

- Dlaczego nie? - Mój głos odbił się echem od palisady.

- Potrzebna jest zgoda mnichów *yamabushi*. To oni strzegą tego świętego pomieszczenia.

- Przecież otrzymałem zgodę cesarza.

- Żeby wejść do sanktuarium, ale nie do świętego pomieszczenia.

- A gdzie są *yamabushi*?

- Obecnie są w Nagano, uczestniczą w święcie odbywającym się w sławnej świątyni szintoizmu, Suwa Taisha.

Patrzyłem na drzwi przede mną. Byłem już tak blisko, ale musiałem jeszcze poczekać. Korciło mnie, żeby tam wejść. A dlaczego by nie?

W tym samym momencie, kiedy poczułem tę pokusę, pomyślałem, że sprowokowanie walki z mistrzem byłoby z mojej strony czystym szaleństwem.

- Tylko *yamabushi* mają klucz do tych drzwi - powiedział Shôjû Rôjin, jakby odgadując moje myśli. - I tylko oni mogą ci go dać. Nikt inny nie ma tego klucza.

- Japońskie Święte Świętych jest usytuowane na ogół na północny zachód od sanktuarium, zupełnie jak nasze Święte Świętych. Jak w Świątyni Salomona. I te posągi lwów

są takie same jak w Świątyni Salomona. Co to wszystko znaczy? Nawet wasze drzwi *torii* przypominają bramę świątyni izraelskiej, gdzie przed wejściem stały dwa filary. Ponadto drzwi *torii* są czerwone, co przypomina ceremonię mazania krwią płócien w noc poprzedzającą wyjście z Egiptu.

- Odpowiedź znajduje się tam w środku - rzekł mistrz, kłaniając się.

- Nawet wasz zwyczaj kłaniania się przypomina zwyczaj Hebrajczyków. Mówi się, że Jakub skłonił się na widok swego brata Ezawa. Żydzi kłaniają się zawsze, recytując modlitwy. A wasze bambusowe tabliczki przypominają tablicę Praw Mojżesza! Wy i my... jesteśmy tacy sami!

Mistrz Shôjû Rôjin skłonił się ponownie, tym razem z szacunkiem.

A ja czułem, że muszę wejść do Świętego Świętych, żeby wszystko zrozumieć.

Gdy wróciłem późnym wieczorem do Bejt Szalom, czekała mnie niespodzianka. Nie spodziewałem się bowiem ujrzeć go w tym miejscu, na drugim końcu świata. Był to mój ojciec, który przyjechał do mnie zapewne za namową Shimona Delama.

Kiedy go zobaczyłem, ogarnęło mnie ogromne wzruszenie. Wyglądał wspaniale ze swymi gęstymi, połyskującymi srebrzyscie włosami i intensywnym spojrzeniem czarnych oczu. On się nie zmienił, ale ja czułem, że się postarzałem.

- Zdaje się, że potrzebujesz mojej pomocy. Shimon powiedział mi, że mieszkacie teraz w Bejt Szalom, to prawda?

- Tak. Wszystko ci wyjaśnię. Wspominałem Shimonowi, że przydałaby mi się twoja pomoc, no i teraz możemy już razem obejrzeć ten manuskrypt. Ale muszę przyznać, że nie spodziewałem się zobaczyć cię tutaj.

- Znasz go, nie zostawił mi wyboru...

Uśmiechnąłem się. Tyle rzeczy wydarzyło się od naszego ostatniego spotkania. I ta tajemnica, której zasłony podniosłem jedną po drugiej...

Byłem zmęczony i głodny. Poszedłem na górę do pokoju Jane, żeby jej powiedzieć, że przyjechał ojciec. W małej restauracyjce w pobliżu Bejt Szalom zjedliśmy razem kolację, na którą złożyła się miseczka ryżu, zupa miso, owoce, szpinak i zielona herbata.

- Jest jeszcze jedna rzecz - powiedziałem do ojca, pokazując mu notatki, które zrobiłem po rozmowie z mistrzem Fujimą na temat języka hebrajskiego. - Chciałbym poznać twoje zdanie jako naukowca w kwestii, która wyda ci się być może absurdalna.

- Słucham cię.

- Czy to możliwe, że Japończycy są Żydami?

Ojciec zmarszczył brwi i spojrzał na mnie pytająco, jakby sprawdzał, czy sobie z niego nie żartuję.

- Spróbuj popatrzeć na to z racjonalnego punktu widzenia naukowca i historyka.

- Żydami czy Hebrajczykami? - spytał.

- No właśnie, czy to możliwe, że są Hebrajczykami? Od czasu kiedy przybyli do Japonii, minęło ponad dwa tysiące lat.

- No tak - zaczął ojciec, a jego twarz rozjaśnił promienny uśmiech - wiesz, że po śmierci Salomona Izrael został podzielony na dwa królestwa. Jednym było południowe królestwo Izraela, królestwo Judy, obejmujące Jerozolimę, którym władały pokolenia Judy i Beniamina. My, Żydzi, pochodzimy z tego właśnie królestwa. Drugim było północne królestwo Izraela. Jego pierwszym królem został Jeroboam z pokolenia Efraima, który połączył pozostałe dziesięć pokoleń Izraela. Niestety, królestwa te prowadziły ze sobą straszną wojnę o granice, o władzę. Trwało to do momentu, gdy północne królestwo ogarnęła wojna domowa, która skończyła się, kiedy król Omri został uznany za króla całego królestwa Izraela w osiemset osiemdziesiątym pierwszym roku. Omri starał się zapewnić pokój swemu królestwu. Założył nową stolicę Samarię. Zaprzestał wojny z królestwem Judy. Ale tymczasem pojawiło się zagrożenie od strony Asyrii. Po śmierci Omriego jego syn, Achab, pojednał się z królestwem Judy, by zapobiec wojnie z Asyrią. To pojednanie okazało się nietrwałe i skończyło się wojskowym zamachem, dokonany przez generała Jehu, który przejął władzę nad królestwem Izraela. W osiemset czterdziestym pierwszym roku Salmanasar Trzeci, król Asyrii, zaatakował królestwo Izraela, które w krótkim czasie stało się wasalem Damaszku. Ostatni król Izraela, Ozeasz, po dwóch latach został wygnany wraz z trzydziestoma tysiącami Izraelitów. To, co zostało z królestwa Izraela, przekształcono w prowincję asyryjską. Stało się to w jednym z najbardziej niespokojnych okresów w historii Izraela, kiedy miało miejsce co najmniej osiem zamachów stanu i kiedy prorocy Eliasza, Amos i Ozeasz nie przestawali przestrzegać, że doprowadzi to do upadku królestwa Izraela. Od tamtej pory po dzień dzisiejszy lud Izraela dzieli się na dwie grupy: tych, którzy pozostali, i tych, którzy poszli na wygnanie w obce kraje. Ponieważ nie mieli już własnego państwa, jednym i drugim groziło, iż historia o nich zapomni.

- Co się stało z plemionami królestwa Izraela, które zostały wypędzone?

- Tego nikt nie wie. Nie ma świadków, nie ma dokumentów, nie ma śladów. Możliwe, że po wypędzeniu udali się do jakiegoś odległego kraju i nie wrócili już do Izraela. Zaginął po nich ślad i dlatego zyskali miano „Dziesięciu Zaginionych Plemion”. Ale... - W oczach ojca

zapaliło się tajemnicze światełko. - Dlaczego nie mieliby dotrzeć aż do Japonii? Istnieją dowody, że Żydzi wędrowali Jedwabnym Szlakiem. A wobec tego mogli znaleźć się i w Japonii. Historię tę wspomina Księga Ezdrasza, rozdział czwarty. Według niej dziesięć plemion królestwa północnego Izraela wyruszyło na wschód i po półtora roku wędrówki dotarło do jakiegoś kraju. Proroctwo głosiło, że zbierze on wygnańców Izraela, zgromadzi wszystkich z pokolenia Judy, rozproszonych w czterech krańcach świata. Słowo „rozproszeni” jest używane w stosunku do plemienia Judy. A słowo „wygnańcy”? W stosunku do ludu Izraela. To zawily problem, bo jak już ci mówiłem, nie wiadomo, co się stało z dziesięcioma zagubionymi plemionami Izraela. Ślady tradycji hebrajskiej znaleziono w Afganistanie, Kaszmirze, w Indiach i Chinach. W niektórych książkach chińskich są wzmianki o obrzezaniu w drugim wieku przed Jezusem. Dziesięć plemion Izraela mogło, wędrując na wschód, przechodzić przez te kraje. Ślady ich obecności są nikłe. Kilka wiosek tu, kilka tam. Któreśdy szły te plemiona Izraela? Wędrowały przez różne kraje, szukając ziemi obiecanej, gdzie mogłyby zostać, skąd nikt by ich nie wypędził. Miał to być kraj dla nich, gdzie odbudowaliby swoje królestwo. Jakie miejsce mogło być lepsze do tego celu niż wyspa? Wielka wyspa, zewsząd otoczona wodą, gdzie nie byłoby problemów z granicami.

- Czy chcesz powiedzieć, że...

- Że historia nie wyklucza takiej możliwości, iż Japończycy są Hebrajczykami.

- Starożytne imię Jinmu, pierwszego cesarza Japonii, brzmiało: „Kamuyamatoiwarebikosumeramikoto”.

Ojciec zamyślił się na chwilę, poprosił, bym to napisał, po czym uważnie się temu przyjrzał.

- Po hebrajsku to znaczy: „król Samarii, szlachetny założyciel religii Jahwe”. Co nie oznacza, że Jinmu był protoplastą narodu żydowskiego, lecz że pamięć tradycji hebrajskiej przetrwała w imieniu tego cesarza.

- Mówią także, że cesarz jest obrzezany. Istnieje jednak istotna różnica między szintoizmem i judaizmem.

- Jaka?

- Japończycy są politeistami. Czczą bóstwa zwane *kami*.

- Nie zapominajmy, że Hebrajczycy w tamtej epoce czcili także inne bóstwa. Wierzyli nie tylko w Jehowę, ale również w Baala, Astarte, Molocha i inne bóstwa.

Ojciec patrzył na mnie w osłupieniu, jakby trafił na nieznany mu manuskrypt.

- Są to tylko domysły. Potrzebny jest jakiś dowód...

- Jaki?



- Manuskrypt człowieka z lodów, znalezione przez ludzi z plemienia Siang Min, którzy prawdopodobnie także są pochodzenia hebrajskiego, jeśli weźmie się pod uwagę ich rytuały i obyczaje.

- A może dowód z tajnego pomieszczenia w sanktuarium w Ise? - wtrąciła Jane, która bardzo uważnie przysłuchiwała się naszej rozmowie.

Następnego dnia rano, gdy Jane poszła na policję po manuskrypt znaleziony przy człowieku z lodów, wsiedliśmy z ojcem w pociąg pośpieszny do Nagano, gdzie znajdowała się ważna świątynia szintoistyczna - Suwa Taisha. Piętnastego kwietnia każdego roku odbywało się tam święto o nazwie Ontohsai, w którym brali udział *yamabushi*.

W pobliżu sanktuarium Suwa Taisha znajdowała się góra Moriya, po japońsku *Moriya-san*. Mieszkańcy regionu Suwa nazywali boga góry Moriya *Moriya no kami*, co znaczy „bóg z Moriya”.

Podczas tego święta przywiązywano małego chłopca do drewnianego słupka i kładziono na bambusowej macie. Kiedy jeden z kapłanów szintoistycznych wznosił nad nim nóż, nadchodził drugi kapłan i chłopca odwiązywano. Przypominało to historię małego Izaaka, którego, jak mówi rozdział 22 Księgi Rodzaju, jego ojciec, Abraham, przyprowadził na górę Moria, aby złożyć go w ofierze Bogu, lecz pojawienie się anioła uratowało chłopca.

Wyjaśniono nam, że bardzo dawno temu składano w ofierze siedemdziesiąt pięć danieli, z których jednemu obcinano uszy. Według legendy zwierzę to było przygotowane przez samego Boga, podobnie jak baranek, którego przyjął Bóg w miejsce Izaaka. Gdy zapytaliśmy mnichów o genezę tej ceremonii, odrzekli, że nic o niej nie wiedzą, ale że to jedyna tego rodzaju ceremonia w Japonii i zawsze wydawała się im dziwna, bo w tradycji szintoizmu nie było czegoś takiego, jak składanie w ofierze zwierząt.

Po zakończeniu ceremonii zostaliśmy w sanktuarium, gdzie mieliśmy się spotkać z *yamabushi*.

Wyszło do nas trzech, którzy znali angielski. Ubrani byli w białe lniane szaty. Na czołach mieli przywiązane czarnym sznurkiem małe czarne pudełeczka w kształcie kwiatu, zwane *tokin*.

- Wygląda na to - szepnął do mnie ojciec - że początkowo filakterie umieszczane na czole miały kształt kwiatu.

- Dzień dobry - powiedziałem, przedstawiając nas mnichom. - Przyjechaliśmy z Izraela.

- Wiem - odrzekł jeden z nich, robiący wrażenie najstarszego. - Nazywam się Roboam. Przybywacie od cesarza. Pan uratował mu życie, a my, *yamabushi*, jesteśmy panu za to bardzo wdzięczni - dodał, kłaniając się przede mną ze złożonymi dłońmi.

- Macie tu piękną górę.

- *Yamabushi* traktują tę górę jako miejsce święte, gdzie mogą doskonalić się w duchu swojej wiary.

- U nas także jest góra, na której szczycie otrzymaliśmy Dziesięć Przykazań.

Gdy o tym mówiłem, mnisi wymienili między sobą przerażone spojrzenia.

- Co się stało? - zapytałem, zastanawiając się, czy nie popełniłem jakiegoś błędu, czy ich nie obraziłem.

- W Japonii istnieje legenda o *tengu*, który żył na górze jako *yamabushi*. Miał duży nos i nadnaturalne zdolności. Pewien ninja, agent i szpieg w dawnych czasach, udał się do *tengu*, aby obdarzył go nadnaturalnymi zdolnościami. *Tengu* wręczył mu *toa-no-maki* - zwój *tora*. Zwój *tora* to księga potrzebna na ciężkie czasy. Pan podobny jest do *tengu*. I pański ojciec również!

Ja i ojciec popatrzyliśmy na siebie, niepewni, czy mamy to traktować jako komplement. Byliśmy Cohenami i pochodziliśmy z rodu Cohenów, mogliśmy być podobni do Hebrajczyków.

- My, *yamabushi* - odezwał się najmłodszy z nich - modlimy się o to, aby cały lud japoński wrócił do Boga z Biblii, ponieważ ów Bóg jest również ojcem narodu japońskiego.

- My, *yamabushi* - dodał Roboam, najstarszy z nich - uważamy, że nasi przodkowie byli Żydami, którzy przybyli do naszego królestwa w siedemsetnym roku przed Chrystusem, w tym samym czasie, gdy zaginęło dziesięć plemion.

- W szintoizmie - podjął trzeci mnich - bogini słońca, Amaterasu, jest czczona jako protoplastka cesarskiego domu w Japonii i jako największa bogini tego kraju. Sanktuarium w Ise zostało wzniesione właśnie dla niej. A czy wy macie jakąś boginię?

- Nie, mamy tylko jednego Boga.

- Jest jeszcze studnia. Studnia Isurai.

- Pierwszy król Japonii nazywał się Hozeas. Panował około siedemset trzydziestego roku przed naszą erą.

- Ostami król Izraela miał na imię Ozeasz, za jego rządów Asyryjczycy wygnali dziesięć plemion Izraela - powiedział ojciec.

- Wśród samurajów krąży legenda, że ich przodkowie przybyli do Japonii z zachodniej Azji około sześćset sześćdziesiątego roku przed naszą erą.

- Słowo „samuraj” przypomina słowo „Samaria” - wtrącił ojciec.

- Ale jak mamy wam wierzyć, skoro nie ma na to żadnych dowodów? Czy macie jakieś święte teksty? - zapytałem.

- Nie - odpowiedział Roboam. - Najstarszym tekstem japońskim jest *Kojiki*, napisany w siedemset dwunastym roku przed naszą erą. W sześćset czterdziestym piątym roku przed naszą erą doszło do godnego pożałowania wydarzenia, do wojny między szintoistami i buddystami. Żeby położyć jej kres, probuddyjski ród Soga spalił nasze księgozbiory. Wszystko poszło wtedy z dymem. Z tego powodu Japończycy nie mają dzieł przedstawiających ich prawdziwą historię sprzed ósmego wieku przed naszą erą. Wśród spalonych ksiąg była jakoby *tora-maki*.

- Pozostały wam tylko rytuały i to dzięki nim zachowaliście waszą przeszłość - zauważyłem.

- Mamy *omikoshi*, nasze arki przymierza.

- I nosicie je na ramionach jak dawni Hebrajczycy. Na arkach Hebrajczyków były cherubiny. Na waszych *omikoshi* są złote ptaki. Poza tym szata waszego kapłana jest bardzo podobna do lnianych szat, jakie nosili nasi kapłani.

- Obaj z synem jesteśmy kapłanami z rodu Cohenów - rzekł ojciec. - Odprawiamy ceremonie, podobnie jak wasz kapłan, w święto Jom Kippur. I dlatego właśnie przyjechaliśmy, żeby prosić was o pozwolenie na wejście do najświętszego miejsca waszej świątyni.

Na te słowa mnisi *yamabushi* spojrzeli po sobie, jakby byli zaskoczeni tą niesłychanie skandaliczną prośbą.

- Czy wiecie, co znajduje się w świętym pomieszczeniu?

- Znamy rozmiary przedmiotu, który się tam znajduje: ma czterdzieści dziewięć centymetrów długości. Nie wolno tam wchodzić ani nikogo wpuszczać. Nawet cesarz nie ma prawa go zobaczyć.

- A ja chciałbym go obejrzeć - powiedziałem.

- Nie wiesz, co mówisz - odrzekł najstarszy, kręcąc głową z wystraszoną miną.

- Po klęsce Japonii w drugiej wojnie światowej wszedł tam jeden z generałów i wkrótce zmarł! - odezwał się drugi mnich.

- Potem, w latach pięćdziesiątych - dodał trzeci - należący do pewnego stowarzyszenia Żydzi i Japończycy zebrali się pod przewodnictwem pułkownika Koreshige Inuzuki, aby porozmawiać o dalszych przyjaznych stosunkach. Spotkanie miało miejsce w domu Żyda Michaela Kogana, w Tokio. Był tam także Mikasa, członek rodziny cesarskiej. Rozmowa

zeszła na temat słów hebrajskich i świątyni Ise. Mikasa powiedział wówczas, że chciałby wejść do tego świętego pomieszczenia. Nie zrobił tego, bo za bardzo bał się legend.

- Jakich legend?

Roboam nachylił się w moją stronę i otwierając szeroko oczy, rzekł:

- Ci, którzy próbowali to zrobić, nigdy stamtąd nie wrócili! Oprócz Yuutarou Yano, wysokiej rangi oficera, zagorzałego szintoisty. Yano postanowił poznać prawdę i poprosił jednego z mnichów *yamabushi*, by pozwolono mu wejść do świętego pomieszczenia. Nie dostał takiego pozwolenia, ale nie zrezygnował i przychodził codziennie, ponawiając prośbę. W końcu mnich, poruszony jego uporem, zgodził się. Yano wszedł tam w największej tajemnicy, a kiedy stamtąd wyszedł, powiedział, że zobaczył starożytny tajemniczy napis. Wkrótce potem oszalał i dokonał żywota w zakładzie psychiatrycznym.

- A cesarz? Czy nigdy tam nie wszedł?

- Cesarz japoński po wstąpieniu na tron odprawia ceremonię Daijou-sai, w czasie której wkłada białe szaty i boso idzie do Boga. Potem otrzymuje od Boga wyrocznię i staje się cesarzem oraz przywódcą narodu. Ale i on nie wchodzi do tego świętego miejsca.

- Tak więc nikt nie wie, co się tam znajduje?

- Nie, nikt.

- Może jest tam wasz Bóg?

- Mówią, że ten Bóg pojawił się na samym początku, że przebywał w centrum wszechświata. Nie miał jednak konkretnej postaci i nikt nie znał jego rysów.

- Przypomina to naszego Boga, który jest Panem wszechświata - rzekł ojciec.

- Musimy wejść do tego pomieszczenia - powtórzyłem. - Mamy do tego prawo.

Wyjąłem z plecaka plastron. Włożyłem diament na miejsce. Dwanaście kamieni zabłysło tysiącem światła.

Rubin - kamień plemienia Rubena, topaz - kamień plemienia Symeona, beryl - plemienia Lewiego, turkus - plemienia Judy, szafir - plemienia Issachara, hiacynt - plemienia Dana, agat - plemienia Neftalego, jaspis - plemienia Gada, szmaragd - plemienia Aszera, onyks - plemienia Józefa, jadeit - plemienia Beniamina i na koniec diament - plemienia Zabulona, znaleziony przy człowieku z lodów, kamień przynoszący długowieczność.

Zapadła cisza. *Yamabushi* znowu spojrzeli po sobie. Wyszli z pokoju i wrócili po długiej chwili.

- Proszę przyjechać w przyszły piątek do Bejt Szalom - powiedział cicho Roboam. - Wtedy damy panu klucz. Ale uprzedzamy, że bardzo pan ryzykuje!

Kiedy wróciliśmy do Kioto, zostawiłem ojca w Bejt Szalom, a sam udałem się od razu do świątyni, by spotkać się z mistrzem Shôjû Rôjinem.

Po raz pierwszy przyjął mnie natychmiast, nie każąc mi czekać.

- Dzień dobry, mistrzu.

- Dzień dobry, Ary Cohenie - odrzekł, uważnie mi się przyglądając. - Widzę, że nie jesteś już nieokiełznanym koniem.

- Wiem, co to współczucie. Przestałem myśleć o sobie.

- Cieszę się bardzo. Bo to oznacza, że jesteś szczęśliwy.

- Mistrzu, chciałbym cię o coś zapytać.

- Słucham.

- Dlaczego ukrywałeś przede mną, że jesteś *yamabushi*?

- A czy mnie o to pytałeś?

- Nie.

- Niczego więc przed tobą nie ukrywałem - odrzekł mistrz z uśmiechem.

- To dlatego chciał mistrz poznać naszą tradycję?

- Oczywiście. My, *yamabushi*, pragniemy wiedzieć wszystko o naszym pochodzeniu.

Wasza religia jest naszą religią.

- Niezupełnie, bo wasz Bóg nie jest naszym Bogiem.

- Naprawdę tak uważasz, Ary Cohenie? - zapytał mistrz, patrząc mi głęboko w oczy. -

Wierzysz w to? Czy znasz tylko jednego Boga?

- Powtarzałem jego imię w medytacjach, wypowiadałem je przy każdym tchnieniu.

- A jakie jest imię tego Boga?

- Mój Bóg ma wiele imion.

- To znaczy, że jest ich wielu.

- Mój Bóg nazywa się Elohim.

- Elohim to forma liczby mnogiej w waszym języku, czyż nie?

- Tak - odpowiedziałem z wahaniem.

- To także forma rodzaju żeńskiego?

- W kabale Elohim odpowiada pojęciu Szechina, czyli boskiej obecności towarzyszącej Izraelowi; ta obecność jest rodzaju żeńskiego i objawia się w różnych postaciach.

- Uważałeś, że jesteś monoteistą, że wierzysz w jednego Boga, a oto twoje Elohim to także bóstwa i w dodatku żeńskie. Czy nadal uważasz, że nie modlimy się do tych samych bogów?

- Próbowałem go wezwać, wymawiając jego imię - szepnąłem przez zaciśnięte zęby. -  
Wiem, że on jest jeden, jedyny.

- Wzywałeś go, wymawiając jego imię?

- Tak, i niewiele brakowało, żeby... się pojawił.

- Ależ Ary Cohenie - wykrzyknął Shôjû Rôjin - przez wymawianie jego imienia nigdy  
byś się go nie doczekał!

- Jak to? - oburzyłem się. - Co mistrz mówi? Dlaczego drwi mistrz z mojego Boga?

- Widzę, że znowu wpadasz w gniew. Potrzeba ci jeszcze trochę czasu, zanim  
zmadrzejesz. Jedynie przez praktykę i ćwiczenie dostąpisz boskiej mądrości. Ale wiedz, że  
ona nie przychodzi z wysokości, ale z dołu. Nie może schodzić, może tylko wspinać się do  
góry!

Gdy wieczorem wróciłem do hotelu, miałem w głowie zamęt. Powtarzałem bez  
przerwy słowa mistrza, wciąż nie mogąc zrozumieć ich znaczenia. „Ona musi przyjść z dołu”.  
Imię naszego Boga to liczba mnoga i być może rodzaju żeńskiego. Co to ma znaczyć? Co  
chciał mi przekazać mistrz Shôjû Rôjin i skąd o tym wszystkim wiedział?

Jane zastałem w jej pokoju w Bejt Szalom. Opowiedziała mi, że była na policji w  
sprawie manuskryptu. Dyżurny oficer po telefonie od Shimona dał go jej, nie robiąc żadnych  
trudności. Ona z kolei przekazała manuskrypt mojemu ojcu, który zajęty był właśnie jego  
odczytywaniem.

- Ary, czy coś się stało? - zapytała Jane.

- Nie, nic takiego.

- Wyglądasz na wzburzonego. Czy coś przede mną ukrywasz?

- Nie. Widziałem się z mistrzem Shôjû Rôjinem i...

- I?

Wpatrywałem się w nią, nie mogąc znaleźć właściwych słów.

- I co?

- Powiedział mi, że mój Bóg, nasz Bóg, nie jest taki, w jakiego wierzę.

- A jaki jest?

- Jest mnogością, może być rodzaju żeńskiego, przychodzi z dołu, a nie z góry. To  
właśnie mi mówił.

- A skąd on to wszystko wie?

- To *yamabushi*, Jane. Posiada dawną wiedzę hebrajską, którą my być może  
zagabiliśmy. Nie wiem, już nic nie wiem... Nic nie rozumiem...

Patrzyłem na nią, na tę kusicielkę. Uśmiechała się do mnie i czułem, że jest mi bliska, znowu bardzo bliska, że wróciła do mnie, wracając do siebie. Przebiła się przez mój szaniec, żeby mnie odnaleźć, ukraść moje serce, zawładnąć mną, wyrwać mnie z zagubienia w tym mieście właśnie teraz, gdy poczułem się tu obco, skołatany, wytrącony z równowagi. Byłem już bardzo blisko prawdy, już jej niemal dotykałem, ale jednocześnie byłem więźniem samego siebie, moich uprzedzeń, uwikłany, zafascynowany, zniewolony jej czarem, byłem daleko od mojego ideału, a jednocześnie mogłem go dotknąć był tak blisko, że uległem iluzji, porwała mnie wbrew mojej woli i nagle ją pokochałem.

- Zastanawiasz się, kim teraz jesteś?

- Tak.

- Podobnie jak ja kiedyś... Było to jakby oderwanie, odczarowanie. Jak to określił Shimon? *Deprogramming*? Tak? Ja jednak wiem, kim ty jesteś. - Nachyliła się i szepnęła mi do ucha: - Jesteś lwem z lasu, królem zwierząt. Panujesz nad swymi poddanymi, sądzisz, że uciekasz, że jesteś ścigany, ale tak naprawdę jesteś przywiązany do swego terytorium. Myślisz, że jesteś ofiarą wydarzeń, ale oceniasz je z dystansu, kierujesz nimi, podczas gdy inni korzą się u twych stóp. Jakbyś spał, ale nie śpisz. Jakbyś śnił, ale słuchasz. Atakujesz niespodziewanie i zawsze zwyciężasz. Jesteś groźny dla wszystkich, rządysz, nie domagając się chwały. Jesteś królem mego serca. Nade mną również masz władzę.

Jakiś czas potem zamówiliśmy jedzenie do pokoju. Na stole postawiono świecę, której łagodne światło rzucało złotawe refleksy na włosy Jane.

Nie było nikogo poza nami. Patrzyła na mnie z powagą czarnymi błyszczącymi oczami, wydobywając z głębi mej duszy najtajniejsze sekrety.

Starłem się nie oddychać, żeby móc lepiej ją widzieć. W tym momencie byłem w słodkiej harmonii z wszechświatem, nie zastanawiałem się nad wyborem między prawdą i fałszem, tym co miłe i niemiłe. Uwolniłem się od świata iluzji. Udało mi się usunąć przeszkody stawiane przez mój umysł, przewyciężyć cierpienie, dumę, osiągnąć stan niemyślenia. Pozbyłem się wewnętrznego nieładu, żeby już więcej nie wiedzieć, co to gniew, ból, smutek, aby dojść do stanu nieświadomości samego siebie.

- Muszę ci coś powiedzieć - odezwała się cicho Jane. - Wiem już, jakie jest pochodzenie lampionów w świątyni w Ise.

- A więc skąd się tam wzięły?

- Przed wojną ofiarował je cesarzowi dowódca armii Makasa, który był masonem.

- Masonem? A cesarz?

- Jak zwykle nikt tego nie wie. Jednak fakt, że cesarz przyjął ten prezent, każe przypuszczać, że miał jakieś powiązania z masonami.

- Lampiony w świątyni... Pamiętasz historię z templariuszami? Masoni zamierzają kontynuować dzieło templariuszy, którzy, z kolei, dążyli do zrealizowania zamysłu Hirama, architekta Świątyni Salomona - wzniesienia trzeciej Świątyni, rekonstrukcji Świątyni Salomona, która symbolizowała ducha Boga w kamieniu. W jej wnętrzu znajdowało się Święte Świątych, gdzie mieszkał sam Bóg. Zupełnie jak w świątyni w Ise! To wyjaśnia obecność gwiazdy Dawida, powstałej z ułożenia na sobie dwóch piramid. Jedna z nich symbolizuje władzę królewską - jej podstawa spoczywa na ziemi, a wierzchołek skierowany jest ku niebu. Druga, ustawiona odwrotnie, reprezentuje władzę kapłańską. To znak podwójnej istoty Mesjasza - Mesjasza kapłana i Mesjasza króla.

- Można powiedzieć...

- Że trzecia świątynia została już wzniesiona.

- I jest nią świątynia w Ise! Czy to możliwe?

- Jeśli zbudowali ją masoni, tak. Stąd podobieństwo do Świątyni Salomona. Ten sam rozkład i święte pomieszczenie, będące odpowiednikiem Świętego Świątych!

- To jeszcze nie wszystko. Byłam w laboratorium analiz.

- Czy znasz wyniki badania grupy krwi?

- Tak. Analiza wskazuje, że ten człowiek mógłby być albo Japończykiem, albo Żydem. Dowiedziałam się, że grupy krwi Japończyków i Żydów są tak do siebie podobne, że trudno dać precyzyjną odpowiedź.

Usłyszeliśmy czyjeś kroki za drzwiami, a potem pukanie.

- To pewnie mój ojciec! Musiał już przeczytać manuskrypt.

Podbiegłem do drzwi. Ujrzałem ojca, ale za nim wyłonił się Ono Kashiguri. Miał miecz, którego ostrze przyłożył do karku ojca.

- Teraz mi to oddaj. Szybko.

- Dobrze - zgodził się ojciec.

- Co się dzieje?! - krzyknąłem.

- Odsuń się, Ary, to niebezpieczny człowiek.

- Ary! - Ono Kashiguri uśmiechał się z satysfakcją. - Ary Cohen - powtórzyl. - Wreszcie się spotykamy. Mesjasz Żydów, templariuszy i masonów. Antychryst. Czy sądzisz, że możesz się ze mną mierzyć? Czy naprawdę wierzyliście, że uda wam się szerzyć tę waszą



żydowską propagandę i usunąć buddyzm z Japonii?

- To dlatego kazał pan zabić Nakagashiego?

- Uczeń, który okazał się zdrajcą - mruknął, patrząc na Jane. - Wysłałem go, żeby przeniknął do Bejt Szalom, ale kiedy znaleziono tego człowieka z lodów, doszedł do wniosku, że Fujima miał rację, iż naród japoński pochodzi od Dziesięciu Zagubionych Plemion Izraela! Kazałem mu zniszczyć zwłoki, ale on oddał je Shôjû Rôjinowi. Oczywiście, że to ja go zabiłem. A teraz proszę mi oddać manuskrypt.

Ojciec podał mu pergamin. Kiedy jednak Ono Kashiguri wyciągnął po niego rękę, jednym kopnięciem wytrąciłem mu miecz, który poleciał w głąb pokoju. Uprzedzając następny jego ruch, pobiegłem, żeby chwycić broń, on jednak był szybszy. Zderzyliśmy się ze sobą, a miecz wypadł przez okno.

Ono Kashiguri wykorzystywał pozory i intencje jako groźne pułapki, stosował też trzydzieści sześć strategii.

Tworzył mylące sytuacje, żeby wywołać we mnie wrażenie, iż wiem, co zaraz zrobi, wyczerpywał moje siły, dążył do tego, by uleciała ze mnie energia, podczas gdy on sam ją zachowywał, każąc mi biegać we wszystkie strony, tak bym się zmęczył, korzystał z mojej słabości, udawał, że zamierza uderzyć to z prawej, to z lewej, zaskakiwał mnie, robił niespodziewane uniki, próbował wzbudzić we mnie lęk i nic nie mogłem na to poradzić. Był za dobry. Doskonale znał sztuk walki, a lata praktyki dawały mu nade mną przewagę. Jane, przerażona, stała bez ruchu.

Starałem się nie uruchamiać myślenia, tylko odgadywać instynktownie to, czego nie widziałem, a zwłaszcza nie robić niczego głupiego.

Nie myślałem o zwycięstwie. Unikałem także myśli o strachu, o emocjach, które się we mnie rodziły.

Stosowałem uniki, próbowałem udaremnić jego ruchy. Skierowałem atak na rzecz, której musiał za wszelką cenę bronić - na pergamin.

W tym celu musiałem sam przestać myśleć o pergaminie, a więc zaryzykować, że zostanie zniszczony.

Wziąłem pergamin z rąk Jane i zanurzyłem go w oliwie stojącej na stole. Potem chwyciłem świecę i zbliżyłem ją do pergaminu.

- Nie! - krzyknął Ono Kashiguri, przerywając walkę.

- Wobec tego - powiedziałem, dysząc - odejdz.

- Co ty sobie myślisz? Że jesteś najlepszy w sztuce walki? - Wpatrywał się we mnie, jakby chciał mnie zahipnotyzować. Potem spojrział na Jane. Zerknąłem w stronę ojca, ale

gdzieś zniknął.

- Jane! - zawołałem. - Zatkaj uszy!

- Co takiego?

- Rób, co ci każę!

Zrobiłem to samo. Nie myliłem się. Ono nabierał tchu z *hara* - życiowego centrum człowieka, usytuowanego w dole brzucha. Miał napięte wszystkie mięśnie.

Wyrzucił z siebie *kiai* o takiej sile, że pękły kieliszki i szyby w oknie. Jane upadła zemdlona na podłogę.

- A teraz powiedz, który z nas jest silniejszy? - wycodził Ono Kashiguri.

Patrzyłem na niego nieruchomym wzrokiem.

- Natychmiast to oddaj.

- Niedobrze jest powtarzać wciąż tę samą taktykę - odpowiedziałem.

Złapałem butelkę i wylałem na niego oliwę. Potem wziąłem świecę. Całe jego ciało zajęło się ogniem, a on nie mógł temu zapobiec.

Przez dławiący go dym wrzasnął:

- *Yuda!*

Podbiegłem do nieprzytomnej Jane.

Po niedługim czasie Ono Kashiguri, dotkliwie poparzony, został przewieziony do szpitala wezwanym przez nas ambulansem.

Jane odzyskała przytomność.

Doznała takiego szoku, że z trudem uświadamiała sobie, gdzie się znajduje. Ponowne spotkanie z Ono Kashigurim bardzo nią wstrząsnęło, pograżyło w odrętwieniu czy też w stanie hipnozy. Wiedziałem, że potrzeba będzie wiele czasu, żeby doszła do siebie.

Musieliśmy złożyć zeznania na policji, co zajęło nam dwie godziny, i dopiero potem mogliśmy wrócić do ojca, który czekał na nas w Bejt Szalom.

- No i co z pergaminem? - zapytałem go.

Ojciec przyglądał mi się z zakłopotaną miną, jakby nie wiedział, od czego zacząć. Ręka, w której trzymał pergamin, lekko drżała. Robił wrażenie wzburzonego.

- No więc? - powtórzyłem.

- To tekst aramejski... Ten człowiek z lodów napisał go prawdopodobnie na krótko przed śmiercią.

- Może go nam przetłumaczysz?

Ojciec rozwinął pergamin.

*Dziesięć pokoleń, wypędzonych w czasach króla Ozeasza, wyruszyło na wygnanie za rzekę. Poszukiwali odległej krainy, niezamieszkaną przez ludzi, gdzie mogliby szanować swoje prawo i być wiernymi obietnicy złożonej Bogu, której nie umieli dotrzymać. Długa i trudna była ich wędrówka, trwała wiele lat, aż dotarli do kraju.*

- Tu - przerwał ojciec - jest słowo, którego nie udało mi się odczytać. *Arzareth...* Myślę, że chodzi o *eretz aheret* - czyli: „inny kraj” albo „odległy kraj”.

Potem znowu tłumaczył drżącym głosem:

*A ja, arcykapłan Cohen, przybyłem, żeby im powiedzieć, iż powinni opuścić te ziemie i wrócić do ojczyzny.*

*Spotkałem pierwsze plemię - Siang. Powiedzieli mi, że inne plemiona powędrowały dalej ku morzu. Nie mogłem jednak kontynuować mojej podróży, albowiem zostałem trafiony strzałą niegodziwego kapłana.*

*Człowiek ten nie chciał, żebym zaniósł im dobrą nowinę. Bał się, że nasz lud wzmocni się i zapanuje nad tą krainą.*

*Ranny ukryłem się w górach i napisałem te słowa, żeby oznajmić, co następuje: „Pewnego dnia Mesjasz przybędzie do ziemi Izraela, a teraz niech wszystkie plemiona, cały lud, wróci do swego kraju!”.*

*Mosze, arcykapłan Cohen, 3740 rok.*

Przez dłuższą chwilę patrzyliśmy na siebie bez słowa. Sparaliżował nas ten głos z odległej przeszłości, z głębi czasów, głos daleki i zarazem bliski, głos naszego przodka, który zawędrował aż do tego miejsca, by ogłosić ludowi żydowskiemu, że może wrócić do swej ojczyzny.

Nie udało mu się jednak wypełnić tej misji.

Milczenie przerwał ojciec:

- To wszystko. Teraz już wiemy, dlaczego znaleziono w Tybecie ciało tego człowieka z manuskrypcem znad Morza Martwego. Był esseńskim arcykapłanem i przybył tutaj, aby powiedzieć im o przyjściu Mesjasza i o tym, że zgodnie z przepowiednią cały lud powinien wrócić na swoją ziemię...

- Ale kim był ów niegodziwy kapłan, który go zabił? - zapytała Jane. - Kto był tym zabójcą?

Oślupiały z wrażenia, nie mogłem wydobyć słowa.

- Ary? - zapytała Jane. - Co z tobą?

- Wiem, kto to jest - wykrztusiłem.

Jane i ojciec utkwili we mnie wzrok.

- Rozumiem teraz, dlaczego lama w klasztorze Kore mówił mi, że ma złą karmę i że zabił człowieka. Pojmuję teraz, dlaczego mnie potrzebował - pragnął naprawić to, co jego przodek uczynił temu człowiekowi, mojemu przodkowi. Niegodziwy kapłan to przodek buddyjskiego lamy. I to on zabił tego człowieka!

- Ale z jakiego powodu?

- Lama mówił, że zabił kogoś tak ważnego, iż czyn ów wpłynął na życie wielu późniejszych pokoleń, na jego własne życie. Człowiek ten przybył, by przekazać Hebrajczykom wielką nowinę i nakłonić ich do powrotu na ich ziemie albo do rozpropagowania judaizmu w Azji. Przywiózł ze sobą święte teksty i dokładne instrukcje, aby nie zaginęły rytuały, a judaizm mógł przetrwać na wygnaniu. Znalazłem te teksty w śniegu, w Tybecie. Niegodziwy kapłan z klasztoru Kore, zabijając go, przeszkodził w rozprzestrzenieniu się w Azji judaizmu, połączonego z szintoizmem, otwierając tym samym drogę buddyzmowi, o czym świadczy historia.

- To wyjaśnia też - dodała Jane - dlaczego po powrocie z podróży do Tybetu Ono Kashiguri ogłosił, że jest prawdziwym Chrystusem. Wiedział bowiem, kim był człowiek z lodów. Podobnie jak tamten niegodziwy kapłan obawiał się, że po Japonii rozejdzie się wieść, że Siang i Japończycy są z pochodzenia Hebrajczykami. Podważyłoby to buddyzm i wzburzyło naród japoński.

- Tak. Twierdził, że Jezus Chrystus został ukrzyżowany, ale on, nowy Jezus, nie będzie ukrzyżowany, że pójdzie dalej i rozgłosi prawdę po całym świecie. A w rzeczywistości zrobił wszystko, żeby tę prawdę ukryć. Dziś to on jest niegodziwym kapłanem, Antychrystem!

Kiedy znalazłem się znowu w swoim pokoju hotelowym, zadzwoniłem do Shimona, żeby zdać mu relację z tego, co się wydarzyło. Wysłuchał spokojnie mojej opowieści. Wypytywał mnie o szczegóły dotyczące uzbrojenia, jakim dysponuje sekta, ale tych informacji nie mogłem mu dostarczyć, bo CIA była właśnie w trakcie niszczenia siatki Ono.

W słuchawce zapadła cisza, po sekundzie usłyszałem charakterystyczny odgłos wykałaczkii.

- A co było w tym sławetnym manuskrypcie?

- Prawda o człowieku z lodów.

- Jaka prawda? - zapytał ze zdziwieniem Shimon. - Wiesz przecież, że nie znam się na archeologii ani nie jestem znawcą religii.

- Nie musisz się na tym znać. Manuskrypt sporządził Mosze Cohen, arcykapłan esseński, ten znaleziony w górach człowiek. Przybył do Azji, aby powiadomić o nadejściu Mesjasza zaginione plemiona, które osiedliły się w Japonii jakieś pięćset lat wcześniej. A to znaczy, że Japończycy są z pochodzenia Hebrajczykami! Shimonie? Słyszysz mnie?

Z drugiej strony panowała cisza.

- Shimonie? Jesteś tam?

W końcu usłyszałem stłumiony szmer, a potem zachrypnięty głos mojego rozmówcy.

- Połknąłem ją - wystękał.

- Co połknąłeś?

- Wykałaczkę.

Tej nocy, w ciszy, kochaliśmy się z Jane. Miłość, niczym wskrzeszone senne marzenie, zaskoczyła nas przy kominku, w którym tłące się słabo węgle przetrwały aż do rana. Miłość, która była niczym wielkie nowe odkrycie, zapowiedź wieczności.

Czułem się, jakbym zostawił za sobą niespokojne przytłaczające życie i znalazł się na krańcu świata, w którym zatraciłem samego siebie, żeby się w końcu odnaleźć.

Jacy byliśmy szczęśliwi!

Tej nocy czułem się zjednoczony.

A może był to tylko sen?

## X

### *Zwój Świątyni*

*Któż jest do mnie podobny w mej chwale?  
Któż pozna cierpienia, jakie są moim udziałem?  
Któż pokona nieszczęścia podobne do moich?  
Nie otrzymałem wskazówek,  
Ale żadna wiedza nie jest porównywalna z moją.  
Kto mi się sprzeciwi, gdy otworzę usta,  
I kto przeciwstawi się słowom, co spłynęły z mych warg?  
Kto je pojmie, kto mnie zatrzyma, kto dorówna mi w sprawiedliwości?  
Bo ja zaliczam się do bogów  
I synowie Króla oddają mi cześć.*

Zwoje z Qumran,  
*Reguła wojny*

Rano poszedłem przez porośnięty mchem ogród, który prowadził do pagody Bejt Szalom. Umówili się tam ze mną na spotkanie *yamabushi*, aby przekazać mi klucz do świątyni w Ise.

Minąłem posąg lwa, umieszczony pomiędzy ustawionymi wkoło kamieniami. Lew przedstawiony był z przednimi łapami podniesionymi do góry, gotowy do ataku. Choć nie ryczał, nie umniejszało to wrażenia jego siły. Obok niego znajdowały się dwie skały przedzielone wąską szparą. Zatrzymałem się na moment przed stawem, wokół którego wznosiły się suche, nieruchome, groźnie wyglądające drzewa.

Miałem wrażenie, że patrzę na miniaturowe morze z kilkoma kamiennymi wysepkami, na tajemnicze piękno stworzone przez człowieka panującego nad przyrodą, albo przez samą przyrodę, która ustępuje miejsca człowiekowi.

W głębi ogrodu dostrzegłem dwupiętrową pagodę.

Przeszedłem przez wiecznie zielony ogród i znalazłem się w jej wnętrzu. Czułem, jak mocno bije moje serce, próbowałem zapanować nad drżeniem powiek. Byłem w stanie największego napięcia, jakby w oczekiwaniu na niezwykłą nowinę.

Przed wejściem zdjąłem buty, postawiłem je obok innych.

W końcu znalazłem się w sali, w której panowała absolutna cisza. Było to ciemne pomieszczenie, z kilkoma tylko lampami, rzucającymi światło z dołu do góry. Siedmioramienne świeczniki lśniły w blasku świec. Kopia deklaracji niepodległości Izraela połyskiwała miedzianym poblaskiem.

Na suficie błyszczało posepnie dwanaście świateł dwunastu pokoleń Izraela.

Mistrz Fujima wysunął się z grona czekających, by mnie powitać, tak jak poprzednio, życzliwym słowem. Tym razem jednak twarze obecnych osób nie były mi obce.

Wszyscy ubrani byli jednakowo w szaty z cienkiego lnu, w lniane turbany,

przewiązane purpurowym sznurkiem, z paskami w kolorze purpury, fioletu, szkarłatu i karmazynu. W głębokiej ciszy wszystkie twarze zwrócone były ku mnie. Słysząc było tylko odgłos moich kroków na posadzce.

Byli tu mistrz Fujima, mistrz Shôjû Rôjin i jego trzech synowie, a także trzech *yamabushi* z czarnymi pudełeczkami na głowach. Był również Toshio, który na mój widok spuścił wzrok, jakby odczuwał lęk. Najbardziej jednak zaskoczyła mnie obecność ojca. Wprawdzie pasował do grona tych mędrców, ale nie rozumiałem, jakim sposobem się tu znalazł. Czyżby został zaproszony przez mistrza Fujimę? Dlaczego więc mi o tym nie powiedział? Co miała znaczyć ta tajemnicza ceremonia?

Obok ojca stał mężczyzna w wieku około trzydziestu lat, w okrągłych okularach, którego nie znałem. Uśmiechnął się do mnie z miłym wyrazem twarzy.

- Książę Mikasa, młodszy brat cesarza, wyraził życzenie, żeby tu przybyć - wyjaśnił Fujima. - Mówi doskonale po hebrajsku.

- Witam pana, Ary Cohenie - powiedział książę cichym głosem - w imieniu cesarza Japonii, który jeszcze raz dziękuje panu za uratowanie mu życia. Kazał mi powtórzyć panu, że Hebrajczycy, którzy przybyli do Japonii w pięćsetnym roku, pochodzili z królewskiego rodu. Przez wiele generacji, aż do dziś, wiedzę tę cesarze przekazują sobie potajemnie za pomocą rytuału obrzezania. Wie pan dobrze, co przydarzyło się naszemu ludowi, gdy uległa spaleni cesarska biblioteka. Straciliśmy wtedy całą naszą przeszłość w wyniku straszliwego konfliktu, który zantagonizował szintoistów i buddystów, rody Monobe i Soga. Straciliśmy naszą tradycję w pożarze, który strawił nasze namioty i nasz *torak maki*. Cesarz uważa, że ty, Ary Cohenie, potrafisz przywrócić nam naszą przeszłość!

- Ary *san*, teraz należy to do ciebie - rzekł mistrz Fujima, podając mi chleb i wino.

- Ale dlaczego właśnie ja?

- Czy nie przybyłeś tu po to, aby uwolnić zaginione pokolenia Izraela?

- Nie! Co pan mówi? - Byłem przerażony.

Twarze wszystkich, nieruchome niczym śmierć, zwrócone były w moją stronę.

- Mylicie się! Nie przybyłem tutaj, żeby uratować zaginione pokolenia Izraela! Nie z tego powodu tutaj przyjechałem.

- Z tego powodu, ale o tym nie wiedziałeś - przerwał mi mistrz Fujima. - Czy nie pragniesz, żeby Japończycy zwrócili się ku Bogu z Biblii, bo jest on również Bogiem naszego narodu? Prorok Izajasz mówił, że przybędą oni z daleka, z północy i zachodu, z kraju Sinim. To my właśnie jesteśmy z kraju Sinim!

- Chcemy, żebyś zaprowadził nas do naszej ziemi - rzekł Roboam, stary *yamabushi*.



- Dlaczego chcecie, żebym to był właśnie ja? Nie przybyłem tu dla was.

- Przecież to ty sam ruszyłeś w pościg za niegodziwym kapłanem Ono Kashigurim - rzekł mistrz Shôjû Rôjin.

- To ty ocaliłeś cesarza - dodał księżę Mikasa.

- To ty odnalazłeś i odczytałeś manuskrypt człowieka z lodów - rzekł mistrz Fujima.

- To ty zdołałeś oprzeć się pokusom w domu gejsz - szepnął Toshio.

- To ty pędzelkiem nakreśliłeś litery boskiego imienia - rzekł mistrz Fujima - I nie były to zwykłe znaki. Było w nich wcielenie samego tchnienia.

- A co ty na to powiesz? - zapytałem, zwracając się do ojca. - Dlaczego tu przyjechałeś? Nie z powodu Shimona, prawda?

- Przecież nalegałeś, że chcesz spełnić swoje zadanie w odległych krajach tak, jak jest to powiedziane w naszych księgach - odrzekł ojciec. - *Wszystkie narody poznają jego mądrość i będzie on ich przewodnikiem.*

- Ty prosiłeś nas o klucz do świętego pomieszczenia! - wykrzyknął młody *yamabushi*.

- Kto wie, co tam znajdziesz? - rzekł mistrz Shôjû Rôjin. - Kto wie...

- Któż to wie, co tam znajdziesz? - powtórzył mistrz Fujima.

Wtedy dostrzegłem człowieka, który siedział z drugiej strony stołu. Nie zauważyłem go wcześniej, bo jego twarz i sylwetka były niewidoczne w półmroku.

- Dwunasty mężczyzna - szepnąłem. - To lama!

- Po raz pierwszy - rzekł cicho lama, wstając - człowiek, „lew ludzi”, został ogłoszony suzerenem bogów. Rozumiesz, Jhampo, dlaczego tu jestem? Żeby naprawić straszny czyn, którego się dopuściłem przeciw ludowi Izraela w moim dawnym życiu. Przybyłem tutaj dla Siang Min, przodków Tybetańczyków, którzy są potomkami Hebrajczyków, przybyłych do Chin. Jestem tutaj ze względu na pamięć wszystkich Japończyków, którzy z mojej winy poszli inną drogą niż ich przodkowie i zostali przez to pozbawieni swojego dziedzictwa. Jestem tutaj ze względu na pamięć, która zaginęła. My wiemy, że to właśnie ty, ponieważ dotarłeś aż do naszego klasztoru, żeby postawić mi pytanie, które dręczyło mnie przez całe życie. Dlatego nadałem ci imię Jhampa - „budda przyszłości”. I dlatego w imieniu Siang Min przynoszę ci to.

Podał mi szatę przetykaną złotą, purpurową, fioletową i szkarłatną nicią. Miała dwa naramienniki i szarfę wysadzaną kameolem z wygrawerowanymi imionami dwunastu pokoleń, jak również złote łańcuszki w kształcie warkoczyków, dwie rozetki z czystego złota i dwa złote kółka po obu stronach plastronu. Wręczył mi także płaszcz z delikatnego lnu, obramowany lamówką z grenadyny w kolorze purpurowym, fioletowym, szkarłatnym i

karmazynowym.

Taką tunikę nosił według Biblii arcykapłan!

- Włożysz ją, gdy udasz się do świątyni w Ise.

Po tych słowach zapadła cisza. Wszyscy patrzyli na mnie, gdy siadałem za stołem. Postawiono przede mną chleb i wino, a ja nie uczyniłem żadnego ruchu, bo nie wiedziałem, co mam robić.

Wtedy wstał *yamabushi* Roboam i podał mi klucz do sanktuarium.

- Dobrze - szepnąłem. - Udam się do świątyni w Ise, bo nie czuję lęku. A wówczas dowiecie się wszyscy, kim naprawdę jestem!

Szedłem w dół przez las między ogromnymi drzewami, aż znalazłem się na szerokiej równinie u stóp góry. Oddech miałem urywany, serce w piersi mocno biło. Szedłem szybkim krokiem. Nie bałem się już niczego, czułem tylko ogarniające mnie podniecenie, a jednocześnie coś jakby ciepło, wewnętrzny ogień.

Doszedłem po stopniach do drzwi *torii* z dwiema kolumnami pomalowanymi na pomarańczowo. Przeciąłem wysypany piaskiem ogród z drzewami, trawami i kwiatami. Był wieczór. Widziałem przesuujące się cienie, słyszałem szmer wody w krętych strumyczkach.

Sosny, skały, kamienie miały niepokojące kształty, jakby od dawien dawna pełniły w tym miejscu straż. Przeszedłem aleją z pięciuset latarniami, które płonęły w wieczornym mroku tajemniczym światłem. Na niebie pokazały się pierwsze gwiazdy i księżyc łagodnie przesłonił słońce.

Pod moimi stopami chrzęścił żwir.

Przestałem cokolwiek widzieć. Ogarnął mnie gniew, nad którym usiłowałem zapanować, zwalniając krok, próbując uciszyć wzburzenie serca, odrzucić pojawiające się myśli. Nad wszystkimi dominowała jedna, ta o Jane, która czekała na mnie, wierzyła we mnie, wiedziała, że tym razem jej nie opuszczę. Właśnie to szepnąłem jej na pożegnanie, gdy udawałem się do Ise.

Przyjeżdżając do Japonii, uważałem, że mam do wykonania zadanie i, lepiej czy gorzej, wykonałem je. Odnalazłem Jane i uratowałem od katastrofy. Padłem ofiarą wątpliwości moich złudzeń, ale medytując, odnalazłem siły, żeby się podnieść, zapomnieć o dumie, która mnie gubiła. W tym momencie nie miałem już ego i mogłem udać się do świątyni w Ise i stawić czoło prawdzie.

Wszedłem do świątyni.

Nie zastałem tam nikogo. Oświetlone świecami wewnątrz sanktuarium wypełniał dym kadzidła otulający *omikoshi* - przenośne kapliczki - i duży drewniany stół. Na stole leżała pofarbowana na czerwono barania skóra, narzuta z cienko wyprawionej skóry, przezroczysta zasłona oraz chleb przeznaczony na ofiarę. Znajdowały się tu kandelabry z czystego złota, lampy i złoty ołtarz, święte oleje i aromatyczne kadzidło.

Tego wieczoru zostałem zaproszony na wieczerzę z Bogiem.

Skierowałem się do drugiego pomieszczenia, strzeżonego przez dwa posągi lwów. Znowu wszedłem po stopniach. Umyłem ręce w źródlanej wodzie fontanny.

Wreszcie zbliżyłem się do ciężkich drewnianych drzwi znajdujących się między lwami.

Nie słychać było najmniejszego tchnienia, a mimo to miałem wrażenie, że podąża za mną jakiś cień. Zapadała noc, mrok gęstniał nad ogrodem, nad drzewami i wąskimi strumykami wokół świątyni.

Podszedłem do świętych drzwi. Wyjąłem klucz i włożyłem go do zamka. Zazgrzytał głucho, gdy go przekręciłem. Ciężkie drzwi otworzyły się ze skrzypieniem.

Pomieszczenie było prawie puste.

Stała w nim tylko niewielka szafka z dwuskrzydłowymi drzwiczkami.

Podszedłem do niej i ją otworzyłem.

Znajdował się w niej święty przedmiot, który podniosłem drżącymi rękami.

Prostokątna tabliczka z ciemnego drewna, na której wyryto litery.

*Jod, he, waw, he.*

Imię Boga.

Odwróciłem tabliczkę. Zakręciło mi się w głowie. Nagle opuściła mnie energia, moje serce zadrżało, nie mogłem ustać ani poruszyć ręką. Kolana ugięły się pode mną, nie byłem w stanie zrobić kroku, nie mogłem też oderwać oczu od tego, co ujrzałem.

Odrotna strona tabliczki była lustrem o niezwykłym blasku.

A w lustrze tym odbijała się moja twarz.

# PODZIĘKOWANIA

Wyrazy wdzięczności niech przyjmą Rose Lellier, której opinia jest dla mnie bardzo cenna, oraz Richard Ducousset i Françoise Chaffanel-Ferrand. Dziękuję też za wszystko, czego nauczyli mnie mistrz kung-fu, Habib Khouri, mistrz miecza i *dojo* Paulo oraz szkoła jiu-jitsu w Shiseitan.